

MAGDALENA
WITKIEWICZ



Ósmy cud świata

Czy historia sprzed lat,
usłyszana przypadkowo
na drugim krańcu świata,
może wpłynąć na nasze losy?

FILIA

MAGDALENA
WITKIEWICZ

Ósmy cud
świata

FILIA

Małgosi – Nguyễn Thị Thanh Thu

Dziękuję za to, że z Twoją pomocą Wietnam stał mi się bliski,

przestał być tylko miejscem na mapie.

Pamiętasz, jak płynęłyśmy statkiem po zatoce Ha Long i powiedziałam Ci, że to doskonałe miejsce na romans?

Dalekie podróże mają to do siebie, że przywozi się

z nich coś zupełnie innego niż to, po co się pojechało

Nicolas Bouvier

Podróże mają magiczną moc uzdrawiania duszy i zdecydowanie pomagają zdystansować się do problemów dnia codziennego. Nie rozwiązują ich bezpośrednio, jednak pomagają przewartościować i spojrzeć na nie jakby z drugiego brzegu rzeki

Martyna Wojciechowska

WSTĘP



Całe życie rysujemy na ziemi ślady naszych stóp. Cienkie linie życiowych podróży. Gdyby istniała mapa kroków, które w życiu zrobiliśmy, w jednym miejscu byłoby od nich gęsto, w innym, tam gdzie byliśmy tylko raz, zobaczylibyśmy jedynie cienką linię.

Może po śmierci nasze dusze mogą zobaczyć tę mapę, każdy krok w przyspieszonym tempie, kreślony niewidzialnym ołówkiem naszego losu.

Wielokrotnie zastanawiałam się, ile razy nasze ślady przecinają się ze śladami tego, z kim później będziemy wspólnie kroczyć przez życie. Ile razy krzyżują się nasze drogi, ile razy mijamy się obojętnie na ulicy, nawet nie wiedząc o swoim istnieniu, zanim nasze ścieżki życia połączą się w jedną.

Straciłam już nadzieję, że kiedykolwiek napotkam to skrzyżowanie dróg. Na razie moja ścieżka pięła się wysoko pod górę, a ja nie miałam szans na znalezienie jakiegokolwiek drogowskazu.

Czasem zastanawiam się, kiedy moja – a raczej nasza – historia miała swój początek. Kiedy los zdecydował, że będzie właśnie tak, a nie inaczej? Czy to w ogóle był los? Może przypadek wskazał drogę, którą powinnam podążać, by moje życie ułożyło się w określony sposób?

Może ta opowieść powinna zacząć się wtedy, gdy zaraz po studiach starałam się o pierwszą w życiu prawdziwą pracę? I może wtedy, gdy jej na własne życzenie nie dostałam? A może wtedy, gdy wpisywałam się w specjalnej księdze

pamiątkowej dla osób, które miały zamiar zdobyć najwyższy szczyt Afryki? Czy też wtedy, gdy dostałam ofertę biura podróży z promocyjnymi biletami do Hanoi?

Nie wiem.

Natomiast już teraz mogę przewidzieć, jak ta historia się zakończy.

Wielokrotnie zadawałam sobie pytanie, czy byłoby lepiej, gdyby to wszystko stało się wcześniej... Chyba nie, nie byłoby wtedy ósmego cudu świata. Nie byłoby tylu wspaniałych przygód i nie byłoby głośnych cykad przy zatoce Ha Long w przepięknym Wietnamie.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Anna



1

Korzystaj z wiosny, człowiecze –

szybko się skończy i przybędzie starość

powiedzenie wietnamskie

– Dlaczego chce pani pracować akurat u nas? – Przystojny mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze wpatrywał się we mnie ze skupieniem. Miałam wrażenie, że naprawdę jest ciekawy, dlaczego chcę pracować właśnie u niego, że w tym wypadku nie jest to tylko typowe pytanie zadawane na rozmowie kwalifikacyjnej.

To była moja pierwsza w życiu rozmowa o pracę. Właśnie skończyłam studia i byłam gotowa na skok w dorosłe życie. Skok już bez spadochronu, który do tej pory stanowili moi rodzice. Skończyłam zarządzanie i marketing. W tamtych czasach wszyscy, którzy nie mieli pomysłu na siebie, ci, którzy nie chcieli zostać kardiologami, chirurgami czy wziętymi adwokatami, wybierali studia ekonomiczne. „Zarządzanie”. Czym albo kim ci wszyscy ludzie mieli zarządzać? Miałam wrażenie, że nikt nie chciał pracować, wszyscy mieli zamiar jedynie organizować pracę komuś innemu.

– Dlaczego chce pani pracować akurat u nas? – powtórzył mężczyzna.

Spuściłam wzrok.

Dlaczego?

Sama nie wiedziałam. Prawdę mówiąc, nie przygotowałam się do tej pierwszej rozmowy, poszłam na nią z marszu. CV wysłałam, bo znajomi z roku wysyłali. Nie chciałam zaczynać pracy już teraz. Wolałam te ostatnie długie wakacje w życiu wykorzystać jak najlepiej.

Firma zajmowała się remontowaniem żaglowców czy innych statków. Kompletnie mnie to nie interesowało. Chyba dopiero zaczęli, rozrastali się w zawrotnym tempie i potrzebowali kogoś, kto natychmiast ogarnie papiery i bieżące telefony oraz zamówienia, których było coraz więcej.

Szczerze odpowiedziałam mężczyźnie:

– Nie wiem. Nie wiem, dlaczego akurat tutaj. Proszę pana, ja mam wrażenie, że po studiach to człowiek tak mało wie.

Spojrzał na mnie uważnie.

– Mało dyplomatyczna odpowiedź.

– Mało – przyznałam. – Chyba nie byłabym dobrą dyplomatką.

– Kiedy może pani zacząć? – zapytał mnie po chwili.

– Za dwa miesiące – powiedziałam.

– Za dwa miesiące? – Najwyraźniej był zdziwiony. – Dlaczego? Pracuje pani gdzieś? Inne zobowiązania?

– Nie... Nie pracuję. – Pokręciłam głową. – Mówiłam, że dopiero skończyłam studia.

– To co pani stoi na przeszkodzie, by zacząć jutro? – Zmarszczył brwi.

Nie odpowiedziałam od razu.

Co stało mi na przeszkodzie? Wakacje – ostatnie prawdziwe wakacje przed rzuceniem się w kierat obowiązków zawodowych. Chyba nie powinnam mówić tego podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Wydawało mi się nawet, że to będą ostatnie prawdziwe wakacje w całym moim życiu. Nie mogłam się do tego przyznać, ale czekałam na nie długi akademicki rok. Każdy egzamin zdawałam, ciesząc się na czekającą na mnie nagrodę.

Miałam nowy plecak, wysłużony namiot, bilet na prom do Szwecji i planowałam przejechać Skandynawię wzdłuż i wszerz. Oczywiście autostopem. Tak było najlepiej i najtaniej. Chciałam zobaczyć fiordy, kręte górskie drogi Norwegii, może nawet zajechać na daleką północ.

Ale przecież nie mogłam tego powiedzieć facetowi, który pewnie nigdy nie spał w namiocie, ani nie jeździł stopem i podróżował tylko z walizką. A przynajmniej na takiego wyglądał.

– To co, może jednak zmieni pani zdanie i zacznie jutro? – powtórzył pytanie.

– Bardzo przepraszam. – Pokręciłam głową. – Nie mogę.

– No dobrze... Może jeszcze panią przekonam. A dlaczego właściwie złożyła pani tutaj swoje CV? Remontowanie jachtów to chyba mało kobiecy zawód?

Kobiecy zawód? Znowu postanowiłam być szczerą.

– Wie pan co... Zależy mi na pracy. Nie fascynuję się jachtami, owszem, kocham podróże, ale nigdy nie żeglowałam. Po prostu po studiach trzeba iść do pracy, taka kolej rzeczy...

– Co za szczerść! – Mężczyzna był najwyraźniej zaskoczony.

– Nigdy nie kłamie. A przynajmniej rzadko.

– Chociażby dlatego chciałbym panią zatrudnić. Brzydę się kłamstwem. – Spojrzał na mnie uważnie.

– To chociażby dlatego byłoby fajnie u pana pracować... – Uśmiechnęłam się. Najwyraźniej nadawaliśmy na tych samych falach.

Wtedy spontanicznie zaczęłam opowiadać mu o planach wakacyjnych. O tym, że w Skandynawii możesz wszędzie rozbić namiot, o tym, że ma być najcieplejsze lato od kilkadziesiątu lat i że w związku z tym może będę mogła spać pod gołym niebem, o tym, że na północy są białe noce i całkiem fajnie będzie móc je podziwiać. I że pewnie niebo wygląda tam zupełnie inaczej. Opowiedziałam mu o Drodze Trolli, którą koniecznie muszę zobaczyć, i o pięknej zatoce Geiranger. Pokazałam mu zdjęcie Preikestolen, niesamowitego norweskiego klifu, a on słuchał zauroczony.

Sekretarka przyniosła kolejną kawę, a my rozmawialiśmy.

– Byłem trzy razy w Norwegii – powiedział, gdy skończyłam opowiadać mu o swoich planach.

– Naprawdę? Pewnie widział pan te wszystkie miejsca! – Uśmiechnęłam się w oczekiwaniu na opowieści pełne skandynawskich ciekawostek.

Pokręcił głową.

– Nie. Nic nie widziałem. Wie pani, jak się podróżuje służbowo, to ciężko. – Zasmucił się. – Samolot, lotnisko w Oslo, hotel tuż obok. Potem długie rozmowy i szybki powrót do domu, bo człowiek jest już tak zmęczony, że tylko marzy o własnym łóżku.

– Nic pan nie zobaczył?

– Nie udało się. Zawsze sobie obiecywałem, że następnym razem przylecę dzień wcześniej czy zostanę kilka dni dłużej, ale nie wychodziło.

– A gdzie spędza pan tegoroczne wakacje? – zapytałam z zainteresowaniem.

– Ja? – zdziwił się.

– Nie ma pan wakacji?

– Mam, mam. Lecimy do Hiszpanii. – Uśmiechnął się lekko. – O ile coś znowu nie wypadnie – dodał. – Ale chyba dopiero w październiku. – Spojrzał na biurko, gdzie stała ramka ze zdjęciem. Niestety nie zobaczyłam, kogo przedstawia fotografia. Chyba jest za młody na gromadkę dzieci, więc pewnie dziewczyna.

– Hiszpania też piękna. Niestety jeszcze nie byłam. Ale nadrobię. Całe życie przede mną!

Uśmiechnął się.

– Tak. Całe życie. – Westchnął. – Miłych wakacji. A my? Cóż. Może spotkamy się w następnym życiu i podejmie pani wtedy inne decyzje. A może nie warto? – zamyślił się. – Może lepiej rzucić wszystko, żyć chwilą, a nie gonić za pieniędzmi?

Nie miałam pojęcia, czy warto. Wtedy byłam pewna jedynie tego, że całe życie jest przede mną, że wszystko mogę. Nie martwiłam się o jutro, rzadko myślałam o przyszłości. Może już powinnam zacząć? Czułam się młoda i miałam nadzieję, że świat stoi przede mną otworem. Wierzyłam, że najpiękniejsze dopiero się wydarzy.

Gdy wróciłam do domu, moja mama z nadzieją w głosie już od progu zapytała:

– I jak? – Wycierała ręce w fartuch kuchenny. Oczywiście jak zawsze czekała z obiadem.

Wzruszyłam ramionami.

– Pewnie bym dostała tę pracę... – zaczęłam.

– Ale? Coś nie wyszło? – zapytała zaniepokojona.

– Wyszło, wszystko wyszło super – powiedziałam. – Ale chciał od zaraz. Ale ja przecież nie mogę...

– Jak to nie możesz? – Kładła szybko talerze na stół.

– Przecież wyjeżdżam. – Wzruszyłam ramionami.

– Kochanie, plany możesz zmienić.

– Mamo... Jeszcze w życiu tyle razy zmienię swoje plany... Zastąpiłam na te wakacje. Jak już zacznę pracować, będę mogła pomarzyć o dwóch tygodniach urlopu.

Mama tylko pokręciła głową. Chciałaby, bym ustatkowała się zaraz po studiach, znalazła świetną pracę, męża, miała dom, rodzinę, by jak najszybciej wnuki biegały po jej mieszkaniu. Mnie wtedy chodziło zupełnie o co innego. O co? Sama nie wiedziałam.

Nie miałam chłopaka. Owszem, bywały jakieś przelotne znajomości, najdłuższa trwała chyba pół roku. Za każdym razem rozstawałam się w przyjaźni. Po prostu było nam nie po drodze. To też bardzo martwiło moją mamę.

– Wiesz co, jak nie znajdziesz sobie męża na studiach, to potem będzie już za późno – mawiała mało optymistycznie.

No cóż. Na studiach męża nie znalazłam. W przeciwieństwie do mojej mamy nie uważałam, by małżeństwo było tym, czego teraz najbardziej potrzebowałam.

Owszem, chciałam się w końcu usamodzielnąć, potrzebowałam pieniędzy, pracy, ale wiedziałam, że wakacje też mi się należą. Miałam wrażenie, że potem, gdy wpadnę w szpony pracodawcy będę musiała się z nimi pożegnać. Przynajmniej z takimi, do których byłam przyzwyczajona. Takimi, że o poranku nie będę wiedziała, gdzie zasną wieczorem, nie będę wiedziała, co zwiedzę, co zobaczę. Takimi, w czasie których poznam mnóstwo ludzi, a może nawet, ku rozpaczy mojej mamy, jakiegoś zagranicznego kandydata na męża. I wyprowadzę się daleko od niej.

Mama nigdy nie podróżowała. Awanturniczą żyłkę miałam po tacie marynarzu. Niestety zmarł zaraz po tym, jak przestał pływać. Mama mówiła, że umarł z tęsknoty za morzem. Doskonale go rozumiem. Gdyby ktoś mi nagle powiedział, że nie mogę podróżować, też bym chyba ciężko zachorowała. Dlatego nie zgodziłam się wtedy na tę pracę.

Mało odpowiedzialne? Z pewnością. Ale któż z nas był odpowiedzialny, gdy miał ledwo ponad dwadzieścia lat? Dopiero teraz patrzę na świat z większą pokorą i zrozumieniem.

Ale nieznacznie większą. Nadal mam w sobie kilka nut szaleństwa. Niektórzy mówią, że całą symfonię...

Życie czasem zmusza nas do odpowiedzialności. Wtedy, gdy nie jesteśmy już zupełnie sami na świecie.

Zaraz po powrocie z Norwegii dostałam pracę. Może nie taką fajną jak ta, którą miałam dostać tuż przed wakacjami, ale tapeta w komputerze ze zdjęciem malowniczych fiordów i wspomnienia jednych z najpiękniejszych wakacji w moim życiu z pewnością mi to wynagrodziły.



Każda praca jest w początkach trudna

powiedzenie wietnamskie

Pamiętam, jak na rozmowie kwalifikacyjnej do pracy, którą przyjąłem, zadano mi pytanie:

– Praca będzie wiązała się z licznymi podróżami, czy nie przeszkadza to pani?

Uśmiechnęłam się. To był naprawdę wielki atut tego zajęcia.

– Zupełnie nie. – Pokręciłam głową. – Kocham podróże.

– A zobowiązania rodzinne? – To pytanie chyba nie powinno paść.

– W zasadzie żadnych – odpowiedziałam. – Nikt w rodzinie nie będzie miał nic przeciwko temu, bym podróżowała.

– To cudownie. – Kobieta się uśmiechnęła. Niedługo później została moją szefową.

Jeździłam po całej Polsce. Sprzedawaliśmy oprogramowanie wykorzystywane do celów edukacyjnych. Wtedy ten interes rozwijał się bardzo szybko. Natychmiast zauważono, że doskonale znam angielski i rosyjski, więc jeździłam też na wschód – Białoruś, Rumunia, Bułgaria, Ukraina. Cieszyłam się z każdego wyjazdu, kupowałam przewodniki, rysując w myślach mapy wycieczek, jednak zawsze moje zwiedzanie musiało zostać ograniczone do pięknego folderu o danym kraju, który przeglądałam w samolocie, i widoku z lotu ptaka, gdy lądowaliśmy tuż nad stolicami tych państw.

Nie było czasu na zwiedzanie. Czasem siedząc na nudnej kolacji z moim klientem, myślałam, jak wiele bym dała, by móc teraz pooddychać powietrzem otaczającego miasta, pochodzić tymi ścieżkami, którymi chodzili zawsze jego mieszkańcy. Byłam zła, gdy na Białorusi podali francuskie wino. Wiem, chcieli mnie ugościć, ale ja widziałam to inaczej.

Tylko raz, w Wilnie, spędziłam cudowną noc, przechadzając się uliczkami starego miasta.

– Nie puszcę cię samej. Tu może być niebezpiecznie – powiedział Wiktor, z którym wtedy spotkałam się służbowo. Wypiliśmy chyba zbyt dużo krupniku. Szybko uderzał do głowy, a smak miodu bardzo mi odpowiadał. Zwierzyłam mu się, że podczas służbowych podróży nie mogę nic zwiedzić, zobaczyć. Powiedziałam mu, że wiele bym dała za kawałek bułki jedzonej na ulicy. Z widokiem na coś pięknego. Zawołał kelnera. Chwilę szeptał coś po litewsku. Nie słyszałam, o czym rozmawiali, w restauracji panował gwar.

– Wychodzimy – powiedział.

– Jak to wychodzimy? – zapytałam zaskoczona. – A poważne rozmowy o biznesie?

– Poważne rozmowy o biznesie możemy przeprowadzić, jedząc bułkę na ulicy z widokiem na jakieś ładne miejsce.

– Ale ja mogę sama... – próbowałam powiedzieć.

– Nie puszcę cię samej. Tu może być niebezpiecznie.

Podszedł kelner i przyniósł dwie zapakowane torby z jedzeniem.

– Wziąłem na wynos. – Uśmiechnął się.

Potem ten uśmiech towarzyszył moim myślom każdego dnia.

W Wilnie byłam jeszcze kilka razy. Jednak wtedy bardziej zajmowałam się Wiktorem niż podziwianiem zabytków architektury. Spotykaliśmy się ze sobą półtora roku. W jednym miesiącu przyjeżdżał on, a w kolejnym ja jechałam do Wilna. Chyba zbyt mało czasu spędzaliśmy razem, by się dobrze poznać.

Rozstaliśmy się. Nie mogliśmy się dogadać, gdzie w końcu zapuścimy korzenie. On nie chciał zostawiać Wilna, gdzie jego rodzina mieszkała od zawsze, a ja nie wyobrażałam sobie innego miejsca do życia niż Gdańsk.

Gdy spotkaliśmy się ostatni raz, umówiliśmy się, że zastanowimy się nad naszym życiem. Zastanawialiśmy się długo. Nasz kontakt był coraz rzadszy, a potem już ustał zupełnie. Gdy kilka lat później pojechałam do Wilna, by spotkać się z przedstawicielem firmy, w której pracował Wiktor, na jego stanowisku był już zupełnie ktoś inny.

Powiedział mi, że Wiktor się zakochał i przeprowadził do Krakowa. Poczułam lekkie ukłucie w sercu. Dla mnie nie mógł, a może nie chciał tego zrobić. Widocznie nie byliśmy sobie pisani.

Moja mama była chyba bardziej załamana tym rozstaniem niż ja. Zostałyśmy na świecie już tylko we dwie, nie licząc dalszych krewnych, i bardzo chciała, by rodzina się powiększyła. Wiedziałam, że marzy o gromadce wnuków, którym będzie czytała książki, a później lepiła pierogi. Moja mama była stworzona do roli babci. Starłam się na siłę szukać jej zajęcia. Ku mojemu zaskoczeniu, niebawem znalazła je sobie sama.

Mieszkałyśmy z mamą we dwie. Miałyśmy dwupokojowe mieszkanie z wielką kuchnią w starym Wrzeszczu. Zawsze wieczorami siadałyśmy przy stole i rozmawiałyśmy. To była nasza tradycja. Niestety przez moje wyjazdy nasze spotkania przy szarlotce były coraz rzadsze, a potem mama zaczęła wychodzić.

– Znowu gdzieś idziesz? – pytałam. – Mamo, ja czasem zapominam, kto tutaj ma chodzić na randki. – Śmiałam się. Nie brałam wtedy pod uwagę, że moja mama naprawdę może chodzić na randki, traktowałam to jak dobry żart.

Nie wtrącałam się w życie mojej mamy. Ona w moje, w miarę swoich możliwości, również. Z czasem zaczęła wychodzić jeszcze częściej, to na kolację, to do kina, teatru. Kiedyś zadzwoniła, że nie wraca na noc do domu.

- Mamo! – zawołałam z oburzeniem.
- Dziecko, przecież jestem już dorosła.
- Mamo, nawet dorosły może robić głupoty!
- Kochanie, wszystko jest w porządku.

Krótko potem przedstawiła mi Jurka. Swojego przyjaciela. Podobno spotykała się z nim od roku. Bała się mi o nim powiedzieć, bo myślała, że będzie mi przykro, że ona układa sobie życie po raz drugi, a ja wciąż jestem sama.

- Mamo, cieszę się twoim szczęściem.

Naprawdę się cieszyłam. Kilka tygodni później mama wyprowadziła się do Jurka. Oczywiście nie obojętne było jej życie bez troski o swoją jedynaczkę.

- Jak ty sobie sama poradzisz? Pamiętaj, na obiad zawsze możesz przyjść.
- Mamo!
- Tak, wiem, przesadzam – mówiła, wtulając się w Jurka.

Był naprawdę fajnym facetem.

– Jurek, szkoda że nie masz syna – mówiłam zwykle, gdy się widywaliśmy. – Zainteresowałabym się nim z wielką przyjemnością.

Jurek nie miał dzieci. Był wdowcem od kilkunastu lat. Kiedyś pracował razem z moim ojcem. Nie wiem, czy się znali, ale najwyraźniej w tych dwóch marynarzach było coś, co przyciągało moją mamę jak magnes.

Szczęście było chyba zaraźliwe, bo niedługo po wyprowadzce mojej mamy poznałam Marcina. Dość szybko się do mnie wprowadził, nawet planowaliśmy wspólną przyszłość. Dwoje dzieci, ślub, niekoniecznie w tej kolejności.

Niestety idylla trwała pół roku. U mnie. Bo u mojej mamy trwa do dziś. Zaczęłam zazdrościć jej takiego uczucia. Miłości po raz drugi. Ja do tamtej pory nie skosztowałam jej prawdziwego smaku. Marcin się wyprowadził. Wspólne mieszkanie wszystko zweryfikowało. By z kimś być, trzeba umieć się z nim również nudzić. My nie potrafiliśmy spędzać ze sobą czasu. Nie umieliśmy trwać ze sobą w codzienności. W pewnym momencie zorientowałam się, że razem tylko śpimy. I to nie zawsze, bo czasem ja zasypiałam z książką w dłoni na kanapie w salonie, a Marcin w fotelu przed swoim komputerem, na którym puszczał filmy wojenne. To z tych właśnie filmów, które na początku próbowałam z nim oglądać, znałam Azję. Nie spodziewałam się, że kiedyś do niej pojedę, że poznam inne oblicze Wietnamu, nie tylko wojenne. Że przywiozę stamtąd najbardziej drogocenny skarb mojego życia. Ale do tego czasu musiało upłynąć jeszcze kilka długich lat. Na razie był Marcin, który wyprowadzał się z mojego mieszkania i ja, zupełnie sama. Sama w dwupokojowym mieszkaniu z pustą połową szafy i z białym śladem na ścianach po obrazkach, które były chłopak zabrał ze sobą.

Przez pierwsze dwa dni niczym bohaterki komedii romantycznych leczyłam się lodami i winem. Białe wino i lody kawowe oraz cytrynowe. Zabójcze połączenie. Pomagało, ale na krótko.



Kwiat jest po to, by go zerwać, dziewczyna po to, aby z nią flirtować

powiedzenie wietnamskie

Dużo lepszym lekarstwem na moją samotność była Afryka. Pomogła mi zdecydowanie na dłużej. Miałam spontaniczny plan wejścia na najwyższą górę tego kontynentu. Pozornie Kilimandżaro nie ma zbyt wiele wspólnego z tą historią... Ale jednak. Zdecydowałam się na tę daleką podróż zupełnie sama. Często tak podróżowałam. Śmiałam się zawsze, że lubię spędzać czas w swoim własnym towarzystwie. O Afryce marzyłam od zawsze. Tuż po rozstaniu z Marcinem zarezerwowałam *last minute* i wsiadłam w samolot. Najpierw do Amsterdamu, potem do Tanzanii. Krótki nocleg w małym hoteliku i następnego dnia wyruszałam zdobywać szczyt Kilimandżaro. Wspinałam się w towarzystwie dwóch Francuzów, którzy całą drogę wyznawali sobie miłość, włoskiej zakonnicy, która zakasując spódnicę, zawsze szła w czołówce, i pary nie wiadomo skąd, bo całą drogę nie odzywali się do nikogo oprócz siebie i to głównie szeptem. Nieważne, dla mnie miała to być wyprawa życia.

Całą wycieczką opiekowali się tubylcy. Nieśli nam plecaki, rozbijali namioty i gotowali jedzenie. Zagrzewali do walki z naturą.

U stóp Kilimandżaro zatrzymaliśmy się na chwilę. W księdze pamiątkowej, leżącej tuż przy wyjściu na szlak, przeczytałam wpis innej Polki.

„Tuż u podnóża wielkiej góry powiedziałam TAK. To najszczęśliwszy dzień mojego życia! Kocie, Kocham cię! Aneta”.

Poniżej, innym charakterem pisma:

„LOVE XXX – Twój Kot”.

Uśmiechnęłam się. Pamiętam, że napisałam wtedy „Wszystkiego najlepszego”. Dorysowałam dwa serduszka. Napisałam też coś o tym, że jedni się cieszą, że są razem, a inni przyjeżdżają leczyć złamane serce. Przyznałam się sama sobie, że też bym chciała, by ktoś napisał do mnie „LOVE – Twój Kot”. Może lakonicznie, może mało romantycznie... Na pewno z fantazją. Oświadczyły u podnóża wielkiego wulkanu. Prawdopodobnie uklęknął, wyciągnął pierścionelek, spytał „czy wyjdiesz za mnie?”, ona odpowiedziała „tak”, po czym weszli na wielką górę w asyście przewodnika i tragarzy, którzy śpiewali im afrykańskie piosenki.

Zatęskniłam za uczuciem szczęścia.

Do tej pory mam przed oczami tamte słowa. Zapamiętałam tę chwilę dokładnie, bo chyba jednak – daleko od domu – dotarło do mnie, że niesamowicie tęsknię za takim uczuciem. Chciałam kochać i być kochaną.

Teraz już nie mogę sobie przypomnieć, jak w języku suahili jest „kocham cię”. Wtedy z pewnością to wiedziałam.

Z Afryki wróciłam z setką warkoczyków na głowie, naładowana pozytywną energią, przekonana, że mogę zdobyć cały świat.

Czy mi się to udało?

W pewnym sensie tak. Zmieniłam pracę, pięłam się po szczeblach kariery, zdobywałam nagrody, co roku dostawałam premie. Zostałam kierownikiem działu *call center*. Smuciło mnie tylko to, że po powrocie do domu nie miałam się z kim dzielić moimi sukcesami. Zrzucałam niewygodne szpilki, zsuwałam garsonkę i siedziałam pod kocem w samej bieliźnie, świętując szampanem swoje osiągnięcia.

Mama była przerażona moją samotnością. Chyba nawet bardziej niż ja sama.

– Dziecko, masz trzydzieści pięć lat. – Kręciła głową. – Ty nie masz na co

czekać...

– Mamo, ja wcale nie czekam...

– Bo już nie masz czasu czekać! – Mama podniosła głos. Nieczęsto jej się to zdarzało. – Na przykład Renatka z moich studiów nie miała nikogo. I wiesz... – Mama na chwilę zamilkła. – I wiesz, i potem miała dziecko.

Spojrzałam na mamę pytająco. Nigdy nie rozmawiałyśmy o tych sprawach.

– Mamo, co ty sugerujesz?

– Nic, kochanie. – Mama była najwyraźniej zawstydzona.

– Mam sobie zrobić dziecko? Z byle kim? – zapytałam wprost.

Mama wzruszyła ramionami.

– Aniu, no nie zaraz z byle kim. Synek Reni został lekarzem... Więc jego ojciec też nie był byle kim. I Renia jest najszczęśliwsza na świecie. A tak byłaby sama.

Pamiętam, że wróciłam wtedy do domu zła na cały świat. A najbardziej na własną matkę, która chyba przestała wierzyć, że kiedyś przedstawię jej przystojnego zięcia i oświadczę, że będzie babcią. Teraz oczekiwała tylko, że znajdę jakiegokolwiek partnera. Chciała, bym go wykorzystana i egoistycznie zrobiła sobie dziecko. Nie pomyślała, że tym samym pozbawię własne dziecko ojca. A może było inaczej. Bo na mój wyraźny protest odpowiedziała:

– Ty też wychowywałaś się bez ojca! Ciągłe pływał!

– Mamo! Ale był! Wiedziałam, kim jest! – odpowiadałam zdenerwowana. – I mniej więcej gdzie jest!

Nie odzywałam się do niej chyba dwa tygodnie. Dziecko? Z kimkolwiek?

Wtedy ten pomysł wydawał mi się zupełnie abstrakcyjny. Potem, gdy mijały lata, coraz bardziej zaczynała doskwierać mi samotność. Mężczyźni? Owszem. Byli. Zawsze miałam z kim iść na kawę, do kina czy nawet do kogo się przytulić. Z wiekiem jednak stawałam się coraz bardziej wybredna. Nie chciałam na co dzień dzielić łóżka z kimś, kto nie do końca mi odpowiadał. Wiedziałam, że z każdym mijającym rokiem będzie coraz trudniej. Samotne wieczory, samotne poranki. Samotne święta, wakacje. Bałam się, co będzie, gdy zabraknie mamy i Jurka.

Nie byłam szczęśliwa. Chociaż nie mogłam narzekać, jeżeli chodzi o finanse. Dorobiłam się trzypokojowego mieszkania niedaleko morza, nawet już udało mi się spłacić kredyt. Lokal, w którym mieszkałam do tej pory, wynajęłam studentom. Moja mama po raz drugi wyszła za mąż i żartowała, że gdyby mogła, to by sobie sama te wnuki urodziła.

Mnie te żarty przestały śmieszyć. Przyjaciółki po kolei zachodziły w ciążę, nawet te, które zastrzegały, że nigdy nie chcą mieć dzieci.

– Wiesz? Jestem teraz taka szczęśliwa – mówiła jedna z nich. – Nie wyobrażam sobie, jak wyglądałoby moje życie, gdyby nie było ze mną Natałki.

Ja niestety mogłam to sobie wyobrazić. Aż za dobrze. Bardzo denerwowały mnie telefony od przyjaciółek, które chciały się wyżalić, że nie mają zupełnie czasu dla siebie, bo wiecznie siedzą uwięzione w domu z dzieckiem. Ja też chciałam być „uwięziona”. Jednak miałam prawie czterdzieści lat i coraz słabsze perspektywy na to, by zrealizować się jako matka.

Czasem brzęczały mi w uszach słowa mojej mamy: „zrób sobie dziecko”. Gdyby to było takie proste.

– Ale czy to jest takie trudne? – powiedziała Alicja, moja przyjaciółka, z którą spotkałam się w parku.

Pchała przed sobą wózek z bliźniakami.

– Chciałam dwoje dzieci od zawsze. Niekoniecznie naraz. – Uśmiechnęła się.

Alicję znałam od dziecka. Razem biegałyśmy po podwórku, razem spędzałyśmy wszystkie popołudnia, grając w dwa ognie, w gumę, a potem zwierając się ze swoich sekretów. W liceum pojechałyśmy na biwak, potem było jeszcze wiele wspólnych wakacji. Każda z nas poszła na inne studia, Ala na medycynę, a ja na zarządzanie. Została ginekologiem, zdążyła wyjść za mąż, potem się rozwieść. Jej życie pędziło z prędkością światła. Teraz miała wiecznego narzeczonego i dwóch rozwrzeszczanych, niespełna półrocznych chłopaków.

– Nam całkiem łatwo to poszło. – Westchnęła. – Chyba za szybko. Ledwo się zakochałam, a już byłam w ciąży.

Uśmiechnęłam się. W poprzednim związku Alicja bardzo chciała zajść w ciążę, a im nie wychodziło. Chyba dlatego wszystko się u nich popsuło. Jeździli do najlepszych specjalistów, ona się leczyła, on też. Ala już straciła nadzieję, a los zrobił jej podwójną niespodziankę.

– Po prostu los uznał, że nie powinnam mieć dzieci z Markiem. – Roześmiała się. – I całe szczęście. Byłam już gotowa na wszystko, nawet oglądałam dawców w bankach spermy. Niemalże każdy wydawał mi się lepszy niż mój ówczesny mąż.

– Alicja, a gdyby do ciebie do gabinetu przyszła kobieta i powiedziała, że chce mieć dziecko?

– To bym jej kazała zabrać się do roboty. – Uśmiechnęła się. – Och, jakże przyjemnej roboty! – Spojrzała na dzieci, które właśnie się budziły. – Później nie zawsze jest tak miło.

Jeden z chłopców mocno się rozplakał, Ala musiała szybko wracać do domu i tamtego dnia już nie porozmawiałyśmy.

Łatwo mówić: „do roboty”. Gorzej się do niej wziąć. Mimo iż jest przyjemna.

Z Alicją spotkałam się dopiero kilka tygodni później. Chciałam ją wyciągnąć na kolację. Niestety kategorycznie odmówiła.

– A nie możemy po prostu kupić sobie lodów i usiąść u ciebie na kanapie pod kocem? – zapytała.

Spojrzałam na nią zaskoczona.

– Ale...

– No co? – Wzruszyła ramionami. – Posiedzieć i cieszyć się chwilą, że nikt nic od ciebie nie chce.

– Gdzie się podziała królowa parkietów? – zażartowałam.

– Zniknęła, gdy zaszłam w ciążę. Podaj mi koc. I zrób herbatki – powiedziała.
– Robert dał mi wychodne do północy, jak Kopciuszkowi. Ostatni raz, jak go zostawiałam samego z chłopcami, przez tydzień ściągałam mleko i potem zamrażałam. Macierzyństwo czasem jest wyzute z wszelkiego piękna. – Ala westchnęła. – Bo co pięknego jest w tym, gdy dzieci śpią, a ty siedzisz obok męża, ściągasz mleko laktatorem, próbujecie oglądać razem film, ale nie wychodzi. Bo „ziuuu” i „ziuuu”. Laktator hałasuje, facet robi głośniej telewizor, bo nic nie słyszy i spogląda na ciebie, bynajmniej nie pożądlwym wzrokiem. – Spojrzała na mnie. – Dla mnie słony karmel. – Wskazała na lody, które przyniosłam. – Będąc ginekologiem i prowadząc ciężę, zdawałam sobie oczywiście sprawę z wszystkich niedogodności wynikających z bycia mamą, ale tylko w teorii. – Zjadła wielką łyżkę lodów. – Dopiero praktyka czyni mistrza. Zupełnie czym innym jest znać to ze źródeł naukowych, a zupełnie co innego jest doświadczyć tego na własnej skórze.

Spojrzałam na nią uważnie.

– Ja się boję, że już tego nie doświadczę – powiedziałam.

– Spokojnie. Teraz można rodzić nawet po czterdziestce.

– Alicja. Pytam czysto teoretycznie. Czy gdybym chciała mieć dziecko, to mogę sobie zrobić *in vitro*?

Ala zamarła w bezruchu.

– Ty chyba nie mówisz poważnie?

– Przemknęło mi to przez myśl – powiedziałam, nie patrząc jej w oczy.

– Na Zachodzie tak robią – powiedziała. – U nas się jeszcze z tym nie spotkałam. Ale Ania, to jest...

- ...desperacja – dokończyłam za nią.

– Ja tego nie powiedziałam.

– Ale ja to wiem – powiedziałam cicho. – Wyobrażasz sobie być samą na świecie? Nie pozostawić tutaj nic po sobie? Teraz jest mama, ale kiedyś jej nie będzie. Jak żyje się ze świadomością, że nie masz nikogo, komu możesz zostawić to, nad czym ciężko pracowałaś całe życie, kogo możesz nauczyć śmiać się z podobnych rzeczy, komu możesz powiedzieć „miłego dnia, Kocham cię”, gdy wychodzi.

– Ania, no... – Alicja mnie przytuliła.

– No już. Nie rozczulam się nad sobą – powiedziałam, ocierając łzy. – Ale naprawdę nie jestem sobie w stanie wyobrazić, co będzie za dwadzieścia lat. Z kim będę spędzać Wigilię?

– U nas zawsze będziesz miłym gościem.

– Ala, wiesz, że to nie to samo. – Westchnęłam.

– Wiem. I nawet nie potrafię ci poradzić. Przecież nie powiem: „zrób sobie z kimś dziecko”.

– Moja mama tak powiedziała.

– Może i miała rację? – zapytała Alicja.

– Może.

– No dobra, a gdyby nawet *in vitro*, to skąd dawca? – zastanowiła się.

– Z banku nasienia? – pomyślałam na głos. – Bez sensu to wszystko. – Pokręciłam głową.

– Jakoś już bardziej mi się widzi dziecko jako efekt upojnej nocy z jakimś cudownym mężczyzną. – Ala westchnęła. – Tylko skąd tego cudownego faceta wziąć?

– No właśnie... Skąd wziąć... – powtórzyłam.

Ala wyszła tuż po północy. Usiadłam do komputera. Wpisałam w wyszukiwarkę „bank nasienia”. Wskoczyła mi strona duńskiej placówki. Kliknęłam „wyszukiwanie dawców”. Pojawił się formularz, który wypełniłam.

Rasa – biały

Grupa krwi – ORH+

Wzrost – ponad 180 cm

Waga – ponad 90 kg. Ojciec mojego dziecka nie powinien być przecież chuchrem.

Oczy... zamyśliłam się. Niebieskie. Tak, ojciec mojego dziecka zdecydowanie mógłby mieć niebieskie oczy.

Włosy – blond.

Można było wybrać jeszcze kilka innych parametrów, których do końca nie rozumiałam. Wskoczyły mi cztery wyniki.

FENRIR, MIKEY, SILAZ, VAGN

Co za imiona!

Kliknęłam w „Mikey”.

Mikey okazał się duńskim asystentem sprzedaży. Miał sto dziewięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, ważył sto dziesięć kilo. Miał dziecko w Danii, Holandii, Norwegii, Finlandii i dziewięćcioro w Wielkiej Brytanii.

Boże. Wybieranie ojca dla dziecka jak towaru w Biedronce.

Fenrir był inżynierem. Też z Danii.

Silaz był hydraulikiem. Vagn kolejnym inżynierem, podobnie jak Fenrir. Dopiero przy nim odkryłam, że mogę też sprawdzić charakter potencjalnego dawcy. Kliknęłam w serduszko, tam miały być dane opisujące jego inteligencję emocjonalną i zalety oraz słabości.

Nie podobał mi się. Za bardzo samolubny i kontrolujący swoje emocje, zbyt mało empatyczny. Matko, co ja wyprawiam? A Vagn? Vagn okazał się asertywnym pesymistą.

Obejrzałam jeszcze zdjęcia Mickeya, gdy miał kilka tygodni.

Ceny nasienia kształtowały się od kilkudziesięciu do kilkuset euro. Gdybym zechciała, to zdecydowanie byłoby mnie na to stać. Inseminacji mogłam dokonać w klinice bądź w domu. Na stronie widniała oczywiście informacja, jak się do tego zabrać.

Byłam przerażona. I już? I tak łatwo sobie zaprogramować dziecko z określonymi cechami charakteru, wyglądu? Można sobie stworzyć człowieka idealnego?

Przejrzałam kilka innych profili potencjalnych dawców.

Dodie miał wprawdzie zielone oczy, ale za to był bardzo empatyczny. Najwyraźniej nie tylko dla mnie było to ważne, bo miał dwoje dzieci w Polsce. Mógł mieć ich jeszcze trochę, bo na każdy kraj przypadał limit. Dodie z pewnością go nie przekroczył.

Niewiarygodne.

Można było sobie kupić nasienie Dodiego. W zależności od potrzeb – jedną słomkę lub dwie. Mogły do mnie przyjechać zamrożone w suchym lodzie lub w ciekłym azocie.

I już?

Raz, dwa i po wszystkim? Byłam zaskoczona, jakie to proste. Wystarczyło mieć pieniądze, które nawet już miałam.

Ale co ja bym potem napisała w dokumentach? Ojciec nieznany? Czy wpisałabym Dodiego, Mickeya lub Fenrira? Westchnęłam.

Dopasowywanie materiału genetycznego dla mojego dziecka przypominało budowę wieży z klocków. Sama wybierałam kształty i te kolory, które mi się podobały. Moja wieża mogła być dokładnie taka, jaką sobie wymarzyłam.

Niewiarygodne.

Wyjęłam z lodówki lody, których nie dojadła Alicja, i zaczęłam jeść prosto z pudełka. Zamknęłam laptopa, poszłam się umyć i wskoczyłam do łóżka. Nie mogłam znaleźć czystej pizamy, zatem spałam nago. Przecież i tak nikt tego nie zobaczy. Niestety. Oczywiście w każdej chwili mógł widzieć to kolega z pracy, na przykład Jacek. Miałam wrażenie, a w zasadzie pewność, że wystarczyłby tylko drobny gest z mojej strony, a byłby już przy mnie. Nie potrzebowałabym żadnych Mikeyów ani Vagnów. Ojcem mojego dziecka zostałby Jacek Zawistowski, a ja byłabym szczęśliwą mamą. Może niekoniecznie szczęśliwą żoną, ale coś za coś.

Jednak nie mogłam tego zrobić.

Do tego tanga trzeba dwojga, czereśnie zawsze muszą być dwie i takie tam... Dualizm w przyrodzie i w życiu mnie przerażał. Nie było miejsca dla samotnych jednostek.

Wiedziałam o tym, bombardowana od lat życzliwymi słowami przeuroczych ciotek.

– Nie będzie miał kto ci podać wody na starość.

Racja. Nie będzie.

– A co ty zrobisz, jak twoja matka umrze?

Już sama nie wiedziałam, za co byłam na ciotki bardziej zła – czy za przedwczesne pochowanie mojej mamy, czy za tę szklanek wody, a w zasadzie jej brak, na starość.

Pewnie jeszcze kilka lat temu miałabym dużo mniejsze wymagania co do facetów. Gdy człowiek przekroczy dwudziestkę, patrzy na świat z ufnością, jego okulary są różowe. Potem ciemnieją. Gdy jest młody, nie ma też swoich przyzwyczajień, nawyków, które czasem uniemożliwiają budowanie trwałych relacji.

– Jeżeli już, to bierz się za rozwodników, wdowców. Nigdy za starych kawalerów – mówiła jedna z wszechwiedzących ciotek.

– Ciociu, jakich starych kawalerów? Przecież ja też jestem starą panną.

– Lepiej być starą panną niż starym kawalerem. Tacy są najgorsi – powiedziała. – Poza tym ty nie jesteś starą panną – dodała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– A kim?

– Dojrzałą, silną i niezależną kobietą. Tak jak i ja – powiedziała z dumą ciotka.

Ciotka nigdy nie wyszła za mąż, ale miała córkę, Kalinę, która została wziętą prawniczką. Bardzo angażowała się w obronę praw kobiet. Widocznie wykres cech osobowości ojca Kaliny osiągał pik w miejscu, w którym określana była empatia. Chociaż z pewnością nikt mu takiego testu nie robił.

Legenda rodzinna głosi, że ciotka pojechała do Międzyzdrojów i wróciła w ciąży. Następna. Do dzisiaj się nie przyznała, kim jest ojciec jej dziecka. Spekulacjom rodziny nie było końca. W mojej kuzynce dopatrywali się podobieństwa do wszystkich aktorów i celebrytów sprzed trzydziestu lat, którzy w tamtych czasach lansowali się na polskich plażach. Ja również miałam swoją teorię na ten temat.



Żuj przed jedzeniem, myśl przed mówieniem

powiedzenie wietnamskie

– Jeżeli chcesz zrobić sobie *in vitro*, to musisz się spieszyć. – Alicja zadzwoniła do mnie jakiś czas później.

– Dlaczego? – Wciąż przed oczami miałam wykres cech osobowości któregoś z moich niebieskookich kandydatów. Tego niewystarczająco empatycznego.

– Są plany zmiany ustawy. Gdy wejdzie, samotne kobiety nie będą mogły legalnie korzystać z zaawansowanych metod leczenia bezpłodności.

– Pozostanie nielegalna droga. – Roześmiałam się.

– No, jeszcze nie słyhać o czarnym rynku. Pewnie to kiedyś nastąpi, ale raczej trudno byłoby to ukryć. Zbyt dużo technologii, a później leków. Pozostanie ci tradycyjna metoda. – Teraz śmiała się Alicja.

– Tradycyjna? – zapytałam.

– Moja droga, czy ja ci muszę tłumaczyć, jak się robi dzieci? Żabki, pszczołki?

– Nie musisz – powiedziałam.

Niestety od czasu, gdy zobaczyłam stronę banku nasienia i dokładne opisy cech dawców, wiedziałam, że ciężko będzie mi spędzić noc z kimkolwiek. Bez znajomości jego słabych i mocnych stron oraz bez informacji, czy jego inteligencja emocjonalna jest powyżej czy poniżej przeciętnej.

Jednak technologia czasem przeszkadza. Mimo to wciąż w nią wierzyłam. W miłość już nie.

Tyle razy próbowałam sobie tę miłość wmówić. Na początku chyba nawet nie musiałam tego robić, ale gdy zauroczenie mijało, było już zupełnie inaczej.

Poznałam go w pierwszym tygodniu pracy w *CallAction*. Akurat było spotkanie integracyjne. Zostałam przyjęta do pracy na stanowisko menadżera, zarządzałam dziesięcioosobowym zespołem, za który odpowiadałam. Jacek był prezesem. Zakładał tę firmę i znał ją jak własną kieszeń. Działalność rozrastała się w szybkim tempie. Wymagało to zmian organizacyjnych, na które Jacek chyba nie był gotowy. Wciąż chciał trzymać wszystko w garści, wpływać na najdrobniejsze decyzje podejmowane przez pracowników. I te dotyczące zakupu materiałów piśmienniczych, jak i te związane z kilkuset tysięcy kontraktami.

Na spotkaniu integracyjnym usiedliśmy obok siebie. Do tej pory nie miałam okazji ze mną rozmawiać i może gdyby nie duże ilości alkoholu nasza konwersacja potoczyłaby się zupełnie inaczej. Oczywiście najpierw zamieniliśmy ze sobą kilka słów z grzeczności, płynnie przechodząc na ty, a później zapytał mnie, co sądzę o firmie.

I na swoje nieszczęście, jak mi się wtedy wydawało, powiedziałam mu, co myślę. A myślałam, że jest niekoniecznie dobrze zarządzana.

– Firma znajduje się teraz na etapie przejściowym – powiedziałam. – Z małej firemki zatrudniającej kilka osób bardzo szybko zmieniła się w firmę średnią. Ilu teraz jest pracowników?

– Około pięćdziesięciu na umowę o pracę – powiedział Jacek z dumą.

– No widzisz. Prezes nie jest w stanie wszystkiego ogarnąć – dodałam.

– Sugerujesz, że sobie nie radzę? – Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, a nawet lekkim szokiem w oczach. Chyba nie spodziewał się takiej bezczelności u nowego pracownika. Ja sama, gdy tylko wypowiedziałam te słowa, zaraz ich pożałowałam.

– Nie chciałam tego powiedzieć. – Spuściłam głowę.

– Ale powiedziałaś – stwierdził szorstko.

Powiedziałam. I wtedy bardzo tego żałowałam. Byłam przekonana, że przez niewyparzony język mój okres próbny zakończy się już w poniedziałek.

Po weekendzie oczekiwałam na wezwanie do biura prezesa. Cały dzień nerwów. Nie wyszłam na lunch, wypiałam tylko jedną kawę. Gdybym mogła cofnąć czas, to porozmawiałabym z nim na bardziej neutralne tematy. Pogoda, teatr, książki. Jakiegokolwiek, byle nie firma, polityka, religia. Bo to się zwykle źle kończyło. Co mnie podkusiło, by mówić mu, co naprawdę myślę o firmie?

Do końca tygodnia siedziałam jak na szpilkach. Dopiero w piątek przed szesnastą zadzwonił mój telefon na biurku. Sekretarka prezesa poprosiła, bym podeszła do niego na chwilę. Zwykle tak to się odbywało. Na koniec dnia, w piątek. Do widzenia.

I ktoś stał nad tobą, byś się szybko spakowała, pod żadnym pozorem nie zabierając nic z firmy i nie przegrywając żadnych danych z komputera. Słyszałam od koleżanek.

Wyłączyłam komputer. Nie chciałam nic zabierać. Mieli rację. Pociągnęłam usta błyszcznikiem, założyłam szpilki, które zawsze po przyjściu do pracy zamieniałam na płaskie buty, schowałam wszystkie swoje rzeczy do płóciennej torby. Byłam gotowa.

– Dzień dobry, panie prezesie – powiedziałam, gdy weszłam do jego gabinetu. Nawet się nie uśmiechnęłam, bo skąd miałabym mieć na to siłę w takiej sytuacji?

– Dzień dobry. – On się uśmiechnął. – Nie byliśmy na ty?

– Byliśmy – powiedziałam nieśmiało.

– No właśnie – potwierdził. – Napijesz się kawy?

– Nie, dziękuję. – Pokręciłam głową. Chciałam mieć to jak najszybciej za sobą.

– Wody? Herbaty?

– Nie, dziękuję.

– Trochę czasu tu spędzimy, więc ja poproszę o wodę. – Podniósł słuchawkę telefonu stojącego na biurku. – Pani Kasiu, poproszę dzbanek wody z cytryną. I wie pani co, jeszcze kawę w tym dużym termosie – dodał. – Później może pani już iść do domu, my tutaj jeszcze posiedzimy.

Zmarszczyłam brwi. Posiedzimy? Myślałam, że to będzie szybka piłka. Najwyraźniej się pomyliłam. Chwilę przeglądał papiery, potem weszła sekretarka z tacą, na której stała kawa, woda i talerz z kanapkami. Każda kromka była przyozdobiona pomidorem i szczypiorkiem. Pani Kasia, sekretarka prezesa, była zaprzeczeniem asystentek z amerykańskich filmów. Miała prawie sześćdziesiąt lat, jakieś metr pięćdziesiąt wzrostu, ogromny biust i taką samą pupę. Sprawiała wrażenie, jakby każdego chciała przytulić do swojej obfitej piersi i pocieszyć w chwilach zwątpienia. Jednak gdy ktoś miał coś na sumieniu, unikał pani Kasi jak ognia. Jakby się bał, że dostanie klapsa. Pani Kasia każdego pracownika traktowała jak własne dziecko.

Zwykle chadzała w sukienkach. Teraz była w takiej, w której już chyba ją widziałam, w pepitkę, z czarnym okrągłym kołnierzykiem przy niewielkim dekolcie.

– Piękną ma pani sukienkę, pani Kasiu. – Uśmiechnęłam się do niej.

– Dziękuję, dziecko, dziękuję. – Na pracowników poniżej czterdziestki zwykle mówiła w ten sposób. – Chodź na chwilę ze mną, jeszcze sól przyniesiesz.

– Ale... – zaczął Jacek.

– Chodź – powiedziała pani Kasia tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Mój groźny prezes skinął głową, a ja wyszłam z gabinetu, podążając za drepczącą panią Kasią.

– Dziecko – powiedziała, gdy zamknęła drzwi do pokoju Jacka. – Ty mów mi szczerze, co myślisz. Jak krowie na rowie.

Zmarszczyłam brwi.

– Pani Kasiu, on chce mnie zwolnić – powiedziałam.

– Zwolnić? – Machnęła ręką. – Gadanie. Nikogo nie chce zwalniać. Sprowokowałaś go do myślenia i tyle.

– Nie po to zaprosił mnie do siebie? – zapytałam zdziwiona.

– Nie. On naprawdę potrzebuje pomocy. Mądra dziewczyna jesteś. Mam nadzieję, że mu pomożesz, bo chłopak jeszcze zawału dostanie. – Pokręciła głową.

Rozmowę przerwał nam telefon. Pani Kasia odebrała. Płynną angielszczyzną przywitała rozmówcę, chwilę próbowała mu coś tłumaczyć, po czym zgrabnie przeszła na niemiecki.

Patrzyłam zdziwiona. Pani Kasia coraz bardziej przypominała mi „kobietę pracującą” graną przez Irenę Kwiatkowską w *Czterdziestolatku*. Już wiedziałam, dlaczego wszyscy uważali, że pani Kasia to skarb. Nie tylko dzięki kanapkom z pomidorem.

O soli zapomniałam. Wróciłam do gabinetu Jacka z pustymi rękami.

– No jasne. – Podniósł głowę znad dokumentów. – Wiedziałem, że nie o sól tu chodzi. – Uśmiechnął się.

Pokręciłam głową.

– Powiedziała ci, że nie masz się martwić, bo cię nie zwolnię.

– Tak – zgodziłam się.

– Ona ma nosa do ludzi. Już nie raz dobrze wychodziłem na tym, że posłuchałem jej intuicji.

– Długo tutaj pracuje?

– Od początku. Pomagała mi tworzyć tę firmę. Wcale nie chciałem jej zatrudniać.

– To jak to się stało?

– Przyszła do mnie po przeczytaniu ogłoszenia, że szukam asystentki. – Znów się uśmiechnął. – Nie takiej asystentki szukałem. Wiesz, jakie wyobrażenie o sekretarce ma młody facet budujący swoją własną firmę?

Oczywiście, że wiedziałam.

– Powinna być młoda, ładna, długonoga...

– Właśnie. Ona zupełnie nie przypominała asystentki z moich wyobrażeń. Gdy mój przyjaciel pierwszy raz ją zobaczył, stwierdził, że łatwiej ją przeskoczyć niż obejść. Do tej pory jest mu głupio, że w ogóle tak pomyślał. – Ugryzł kanapkę z pomidorem. – Pani Kasia przyszła do mnie z gazetą w dłoni i powiedziała, że będzie pracować przez miesiąc za darmo, po to, bym przekonał się, że jest mi niezbędna. Zgodziłem się na to. Potrzebna mi była sekretarka, postanowiłem ją zatrzymać do czasu, gdy nie znajdę kogoś lepszego.

– I co?

– I nie znalazłem – stwierdził wesoło. – Przychodziły tu różne panny. Bardziej lub mniej reprezentacyjne – zaakcentował to słowo – jednak żadna nie nadawała się do niczego poza „wyglądaniem”. Pani Kasia przekonała mnie do siebie w stu procentach, gdy kiedyś miałem klienta z Francji. Nie znam francuskiego. Chcieliśmy wyskoczyć na jakiś lunch, poprosiłem panią Kasię, by zarezerwowała nam restaurację gdzieś w centrum. Rozmowy się przeciągały. Miałem zaplanowane kolejne spotkanie, musiałem wyjść zadzwonić i je odwołać. Gdy wróciłem, pani Kasia rozmawiała w najlepsze z moim klientem po francusku. Oczywiście, gdy ją zatrudniałem, mówiła mi coś o tym, że zna biegle kilka języków, ale nie potraktowałem tego poważnie. Po chwili przyniosła wielki talerz kanapek. Taki jak teraz. Okazało się, że ustaliła to z moim gościem. Potem wszyscy moi stali

klienci chcieli kanapki od pani Kasi. – Zamyślił się. – Wiesz, ja chciałem budować korporację. Taką oschłą, zimną, profesjonalną. I całe szczęście, że znalazłem panią Kasię, bo mi się to nie udało. Nie można od razu budować czegoś wielkiego, najpierw małymi krokami trzeba zbudować zaufanie. I to mi bardzo dobrze wyszło. Nie mogę sobie wyobrazić, że ta kobieta dwa lata była bez pracy. Firma, która ją wcześniej zatrudniała, ogłosiła upadłość. Właściciel zwinął się za granicę, pracownicy zostali na lodzie. W naszym kraju kobieta po pięćdziesiątce ma małe szanse znalezienia fajnej pracy. A przecież to doskonały wiek! Dzieci odchowane, wnuków jeszcze nie ma, poza tym kobiety w tym wieku są najbardziej lojalnymi pracownikami. Nie zależy im już na zmianach. Chcą stabilizacji, już się wyszalały.

Pokiwałam głową.

– A co z planami budowy korporacji?

– No właśnie dlatego zaprosiłem cię tutaj, bo chciałbym z tobą o tym porozmawiać.

– Ze mną? – zdziwiłam się.

– Na spotkaniu integracyjnym wytknęłaś mi pewne błędy w funkcjonowaniu firmy.

Spuściłam głowę.

– Tak, wiem, nie powinnam...

– Nie każdy ma odwagę powiedzieć, co myśli.

– Pewnie w innych okolicznościach bym nie miała.

– Być może – powiedział. – Teraz słucham. – Nalał kawy do filiżanek. – Wtedy to nie był dobry czas.

– Typowe problemy dla firm, które już przestały być małe, a stają się większe. Potrzebna jest reorganizacja. Trzeba delegować uprawnienia, odpowiedzialność – zaczęłam.

Jacek pokiwał głową.

– Musimy się tym zająć.

Wtedy siedzieliśmy do północy. Kanapki od pani Kasi uratowały nasze żołądki od głodu. Analizowaliśmy wszystko po kolei. Kilka razy ostro wymieniliśmy poglądy. Nie bałam się wyrażać swoich opinii. Już nie. Tamtego dnia nie ustaliliśmy szczegółów, jednak Jacek zaproponował kolejne spotkanie, również w piątek.

– Nadgodziny będą – powiedział. – Albo sobie weźmiesz wolny dzień. Wolę pracować, gdy jest cicho i nikt nie zawraca głowy telefonami.

Ja też lubiłam pracować nocą. Księżyc mi sprzyjał, słońce rozleniwiało. Dziwiłam się tylko, że Jacek nie miał do kogo wracać. Był tuż po trzydziestce, powinien już w większym bądź mniejszym stopniu ułożyć sobie życie. Najwyraźniej tak nie było. Należał do tych mężczyzn, a właściwie chłopaków, którzy zakochują się w niewłaściwych kobietach. I potem długo leczą rany, ale nie tracą nadziei, że kiedyś prawdziwa miłość nadejdzie. A później znowu lokują – może nieco na siłę – swoje uczucia w kolejnej niewłaściwej osobie.

Jednak czy i tym razem miało się tak stać? Oboje byliśmy singlami bez zobowiązań, a piątkowe popołudnia i wieczory spędzaliśmy tylko we dwoje w dużym pustym budynku z wielkim stołem w sali konferencyjnej i wygodną skórzaną sofą w jego gabinecie.



Powiedz mi, gdzie cię swędzi, bym wiedział, gdzie drapać

powiedzenie wietnamskie

Odbyliśmy kilkanaście spotkań, wiele razy się pokłóciliśmy, dyskutowaliśmy aż po świt i w końcu strategia rozwoju firmy Jacka była gotowa. Oczywiście pewnie wymagała modyfikacji, ale było już nad czym pracować.

– Kawał dobrej roboty. – Uśmiechnął się. – Trzeba to uczcić.

– Oj, trzeba. – Przeciągnęłam się. Siedziałam na tapczanie w wygodnych bawełnianych spodniach i w luźnej bluzce. Jacek też porzucił swój formalny strój. Kiedyś powiedziałam mu, że lepiej mi się myśli bez butów.

– Ale jak to bez butów? – zapytał.

– Noszę kiedyś szpilki?

– Oczywiście. Codziennie je noszę – zażartował.

– No widzisz. – Wzruszyłam ramionami. – Szpilki musiał wymyślić jakiś wielki nieprzyjaciel kobiet.

– To po co je nosisz?

– *Dress code?*

– Dobrze, od jutra wydam rozporządzenie z zakazem noszenia szpilek w miejscu pracy – powiedział poważnie. – Jeszcze coś?

– Tak, panie prezesie – powiedziałam, śmiejąc się. – Czy na nasze piątkowe spotkania mogę przychodzić w czymś wygodniejszym niż garsonka?

– Proszę bardzo. Piżama?

– O właśnie. Albo dresik.

– Może być i dresik.

– Masz rację. W garniturze też źle się myśli.

Myśleliśmy zatem intensywnie, ubrani w wygodne ciuchy. Jesienią Jacek nawet wyciągnął z szafy puszysty koc.

– Przykryj się, zobacz, jaki miękki. – Uśmiechnął się.

Opatuliłam się kocem, laptopa położyłam sobie na kolanach. Jacek spojrzał na mnie i się roześmiał.

– No co? – zapytałam.

– Jak tak na ciebie patrzę, to jestem przekonany, że nie nadaję się do tworzenia wielkiej korporacji. Myślę raczej o przytulnym drewnianym domku w górach, w którym moglibyśmy siedzieć pod kocem z kubkiem grzanego wina w dłoni.

– Oj tak! – Westchnęłam. – Jednak na razie robota czeka.

– Czekaj. Ale jak skończymy, to musimy sobie przyznać jakąś nagrodę.

– Tak, wtedy będę piła szampana.

– Z truskawkami?

– A jakże.

– Tylko gdzie ja zimą truskawki znajdę?

– Mogą być mrożone.

W końcu udało nam się przygotować schemat działania. Trzeba było tylko

wcielić go w życie.

– Czekał specjalnie na tę okazję – powiedział Jacek, wyciągając z barku szampana. – Kiedyś dostałem w prezencie.

– Może poczekamy na owocne wdrożenie naszego planu?

– Z tej okazji będzie kolejny szampan. – Roześmiał się. – Truskawki też mam, jak chciałaś.

– Ja chciałam truskawki? – zdziwiłam się. – Nigdy wcześniej nie piłam szampana z truskawkami.

– Ja chyba też nie. – Pokręcił głową.

Nalał alkohol do kieliszków, po czym do każdego wrzucił kilka mrożonych owoców.

– Dziękuję, Aniu – powiedział. – Bez ciebie nie zrobiłbym tego. Tkwiłbym dalej w tamtym miejscu, myśląc, że ze wszystkim dam radę. Miałaś rację. Czas na zmiany.

– Zatem za zmiany. – Podniosłam kieliszek.

– Do dna?

– A szampana się pije do dna?

– Nie wiem – powiedział Jacek. – Możemy wypić do dna. Za zmiany!

Szampan był niezmierny. Czy tak smakuje sukces? Chyba tak. Kolejny kieliszek był za nasze zdrowie, potem piliśmy nawet za panią Kasię.

Bąbelki szumiały w naszych głowach. Wyjęłam z kieliszka truskawkę, która wypadła z mojej dłoni i potoczyła się za dekollet bluzki.

Jacek to zauważył.

– Powinienem cię ratować – powiedział.

– Przed czym?

– Przed truskawką. – Zbliżył się do mnie i powiódł palcem po czerwonym śladzie, który owoc zrobił na moim dekolcie, po czym wziął palec do ust. Cały czas patrzył mi w oczy.

– Chyba powinieneś mnie ratować – powiedziałam cicho.

Nachylił się nade mną i zaczął ssać truskawkowy sok. Szybko znalazł drogę do zaginionego owocu. Tamtej nocy kochaliśmy się po raz pierwszy. Nie myślałam wtedy o tym, czy robię dobrze. W moich żyłach płynął szampan, który powodował, że jeszcze intensywniej odczuwałam pocałunki Jacka. Kręciło mi się w głowie. Wtedy nie wiedziałam, od czego – nadmiaru emocji czy alkoholu.

Po wszystkim wzięliśmy taksówkę i pojechaliśmy do niego. Następnego dnia obudziłam się naga, w obcym łóżku, z mężczyzną, który chyba tak naprawdę nie był dla mnie nikim więcej niż szefem.

Tamtego dnia wstałam z łóżka szybciej, niż Jacek się obudził. Gdy otwierał oczy, byłam już ubrana.

– Poszaleliśmy trochę, co? – zapytał.

– Trochę – powiedziałam, nie patrząc mu w oczy. – Jacek... Za dużo szampana... Ja naprawdę cię lubię, ale...

– Aniu, spokojnie – przerwał mi. – Nie musisz się tłumaczyć. Jesteśmy dorośli, bez zobowiązań, mieliśmy ochotę spędzić miło czas...

– Tak, właśnie tak. – Czułam, że mam kaca. Ale chyba bardziej moralnego.

– Chodź się przytul – powiedział.

Przytuliłam się do niego mocno. Nie chciałam się czuć tak, jak się czułam. Miałam wrażenie, że jestem w zupełnie innym miejscu, niż powinnam być. I na

pewno nie w tych ramionach, które zaplanował dla mnie los. O ile w ogóle jakieś zaplanował.

Nasze relacje z Jackiem były dziwne. Po tamtej wspólnej nocy obiecywałam sobie wielokrotnie, że już nigdy więcej... Jednak wiele razy łądowaliśmy razem w łóżku, a to po imprezie firmowej, to po jego rozstaniu z dziewczyną. Oboje próbowaliśmy ułożyć sobie życie. Raczej z mniejszymi niż większymi sukcesami. Ja szukałam miłości przez portale randkowe, Jacek, jak się okazało, również. Po tym, jak umówiliśmy się ze sobą na randkę, zupełnie o tym nie wiedząc, też spędziliśmy noc razem.

– Jacek, ja wielokrotnie zastanawiałam się nad tym, co my robimy.

– Uprawiamy seks – powiedział wprost. – A poza tym się lubimy.

– Czy to ma jakiś sens? – zapytałam.

– Jest ci z tego powodu źle?

– Nie. Już nawet nie jest mi źle. Nawet nie mam wyrzutów sumienia. Po prostu czasem mam ochotę przytulić się do mężczyzny i ty jesteś w pobliżu.

Wiedziałam, że poza przyjaźnią i seksem nic nas nie łączy. Wielokrotnie zastanawiałam się, czy to wystarczy, by z kimś być. By dzielić każdy dzień, oglądać się co rano, przeżywać z nim codzienność, gdy ma zły humor, albo co gorsza znosić go, gdy sama nie będę w dobrym nastroju. Nie umiałam znaleźć odpowiedzi na to pytanie.

– Czy ty go w ogóle kochasz? – zapytała mnie któregoś dnia Alicja.

– Nie.

– To po co z nim jesteś?

– Ale ja z nim nie jestem – zaprzeczyłam.

– Sypiasz z nim.

– Tak.

Ala pokręciła głową.

– Moim zdaniem życie weryfikuje nasze wcześniejsze wartości – powiedziałam cicho.

– To znaczy, że możesz bzykać się z kim popadnie?

– Ala, nie z kim popadnie – obruszyłam się.

– A on? – zapytała. – Co on myśli o tym wszystkim?

– Nie wiem. – Pokręciłam głową.

– Nie rozmawiacie ze sobą?

– Oczywiście, że rozmawiamy – zaperzyłam się.

– No to co on mówi? – Czułam się jak na przesłuchaniu.

– Nic. Lubimy się, jest nam razem dobrze w łóżku.

Alicja westchnęła.

– Popatrz, to ja zawsze byłam ta nieprzyzwoita. Nie ty.

– Nie czuję się nieprzyzwoita. Po prostu gdy jesteś po trzydziestce, łatwiej ci iść do łóżka z przyjacielem niż jak masz dwadzieścia lat. Wtedy jeszcze wierzysz w miłość do grobowej deski, czekasz na księcia z bajki, chcesz zachować dziewictwo dla tego jedyne. Gdy jesteś po trzydziestce, już chyba w to nie wierzysz.

– Może właśnie przez to, że sypiasz z nim, zamykasz sobie drogę do

poznanie kogoś innego – zasugerowała.

– Nie zamykam sobie – zaprzeczyłam stanowczo.

– A gdyby on kogoś poznał?

– Ucieszyłabym się – odpowiedziałam szybko.

Może zbyt szybko.

– Na pewno? – Alicja spojrzała na mnie z powątpiewaniem. – Nie miałabyś go już na wyłączność.

– Pogodziłabym się z tym – powiedziałam stanowczo.

Nie byłam jednak tego pewna. Niby nie kochałam Jacka, ale taki układ był dla mnie bardzo wygodny. Niejednokrotnie zastanawiałam się, czy może na tym polega miłość? Może uczucie po trzydziestce wygląda zupełnie inaczej niż to nastoletnie? Pamiętam, że kiedyś wydawało mi się, że miłość to przyjaźń i wzajemna fascynacja seksualna. Teraz wiem, że niestety to nie wystarczy. Miłość jest czymś więcej, czymś, czego bardzo brakowało mi w życiu.

Byłam zdziwiona również tym, jak w miarę upływu czasu zmienia się postrzeganie świata. Kiedyś seks był czymś wyjątkowym, zarezerwowanym dla kogoś bardzo szczególnego. A teraz? Teraz już tak nie myślę. Jacek nie był miłością mojego życia, a nawet w ogóle nie był moją miłością, a bardzo lubiłam te nasze wspólne noce. Miałam zupełnie inny światopogląd niż dwadzieścia lat temu. Gdybym to wtedy wiedziała, nie uwierzyłabym. Gdybym te kilkanaście lat temu spotkała niemalże czterdziestoletnią kobietę, która myśli w ten sposób, jak ja myślę teraz, byłabym zniesmaczona. Cóż, przez wszystkie lata mojego życia nauczyłam się, że nie należy nikogo oceniać. Każdy wiek rządzi się swoimi prawami i czasem osiemnastolatka nie zrozumie dwadzieścia lat starszej kobiety. A może teraz osiemnastolatki są inne? Może współczesne młode dziewczyny by mnie zrozumiały? Gdybym miała córkę, marzyłabym o wielkiej miłości dla niej. Takiej na zawsze.

Jednak marne były szanse, bym w ogóle mogła mieć dziecko. Pewnie gdybym zdecydowała się na związek z Jackiem, stałoby się to realne, ale czy uczciwe względem niego? Czy potem już całe życie musiałabym udawać uczucie?

A może wspólne dni i noce powodują, że tej miłości można się nauczyć?

Miałam wrażenie, że zaplątałam się nieco w moim życiu. Alicja mówiła prawdę. To było bez sensu. Z mojej strony, bo Jacek chyba nie miałby nic przeciwko, by na zawsze zagościć w moim życiu.

– Rozumiem. To jest układ – wzdychał, gdy po wszystkim leżeliśmy przytuleni.

– Jacek, my nie możemy być razem.

– Ania, jesteśmy razem.

Nie lubiłam tych rozmów. Nie lubiłam, gdy patrzył na mnie w ten sposób.

– Jacek, proszę cię. Nie zaczynaj znowu.

– Dobra, rozumiem. Układ. Tylko seks, droga wolna – powtarzał moje słowa, które powiedziałam, gdy kiedyś wypiliśmy zbyt dużo wina.

Zawsze gdy je powtarzał, robiło mi się przykro. Jednak sama chyba nie za bardzo wiedziałam, czego oczekuję od losu. Żyłam z dnia na dzień. Nie zauważyłam momentu, w którym Jacek próbował poukładać sobie życie. Kiedyś, gdy w piątkowe popołudnie nie było już nikogo w pracy, weszłam do jego gabinetu.

– Ciężki tydzień – powiedziałam. – Mam w domu wino, sery i oliwki. – Uśmiechnęłam się.

Podeszłam do niego. Siedział przy biurku.

– No, panie prezesie, niech pan przestanie już pracować. – Zamknęłam mu laptopa i usiadłam na stole. – Proponuję ci wspólny wieczór, kolację ze śniadaniem i co tylko chcesz.

Jacek przez chwilę nic nie mówił.

– Dzisiaj nie mogę – uciął krótko.

– Bo? – zapytałam, siadając mu na kolanach.

– Bo się umówiłem.

– Randka? – drążyłam zaczepnie.

– Randka – potwierdził ku mojemu zaskoczeniu.

Zupełnie nie wiem, dlaczego zrobiło mi się przykro.

– To super – powiedziałam.

– Super. – Nie patrzył mi w oczy.

– Sama będę musiała wypić wino. – Uśmiechnęłam się, mimo iż wcale nie miałam ochoty tego robić.

– Muszę się zbierać – powiedział stanowczo.

Szybko wstałam z jego kolan. Nie czułam się tam mile widziana.

– Jasne. Ja też już pójdę. Na wino, ser i oliwki. Miłej randki – powiedziałam, wychodząc. Nawet na niego nie spojrzałam.

– Dziękuję – usłyszałam.

Czy miałam prawo być na niego zła? Nie. Przecież ustaliliśmy – żadnych zobowiązań. A właściwie ja to ustaliłam.

Tamtego dnia wróciłam do domu w bardzo złym humorze. Do tej pory byłam pewna, że żadna inna kobieta w życiu Jacka nie będzie miała dla mnie znaczenia. Było jednak zupełnie inaczej. Wściekła wróciłam do domu, zdjęłam garsonkę. Wsunęłam starą dżersejową sukienkę i wyjęłam lody z zamrażalnika. Zanim je wyjadłam, wlałam prosto do pudełka chyba pół butelki likieru kawowego. Usiadłam po turecku na łóżku. Całe szczęście, że rano nie sprzątnęłam pościeli. Przykryłam się kołdrą, na kolanach położyłam laptopa. Wiadomości na Facebooku jeszcze bardziej pogorszyły mój nastrój. Tu ktoś się zaręczył, tam obchodził dziesiątą rocznicę ślubu. Same romantyczne zachody słońca. Koleżanka z podwórka urodziła czwarte dziecko, a kolega znalazł żonę, która, gdyby się uparł, mogłaby być jego córką. Wszyscy uśmiechnięci, pełni szczęścia, zadowoleni z życia. Nie mogłam pozbyć się uczucia zawiści. Naprawdę wiele bym dała, by cieszyć się

ich szczęściem, ale tamtego dnia tylko zajadałam swoje smutki z coraz większą zazdrością. Kawowe lody obficie polane kawowym likierem nadawały się do tego wyśmienicie.

Tuż przed północą zadzwonił domofon.

– Kto tam? – zapytałam.

– Jacek.

Jacek? O tej porze?

– Nie wyszło? – przywitałam go.

– Nie. Nie wyszło.

– Bo?

– Może mam za wysokie wymagania? A może to wy, kobiety, macie zbyt duże potrzeby?

– A tym razem jak było?

– Nudno – powiedział. – Nie zaiskrzyło. Ona była kompletnie z innej planety.

– Ale dlaczego?

– Nieważne. Po prostu nieważne. – Wziął do ręki butelkę z likierem. – Nie masz czegoś mocniejszego?

– Mam – odparłam. – Wódka?

Wzruszył ramionami.

– Obojętnie. Byle z procentami.

Wyjęłam z barku jakiś mocniejszy alkohol. Nalałam do szklanki, wypić duszkiem.

Kilka chwil później leżeliśmy już nadzy w moim łóżku.

Jakie to wszystko było cholernie smutne. Dwoje bardzo samotnych ludzi, którzy próbują łączyć swoje życie kilkoma chwilami przyjemności. Jednak zdawaliśmy sobie sprawę, że pustki w naszym życiu nie da się zapełnić kilkoma minutami, a nawet godzinami rozkoszy. Nie da się jej zapełnić nawet naszymi łzami. Bo tak, wtedy oboje płakaliśmy. Byliśmy sobie tak bliscy, a zarazem tak bardzo dalecy.

Wielka samotność we dwoje. Czy to znak naszych czasów?

Jacek jeszcze kilka razy się z kimś spotkał. Przeważnie do mnie wracał. Ja również byłam na kilku randkach z takim samym skutkiem. Gdy jesteś po trzydziestce, masz do wyboru starych kawalerów albo tych, których „żona nie rozumie”. Z doświadczenia wiedziałam, że żona nawet nie zdawała sobie sprawy, że w jej małżeństwie tego zrozumienia nie ma.

Czasem siedzieliśmy we dwoje, przeglądając portale randkowe i szukając sobie wzajemnie potencjalnych partnerów życiowych.

– Ania, a ten? – pytał, pokazując mi swój tablet.

– Nie, no co ty. Takich ze złotymi łańcuchami i z gołą klatą od razu dyskwalifikuję.

Jacek wzruszył ramionami.

– Jacek, a zobacz, ta jaka fajna! – Pokazałam mu zdjęcie dziewczyny.

– Nie. Ona ma coś z twarzą.

– Z twarzą? – Spojrzałam zdumiona na śliczną blondynkę uśmiechającą się z monitora mojego laptopa.

– Z ustami.

– No, pewnie ma powiększone. – Popatrzyłam na wydatne usta kobiety. –

Ostrzyknięta.

– Ostrzyknięta?

– Chirurg powiększył jej usta.

– No widzisz? Mówiłem, że coś nie tak. Jak mam się całować z kobietą, która przyjmuje zastrzyki w usta? Fuj!

– Nie bardzo rozumiem, w czym to przeszkadza.

On rozumiał. Ja też wiedziałam, że proponowani przez niego kandydaci zupełnie mi nie odpowiadają. Może szukaliśmy zbyt daleko? Może trzeba było spojrzeć sobie w oczy i zastanowić się nad tym, co tak naprawdę ma w życiu sens?

Odbyliśmy godziny rozmów na ten temat. Kilkanaście razy zgodziliśmy się ze sobą, że tak nie można żyć, że takie bycie-niebycie ze sobą to marnowanie czasu. Po skończonych dyskusjach zwykle zasypialiśmy tuż obok siebie. Zwykle nago, zwykle przytuleni i zwykle po fajnym, naprawdę fajnym seksie.

Ale czy to wystarczy, by spędzić ze sobą całe życie?

Z drugiej strony czego mogliśmy chcieć więcej? Lubiliśmy się, w łóżku było nam cudownie. Nasz układ przypominał grę aktorską w codziennym serialu puszczanym w popołudniowym paśmie. Albo małżeństwo z trzydziestoletnim stażem. Chociaż w takim małżeństwie są pewnie wspomnienia miłości, namiętności, wspólne cele, dzieci, wnuki. My nie mieliśmy nic wspólnego oprócz nocy, podczas których każdy z nas wyobrażał sobie kogoś innego.

Zdecydowanie czekaliśmy na coś więcej. Na coś, co rozpali nasze serca i zmysły tak, że nie będziemy w stanie o niczym innym myśleć. A może te nadzieje były bezsensowne?

Czułam się bardzo samotna w naszej relacji. Jacek chyba też. Czekaliśmy na tę wielką miłość z utęsknieniem, chociaż już z mniejszą wiarą niż kilka lat wcześniej. Może z wiekiem człowiek staje się bardziej cyniczny? Może trudniej mu pofrunąć ponad ziemię i uśmiechać się do świata?

Potem Jacek się zakochał. A przynajmniej tak twierdził. Miłość trwała niecałe pół roku. Nie potrafiłam nazwać uczucia, które wtedy mną targało. Zazdrość? Chyba tak, choć może nie tyle o Jacka, ale o fakt, że on to poczuł. Że budził się co rano z uśmiechem na ustach, że czuł to, czego ja nie czułam od tak dawna.

Niestety idylla nie trwała zbyt długo.

Dziewczyna wróciła do byłego męża, a Jacek został sam. Ja w tym czasie oddałam się firmie. Ktoś musiał pracować, by kochać mógł ktoś.

– Dziecko, za dużo pracujesz. – Pani Kasia była wyraźnie zmartwiona.

– Lubię to. – Uśmiechnęłam się.

– Już trochę żyję na tym świecie i wiem, że dużo pracują tylko ci, którym czegoś w życiu brakuje.

– Brakuje, pani Kasiu. – Wzruszyłam ramionami. – Ale miłości nie można kupić w sklepie. Nie rośnie też na drzewach. Towar deficytowy w tych czasach. Chętnie kupiłabym nawet spod lady, ale nie wiem jak.

– Czy ja wiem, czy deficytowy? – zamyśliła się pani Kasia. – Może warto kupić sobie okulary, które pomogą dostrzec tę miłość?

– A co, gdy te okulary spadną? Gdy je zgubimy? Ja ciągle gubię okulary.

– Całe życie trzeba uważać, by ich nie zgubić. A gdy się pobrudzą i przestaniesz widzieć to, co powinnaś, trzeba je szybko wyczyścić.

– To nie jest oszustwo? Patrzyć tylko przez różowe okulary?

– A bo ja wiem? – zastanawiała się głośno pani Kasia. – Jestem z moim mężem już tyle lat. Nie uważam, bym go oszukiwała.

– Czy to była miłość? – zapytałam.

– Na początku... – Pani Kasia zanurzyła się we wspomnieniu. – Na początku nie. Ale założyłam właściwe okulary.

– Nie zgubiła ich pani?

– Teraz już ich nie potrzebuję. Przyzwyczaiałam się. I jestem szczęśliwa. Mam dwoje dzieci, niedługo wnuk mi się urodzi. Chłonę życie każdą chwilą. Ono tak szybko ucieka. Czasem trzeba się rozejrzeć wokół i może się okazać, że miłość jest tuż obok. Tylko jej nie widzimy.

– Ale na siłę?

– Zależy, jakie mamy w życiu priorytety. – Pani Kasia wzruszyła ramionami.

Właśnie. Priorytety. Ja bardzo pragnęłam dziecka, Jacek mógł mi je dać. Układ. Po prostu jeden z wielu życiowych układów.

Masz tylko jedno życie. Niestety nigdy nie wiesz, co stanie się za chwilę. Czasem nie powinieneś czekać ze swoimi decyzjami ani sekundy, bo gdy to zrobisz, będzie zbyt późno. Jednak jeśli poczekaasz, kolejna sekunda twojego życia może dać ci nadzieję. W tej sytuacji można tylko zaufać intuicji. A błąd? Błąd to część życiowego ryzyka.

Kiedyś koleżanka z pracy opowiadała mi, że zerwała z chłopakiem. Porzuciła go dla innego. Z tym innym przeżyła szaleńczy romans, który zakończył się po roku na Wyspach Kanaryjskich. Siedząc w toalecie na lotnisku, wysłała SMS-a do swojego byłego chłopaka. „Kocham cię. Spróbujmy jeszcze raz”. Nie odpisał. Zawahała się, czy zadzwonić. Nie zrobiła tego.

Chyba do tej pory tego żałuje, mimo iż jest szczęśliwą mężatką. Jej były chłopak miał popsuty wyświetlacz telefonu, nie odebrał SMS-a. Kilka minut później po raz pierwszy całował się na plaży ze swoją obecną żoną. Koleżanka, płacząc co noc przez kolejne pół roku, żałowała tej jednej minuty, której nie wykorzystała na jeden krótki telefon.

A może tak miało być?

Gdy ją zapytałam, czy jest szczęśliwa, uśmiechnęła się. Jest. Może los miał dla niej lepsze plany? Gdyby wtedy zadzwoniła, jej świat wyglądałby zupełnie

inaczej. Może gorzej? Może lepiej? Tego nigdy się nie dowie. Życie to nie książka, która może mieć kilka różnych zakończeń. W życiu zakończenie jest jedno, a droga, która do niego prowadzi, zależy tylko od ciebie.

Może pani Kasia miała rację? Może zbyt dużo pracowałam i naprawdę powinnam odpocząć, by nabrać dystansu do tego, co działo się w moim życiu? Może daleka podróż pomogłaby mi znaleźć okulary, przez które dostrzegłabym szczęście? Zdecydowanie potrzebowałam spojrzeć na otaczające mnie sprawy z innej perspektywy.



Nie rozpaczaj nad ciężkim losem.

Tak długo dopóki jest ziarno, będą wyrastać drzewa

wietnamska piosenka ludowa

Podobno gdy bardzo czegoś chcemy, los nam sprzyja, byśmy to osiągnęli. Widocznie los uznał, że potrzebuję urlopu. Moja ciężka praca przyniosła spore efekty.

Rada nadzorcza postanowiła mnie nagrodzić. Tuż przed trzydziestymi dziewięcymi urodzinami dostałam wysoką premię za szczególny wzrost sprzedaży naszych produktów przez *call center*. Nie traktowałam tego sukcesu jako wyłącznie swojej zasługi, ale ucieszyło mnie to, że zostałam doceniona. No tak, kiedyś sypiałam z prezesem. Jednak to nie tylko on decydował o premii.

– Jak chcesz mnie docenić, daj miesiąc urlopu – powiedziałam.

– Miesiąc? – Popatrzył na mnie przerażony. – Nie damy sobie rady bez ciebie – powiedział.

Miałam wrażenie, że Jacek nie daje sobie rady beze mnie w ogóle, nawet w życiu. Po burzliwym rozstaniu potrzebował ramion, w które mógł się wypląkać. Moje były sprawdzone, były też blisko. Po co szukać innych?

– Firma sobie nie poradzi czy ty? – zapytałam wprost.

– Ania. Miesiąc?

Wzruszyłam ramionami. Potrzebowałam odpoczynku. Nie chciałam leżeć na plaży w ciepłych krajach. Chciałam pojechać gdzieś daleko, tam, gdzie mnie jeszcze

nie było.

– Trzy tygodnie – jęknął pod naporem mojego spojrzenia.

Uśmiechnęłam się. Trzy tygodnie mi wystarczyły. Uścisnęłam go, pocałowałam w policzek. Jego spojrzenie mówiło, że coś się zmieniło. Stał się jednym z tych, który chciałby zagościć na dłużej w moim sercu, mieszkaniu, łóżku. Niestety. Ja nie chciałam. Miałam nadzieję, że nie zaważy to na naszej współpracy zawodowej.

– Od kiedy chcesz ten urlop? – Skrzywił się. – Może wyjechałabyś na początku czerwca? Tak by Zośka cię zastąpiła. Potem, jak się wakacje zaczną, to już nikogo nie będzie w robocie.

– Może być na początku czerwca – powiedziałam. – Dzięki, Jacek.

Uśmiechnął się do mnie.

– Może jakieś wino, by to uczcić? Dziś wieczorem?

Pokręciłam głową.

– Jacek. Wiesz przecież... Nie rozgrzebujmy tego znowu, to do niczego nie prowadzi.

– Ania, wiem. Wino, rozmowa. Bez zobowiązań.

Zgodziłam się.

Od razu po pracy pojechaliśmy do niego. Byłam tam tyle razy... Od ostatnich odwiedzin przybyła tylko mała ramka na zdjęcia z fotografią jego byłej dziewczyny.

– Nie zrobisz, widzę, porządków?

– Może w domu nie – przyznał, biorąc ramkę do rąk. – Ale w życiu zrobiłem

porządek.

– A w sercu?

– W sercu też coraz większa przestrzeń. – Spojrzał na mnie wyczekująco.

Odwróciłam spojrzenie. Chciałam mu przekazać, że chyba nie tworzy tej przestrzeni dla mnie. Nie teraz. Nie byłam gotowa, by gościć w jego sercu. Nawet na krótką chwilę.

– Aniu.

– Jacek. – Przestraszyłam się, że chodzi mu o coś więcej niż czysty układ. – Nic nie mów.

– Rozumiem – powiedział. – Bez zobowiązań.

Bez zobowiązań wylądowaliśmy w łóżku. Jak było? Wspaniale. Dobrze znaleźliśmy swoje ciała, swoje reakcje. Tyle razy przecież byliśmy nastawieni na sprawianie sobie wzajemnie przyjemności. Te chwile były cudowne.

Ale nie chciałam spędzić z nim całego życia. Fajny seks nie wystarczy, by być z kimś na dobre i na złe. Miła rozmowa również nie. Musi się pojawić jeszcze to bliżej nieokreślone „coś”, co powoduje, że zaczynamy kochać cały świat i uśmiechamy się do siebie na ulicy. To „coś” powodujące, że budzimy się rano i cierpimy, że na posłaniu obok jest tylko wgniecione miejsce na poduszce, ale zaraz przypominamy sobie, że to chwilowe, bo ten, który ma być obok już na zawsze, tylko na sekundę zniknął w łazience. Nie czułam tego, gdy Jacek był w pobliżu.

– Jacek. Przepraszam. Wiesz, że...

- ...nic z tego nie będzie – dokończył. – Wiem. Ale... Zrozumiałem to niedawno. Chyba będę próbował.

Zmartwiłam się.

Kiedyś czytałam, że nie ma czegoś takiego jak długofalowe relacje oparte na seksie bez zobowiązań. Prędzej jedna lub druga osoba się zakocha i co wtedy?

Jacek powoli się zakochiwał. A może zrobił to już dawno i wiedząc, że z mojej strony nie może liczyć na odwzajemnione uczucie, szukał szczęścia gdzie indziej?

Jakie to przykre, że czasem ranimy dobrych ludzi. Trafiamy na nich zupełnie przypadkowo, bardzo ich lubimy, ale to jednak nie wystarcza, by spędzić z nimi całe życie. Nie chcemy ich ranić, ale robimy to.

– Przepraszam, Jacek – powiedziałam jeszcze raz. Naprawdę było mi przykro.

Nic nie odpowiedział.

Odprowadził mnie do domu, przytulił jeszcze raz. Chyba chciał ze mną zostać do rana, nawet chwilę leżeliśmy w moim łóżku i rozmawialiśmy, jednak wyszedł tuż przed północą, a ja usiadłam do komputera. Nie wiedziałam, czy dobrze robię. Postanowiłam, że muszę pojechać gdzieś daleko, gdzie nie będę nikogo znała, gdzie w spokoju uda mi się pomyśleć nad minionymi latami mojego życia i zastanowić się, co powinnam robić w kolejnych. Może umiałabym się zakochać w Jacku? A może ja nie umiem już kochać? Może człowiek potrafi zatopić się w miłości tylko wtedy, gdy jest bardzo młody? Ale nie. Przecież moja mama miała pięćdziesiąt pięć lat, gdy poznała Jurka. I wtedy uśmiechała się niczym zakochana nastolatka. Naprawdę jej zazdrościłam.

Miło się na nich patrzyło. Może ciała mieli już dojrzałe, ale w ich oczach widziałam iskry jak u nastolatków.

Miłość nie zna wieku. Tylko zegar biologiczny pędzi nieubłaganie. I czasem miłość przychodzi zbyt późno.

Zbyt późno, by zostać matką.

Pewnie gdybym powiedziała Jackowi, że chcę mieć dziecko, od razu stanęłyby w progu z kwiatami i pierścieniem zaręczynowym. Nie o to mi chodziło. Nie mogłam mu tego zrobić. Coraz lepiej pamiętałam słowa mamy o jednej z jej koleżanek... Renatce? I o jej synu. Lekarzu, którego ot tak postanowiła mieć.

Jak ona to zrobiła?

Stała na ulicy i zaczepiała przygodnych mężczyzn, pytając: „Dzień dobry, bardzo przepraszam, że zakłócam pana spokój, ale czy zrobiłby mi pan dziecko?”.

Czy może na imprezie, gdzieś za remizą strażacką, miała ochotę na chwileczkę zapomnienia i ta chwileczka zaowocowała synem?

Do cholery! Jak ona się za to zabrała?

Nie wyobrażałam sobie tego.

I co? Potem mijala wykorzystanego faceta na ulicy, prowadząc wózek ze śpiącym niemowlęciem i słowem mu nie wspomniała, że to jego syn? A może już go nigdy nie spotkała? Może żył w nieświadomości, że gdzieś tam chodzi mężczyzna, w którym płynie jego krew? Jak ona mogła mu to zrobić?

Chociaż może nie każdy facet chce mieć syna, posadzić drzewo i zbudować dom. Ale chyba każdy chce przedłużyć gatunek. Odwieczne prawo natury.

A może nie chciała być sama? Ja też nie chcę. Nie do końca życia. Chcę kupować różowe albo niebieskie miniaturowe niemowlęce ciuszki, chcę codziennie chodzić z wózkiem na długie spacerzy. Chcę rano dzwonić do koleżanek i mówić, że jestem strasznie niewyspana, bo moje dziecko budziło się często w nocy, gdyż po prostu chciało się do mnie przytulić. Albo to ja chciałam się często budzić w nocy, bo ja chciałam się przytulać do mojego dziecka. Obojętnie.

Bardzo chciałam być mamą. Poczuć tę piękną bezwarunkową miłość.

Nie mogłam spać tamtej nocy.

Leżąc w łóżku, bezmyślnie przeglądałam telefon. Facebook, Instagram – co chwilę dzieci, koty i jedzenie. Ja jadłam głównie poza domem, kota nie miałam, nie mówiąc o dzieciach. Ale tak rzadko bywałam w mieszkaniu, że nie mogłam sobie pozwolić na to, by przygarnąć jakiegokolwiek zwierzaka. Dla niego nie byłabym w stanie zmienić swoich przyzwyczajzeń. Dla dziecka tak.

Wstałam i pościeliłam łóżko. Przeszkadzała mi wygnieciona poduszka po drugiej stronie, tam gdzie przed chwilą leżał Jacek. Nie wiem, dlaczego zawsze, gdy zmieniałam pościel, ubierałam dwie poduszki. Przecież jedna zupełnie mi wystarczała.

Dźwięk przychodzącego maila. O drugiej w nocy?

Otworzyłam pocztę. Jedno z biur turystycznych informowało mnie, że ma w swojej ofercie promocyjny bilet lotniczy do Hanoi. Tam i z powrotem. 1700 złotych. Hanoi? Azja? Wietnam? Nigdy nie byłam w Azji. Wietnam znałam tylko z filmów wojennych, namiętnie oglądanych przez Marcina wiele, wiele lat temu. Ale zawsze chciałam tam polecieć.

Nie namyślając się długo, podeszłam do komputera. Weszłam na stronę biura podróży. Kupiłam bilet. Bilet w nieznane. Po chwili przyszło potwierdzenie. Nie wiedziałam wtedy, że moment, w którym wsiądę do samolotu lecącego najpierw do Paryża, a później do Wietnamu, będzie początkiem mojego nowego życia. Życia pełnego cudnych niespodzianek. Pachnącego tak, jak mogą pachnieć tylko spełnione marzenia...



Dzień podróży przynosi kosz pełen nauk

powiedzenie wietnamskie

– Lecę do Wietnamu. Hanoi, Ha Long – oświadczyłam następnego dnia Jackowi. – Za dwa tygodnie. Będę w pracy do piątku.

Mój szef przewrócił oczami.

– A co ty tam będziesz robić? – zapytał, jakby nigdy nie był na wakacjach. Może nie był. Nie pamiętam, kiedy nie było go w pracy.

– Będę zwiedzać, wypoczywać, poznawać nowych ludzi...

– Dalej nie mogłaś? – przerwał mi, uśmiechając się.

– Mogłam. Do Australii. Też była promocja – udałam, że nie rozumiem jego żartu.

Byłam coraz bardziej pewna, że kolejna wspólnie spędzona noc była pomyłką. Oczywiście słowa, że to nic nie znaczy, poszły w zapomnienie. Z mojej strony nic nie znaczyło, a z jego? Miałam wrażenie, że czuł się za mnie odpowiedzialny, że miał zamiar się o mnie troszczyć.

Jasne. Mógł się troszczyć, ale kiedyś sobie powiedziałam, że żaden człowiek nie będzie mnie ograniczał. Żaden. Żaden nie zabroni mi tego, na co mam ochotę.

Przed oczami stanął mi obraz mnie samej z niemowlakiem na ręku. Nierealne marzenie. Wydawałoby się, że sama mogę osiągnąć swoje cele. Niestety do realizacji tego marzenia potrzeba było dwojga. I to bardziej niż do tanga, bo na upartego tango można zatańczyć samemu.

Żaden dorosły człowiek nie będzie mnie ograniczał – poprawiłam się w myślach. Gdybym miała dziecko, mogłabym poczuć się trochę ograniczana. Ja, kobieta wyzwolona, której instynkt macierzyński obudził się zdecydowanie za późno i w zupełnie niestosownym momencie.

Kolejna przyjaciółka, Edyta, kilka dni temu powiedziała mi, że na dziecko nie jest jeszcze za późno.

– Anka, za późno by było, gdybyś miała menopauzę – prychnęła. – Medycyna poszła do przodu. Dzieci można rodzić długo. Matki po czterdziestce to teraz norma.

– Tak, ale fajnie by było, gdyby dzieci miały matkę, nie od razu babcię. – Wzruszyłam ramionami – Poza tym trzeba mieć z kim... Nie wiem, czy wiesz, jak się robi dzieci. Mam ci wytłumaczyć?

Edyta się roześmiała.

– Mniej więcej wiem. Potrzebny ci facet. Na jakieś dziesięć minut.

– Edyta! – Byłam oburzona.

– No wiesz. Można z kimś być na chwilę. Zrobić swoje. I jakby co, nie musisz mu w ogóle mówić, że jest ojcem – tłumaczyła moja przyjaciółka.

– Jakbym słyszała moją matkę. – Pokręciłam głową.

– Gdybyś wrobiła go w dziecko, chciała alimentów albo zaciągnąć go do ołtarza, to nie byłoby fair. A tak? Dasz mu dziesięć minut przyjemności w życiu i po prostu o nim zapomnisz.

– Brutalne. – Westchnęłam. Byłam zaskoczona, że można tak w ogóle myśleć.

– A tam zaraz brutalne. – Edyta machnęła ręką. – On nic nie będzie wiedział,

nawet mu przykro nie będzie. A zresztą. Czy mężczyznom w ogóle bywa przykro?

Dwa lata temu mąż zostawił ją z dwójką dzieci i nawet nie kwapił się, by płacić alimenty. W każdym razie robił to bardzo nieregularnie.

– Egoistyczne – mruknęłam cicho.

– Trochę tak. Ale zastanów się, czy gdybyś miała wybór: być na świecie bez ojca czy w ogóle nie istnieć, co byś wybrała? – zapytała filozoficznie.

Nie odpowiedziałam.

– Prosta sprawa – Edyta kontynuowała. – Chciałabyś być na tym świecie. – Uśmiechnęła się.

– Będziesz musiała wziąć urlop po urlopie, by wypocząć. – Głos Jacka wyrwał mnie z zamyślenia. – Na ile jedziesz?

– Na krótko. Dziesięć dni.

– Wrócisz potem od razu do pracy?

– Przecież powiedziałaś, że mam wziąć urlop, by wypocząć. – Uśmiechnęłam się.

– Aniu... Będę tęsknił.

Zapadła niewygodna cisza. Nie chciałam, by tęsknił. Chociaż z drugiej strony... Pewnie gdybym zaczęła udawać, że on też jest mi bliski, to ani bym się nie zorientowała, a codziennie zasypialibyśmy i budzili się razem. Następtwem tego wszystkiego byłoby dziecko. Czyli największe marzenie mojego życia.

Wielokrotnie zastanawiałam się, jak w dawnych czasach funkcjonowały aranżowane małżeństwa. Przecież też zdarzało się im zgodnie iść przez życie. Nie było tylu rozwodów, udawało im się dożyć w przyjaźni aż do śmierci.

Kiedyś swatanie było czymś naturalnym. Dziś jednak najważniejsza jest dla nas wizja miłości romantycznej.

Jednak na świecie wciąż ponad połowa małżeństw jest aranżowana. Wiele badań wskazuje, że są one trwalsze niż te, w których małżonkowie dobrali się sami, a uczucie łączące parę jest silniejsze.

Czy mogłabym żyć tak z Jackiem? Czy po roku lub po dwóch nie zaczęłoby mnie denerwować w nim wszystko? Jak chodzi, jak je, jak chrapie, w którą stronę wkłada talerze do zmywarki. Czy umiałabym zaakceptować życie bez miłości? Przecież nie kocham go.

Pamiętam podręcznik do psychologii *Człowiek istota społeczna*. Zdecydowanie nie jesteśmy stworzeni do życia w samotności. Dobrze czasem spędzić trochę czasu sam na sam ze sobą, ale z pewnością nie całe życie.

Niedawno spotkałam koleżankę z podstawówki. Szła z śliczną młodą kobietą.

– Moja córka – przedstawiła mi ją.

Podczas gdy moje koleżanki miały już dorosłe dzieci, ja dopiero zaczynałam myśleć o tym, by być mamą. Ten świat jest jednak dziwnie skonstruowany.

Ja jestem dziwnie skonstruowana.

Mój tata zawsze mówił, że gdy człowiek ma jakiś problem, powinien

pojechać w daleką podróż. Najlepiej sam. Popłynąć daleko, polecieć wysoko. Gdy jest się z dala od domu, od codzienności, można złapać większy dystans do świata. Problemy z takiej perspektywy są mniej widoczne.

Pamiętam tę naszą rozmowę. Często ją przywołuję. Pomaga mi. Miałam wtedy może z piętnaście lat. Może nawet mniej. Tata posadził mnie sobie na kolanach, mimo że byłam już na to zbyt duża. Miałam wtedy jakiś kłopot. Nie pamiętam już jaki, pewnie teraz wydawałby mi się banalny, ale tata nigdy nie lekceważył moich problemów.

– Córeczko, gdy masz kłopoty, musisz złapać dystans. Odejść trochę na bok. Pojechać gdzieś bardzo daleko...

– Ale po co? – zapytałam.

– Pamiętasz, jak byliśmy w górach?

Pokiwałam głową.

– A jak wspięliśmy się na Giewont? Albo wjechaliśmy kolejką na Kasprowy Wierch?

– Pamiętam.

– Widziałaś na dole ludzi? Ich domy? – zapytał.

– Ludzie? Byli bardzo malutcy... Albo nie było ich wcale widać... Domy też takie niewielkie...

– No widzisz. Z problemami jest dokładnie tak samo. Gdy odsuniesz je na chwilę, spojrzysz z daleka, zmniejszają się. I na pewno wtedy łatwiej jest ci znaleźć rozwiązanie.

W tamtym czasie zabrał mnie do Malborka. Tak na jeden dzień. Pokazał mi płaskorzeźbę z pannami roztropnymi i niemądrymi. Po dziś dzień zastanawiam się, do których się zaliczam.

Wtedy moje kłopoty były na tyle małe, że te kilkadziesiąt kilometrów dzielących Gdańsk od Malborka wystarczyło, by znaleźć rozwiązanie. Teraz

musiałam polecieć aż na inny kontynent.

Naprawdę miałam nadzieję, że wszystkie troski mojej codzienności zrobią się zupełnie nieistotne, gdy spojrzę na nie z daleka. Będą takie małe, jak ci ludzie, na których patrzyłam z wysokiej góry ponad dwadzieścia lat temu.

Hotel zarezerwowałam tylko na pierwszych kilka dni. Potem chciałam podróżować bez planu, prosto przed siebie. Miałam telefon do znajomej Jacka, która mieszkała w Hanoi. Przyjaciółka jego mamy ze studiów.

Gdy studiowała, bardzo dużo Wietnamczyków przyjeżdżało się uczyć do Polski. Z niektórych opowiadań Jacka wynikało, że kochają Polskę jak drugą ojczyznę.

– Małgosia pokaże ci Hanoi – powiedział Jacek.

– Małgosia? To Polka? – zapytałam.

– Nie. – Uśmiechnął się. – Ale w Polsce miała na imię Małgosia. Do tej pory mówią tak na nią przyjaciele, którzy z nią studiowali. Nawet ci wietnamscy.

Dopiero później dowiedziałam się od Małgosi, że pierwszego dnia, kiedy studenci z Wietnamu przyjechali do Polski na kurs języka polskiego, nadawano im polskie imiona.

– Ty będziesz Małgosia, ty Wanda...

I tak przyjaciółka mamy Jacka została Małgosią.

Nie mogłam doczekać się tych wakacji. Ostatni raz tak daleko byłam w Afryce. Po zdobyciu Kilimandżaro czułam się królową świata. Teraz nie miałam zamiaru zdobywać szczytów. Chciałam poznać Hanoi, dostać się do zatoki Ha Long i zobaczyć na własne oczy ten jeden z siedmiu cudów natury.

Podróż trwała bardzo długo. Myślałam, że w Paryżu mam mnóstwo czasu na przesiadkę, bo aż dwie godziny. Lotnisko było jednak tak wielkie, że ledwo zdążyłam na samolot do Hanoi.

– Pomogę pani z walizką – powiedział wysoki mężczyzna, gdy odbierałam w Paryżu swój bagaż.

Niestety linie lotnicze nie miały podpisanego porozumienia z portem lotniczym i musiałam przesiadać się ze wszystkimi tobołkami. Po raz pierwszy spotkałam się z taką sytuacją.

– Dziękuję bardzo. – Uśmiechnęłam się. – Rączka się zacina i czasem nie mogę sobie dać rady. – Cały czas mocowałam się z uchwytem.

– Czas na nową – stwierdził. – Pomogę.

Oddałam mu walizkę, a on płynnym ruchem szarpnął i wyciągnął rączkę.

– Nowa walizka, zdecydowanie! – powtórzył.

– Na pewno przy następnej podróży. Chociaż chyba częściej jeżdżę z plecakiem. Dziękuję za pomoc.

– Kończy pani swoją podróż w Paryżu czy jedzie pani dalej? – zapytał.

– Dalej – ucięłam. Nie czułam potrzeby, by zwierzać się nieznajomemu ze swoich planów.

– Ja też jeszcze dalej. Całkiem daleko – zamyślił się. – Lubi pani sama podróżować? – zapytał po chwili.

– Czasem nie ma wyjścia. – Wzruszyłam ramionami.

– Czasem nie ma. – Najwyraźniej się zasmucił. – Ale trzeba iść do przodu.

– Coś nie cieszy pana ten... urlop? Czy praca?

– Urlop – powiedział. – Czas na przemyślenie pewnych spraw.

– Witam w klubie.

Spojrzał na mnie pytająco.

– W klubie tych, którzy jadą daleko, by przemyśleć pewne sprawy. I po to, by nabrać energii, by po powrocie podjąć pewne decyzje.

– Gorzej, jak na pewne sprawy nie mamy wpływu – powiedział z przekąsem.

– A nie jest tak, że zawsze mamy na coś wpływ? – zapytałam zaczepnie.

– Czasem decyzje są podejmowane za nas.

– Niby ma pan rację... – zamyśliłam się. – A czasem do podjęcia pewnych decyzji potrzebujemy drugiej osoby. Nieważne. – Złapałam rączkę walizki. – Muszę już iść, bo nie zdążę na kolejny samolot.

– Który odlatuje do...? – próbował się dowiedzieć.

– Daleko! – powiedziałam. – Do widzenia – dodałam, chociaż miałam wątpliwości, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczę.

– Do zobaczenia – usłyszałam.

Pobiegłam. Jak się potem okazało, w zupełnie przeciwną stronę, niż powinnam. Lotnisko Charles de Gaulle było naprawdę ogromne. By dotrzeć z jednego terminalu na drugi, musiałam jechać autobusem i kolejką. Może gdybym się nie pogubiła, byłoby mniej nerwowo. Zdążyłam tuż przed zamknięciem bramek, a na pokład weszłam ostatnia. Samolot był dużo większy niż ten lecący z Warszawy do Paryża. Już tam można było poczuć się jak w Wietnamie. Pełno Azjatów mówiących w zupełnie niezrozumiałym języku. Niewielu Europejczyków. Usiadłam obok uśmiechającej się Wietnamki. Niestety, słabo mówiła po angielsku. Wyciągnęłam mój czytnik, przekartkowałam pobieżnie magazyn wietnamskich linii

lotniczych, niewiele spałam. Miła wietnamska stewardessa zapytała, czy chcę obiad w wersji europejskiej, czy azjatyckiej. Jasne, że azjatyckiej. Ja już zaczęłam swoją podróż.

Po wielu godzinach lotu wylądowaliśmy w Hanoi.



Ptak, który ucieknie z klatki, nigdy do niej nie wróci

powiedzenie wietnamskie

Doskonale pamiętam ten pierwszy dzień. Zapach zupełnie inny niż w Gdańsku, ciepłe i bardzo wilgotne powietrze, które uderza w twarz tuż po wyjściu z samolotu. Wielokrotnie myślałam, że zbiera się na deszcz. Potem nawet się do tego przyzwyczaiłam.

Małgosia czekała na mnie na lotnisku z białą kartką z napisem „Anna”.

Od razu ją zauważyłam. Drobna, uśmiechnięta Wietnamka w nieokreślonym wieku. One wszystkie wyglądają tak młodo!

Przywitałyśmy się.

Małgosia bardzo dobrze mówiła po polsku. Pojechałyśmy do centrum. Ulokowała mnie w hotelu, nie rozpakowywałam się nawet, tylko szybko zostawiłam walizkę i wyszłyśmy na głośnie ulice Hanoi. Nie chciałam odpoczywać, nawet po siedemnastu godzinach lotu. Leniuchować mogłam w domu, nie tu. Tutaj chciałam wykorzystać każdą godzinę najlepiej, jak to tylko możliwe.

Byłam zachwycona przepiękną starówką Hanoi, kolonialną architekturą naznaczoną chińskimi wpływami i bogatym życiem ulicznym. To miasto jest niepowtarzalne. Z jednej strony typowa zabudowa azjatycka, a z drugiej ogromne murowane wille – pozostałość po koloniach francuskich. Zwiedzałam zabytkowe świątynie, zachwycały mnie jeziora i zielone oazy w centrum miasta, gdzie o świcie można było spotkać gimnastykujących się Wietnamczyków.

Gdy teraz zamykam oczy i przypominam sobie ten Wietnam, który pokazała mi Małgosia, widzę zamieszanie, słyszę hałas, którego początkowo nie umiałam do niczego porównać. Później okazało się, że to cykady. Przypominam sobie olbrzymi ruch na ulicach – wydawałoby się, że nie ma tam świateł ani zasad ruchu drogowego oprócz jednej: kto jest większy, ten ma pierwszeństwo. Wietnam to ludzie na skuterach, którzy są w stanie przewieźć na nich wszystko – trójkę dzieci wracającą ze szkoły, połowę świniaka, wielką szafę albo kosze pełne kwiatów.

Wietnam to cudowne smaki – ananasów sprzedawanych na ulicy, napoju wyciskanego bezpośrednio z trzciny cukrowej i zupy *pho* jedzonej w przydrożnych barach.

Czuję te smaki, zapachy i to wilgotne gorąco.

Pamiętam też słomiane kapelusze sprzedawane z rowerów. Mój wisi na ścianie i przypomina mi o tym, co miało swój początek tam, gdzie go nosiłam.

– Małgosiu, zawsze tak ciepło mówisz o Polsce... Właściwie dlaczego? – zapytałam moją przewodniczkę kolejnego dnia.

– Zawsze będę ciepło o niej mówić. – Uśmiechnęła się. – Polska jest moim drugim domem. Wszyscy, którzy studiowali w Polsce, są jej bardzo wdzięczni. Nie dość, że dała nam schronienie, gdy u nas była wojna, to nas wykształciła. Wielu ludzi, którzy zajmują ważne stanowiska w Wietnamie, studiowało właśnie w Polsce.

Siedziałyśmy w kawiarni z widokiem na najgłośniejsze, najbardziej kolorowe i ruchliwe miasto, jakie w swoim życiu widziałam. Piłyśmy dziwny napój, który konsystencją przypominał kisiel, ale był rzadszy i został podany z kostkami lodu.

– Bardzo miło wspominać studenckie czasy. Mimo że przez sześć lat ani razu nie byłam w domu. Tęskniłam, ale tam była wojna, a u was pokój. Byliśmy najlepszymi uczniami, nie każdy mógł wyjechać. Jeździliśmy do Polski pociągiem.

Przez Związek Radziecki. Podróż trwała ponad tydzień. W tym pociągu rodziły się przyjaźnie. Nawet kilka małżeństw znam, które poznały się w pociągu. To była energia i młodość.

Miałam wrażenie, że Małgosia nic z tej energii i młodości nie straciła. U wietnamskich kobiet nie widać wieku. Czas jest dla nich bardzo łaskawy.

Hanoi tętni życiem. Hałas cykad miesza się z odgłosami ruchu ulicznego, przyspieszających skuterów i głośnych klaksonów. Małe uliczki płaczą się i przecinają ruchliwymi skrzyżowaniami. Niemalże wzdłuż każdej odbywa się handel uliczny. Często rolę bazarowych stoisk odgrywają rowery, na których ustawiony jest cały towar. Kwiaty, słomiane kapelusze, kosze z owocami. Całe życie odbywa się na ulicy. Tam Wietnamczycy jedzą, spotykają się ze znajomymi.

Najstarsza część Hanoi składa się z plątaniny małych uliczek wokół centralnego punktu. Wiele lat temu zamiast ulic były tu wioski otaczające pałac cesarza.

Sieć małych uliczek stanowiła kiedyś główne centrum handlowe Hanoi. Na każdej z nich sprzedawano zupełnie inne towary, skąd wzięły się niektóre nazwy ulic: rybna, cukrowa, papierowa. Dziś są tu sklepiki z pamiątkami dla turystów, a także sporo jedwabiu i ceramiki. Kupiłam sobie piękny jedwabny szal i kilka mniejszych, wiązanych w ścisłe warkocze, na prezenty. Ala będzie zachwycona fioletowym, a dla mamy wybrałam błękitny.

Pierwszego dnia krążyliśmy pozornie bez celu. Chciałam poczuć klimat tego miasta, napić się kawy w kawiarni leżącej na brzegu Jeziora Zwróconego Miecza, popatrzeć na ludzi. Kiedyś nie odróżniałam od siebie Azjatów. Teraz potrafię określić, kto jest z Wietnamu, Japonii, Korei i Chin. Przecież oni wcale nie są do siebie podobni!

Drugiego dnia poszliśmy obejrzeć słynny Wodny Teatr Lalek. Już w Polsce wiedziałam, że koniecznie muszę to zobaczyć!

Na scenie w wielkim basenie aktorzy zanurzeni po pas w wodzie poruszają lalkami. W jednym przedstawieniu bierze udział ponad sto różnych lalek, w tym smoki, lwy i jednorożce. Byłam zaskoczona, jak może zauroczyć mnie historia opowiadająca o zwykłym życiu wietnamskiego rolnika.

Lalkom towarzyszyła muzyka na żywo, grana na wielu instrumentach przez przepiękne Wietnamki. One same wyglądały jak porcelanowe lalki z szafy mojej babci. Tak piękne, że wydawały się nierealne.

Kolejnego dnia zwiedziłyśmy Świątynię Literatury. Upał bardzo nam wtedy doskwierał. Nie wiem, ile było stopni, ale pamiętam, że nie mogłam zrobić dziesięciu kroków bez łyka zimnej wody.

Jednak nie zabytki zwróciły tam moją uwagę, a kilkanaście młodych kobiet w takich samych strojach.

– To typowo wietnamski strój – powiedziała Małgosia. – One pewnie są studentkami. Ja też mam takie ubranie. Zakładamy je na śluby i inne ważne okazje.

Byłam zachwycona. Obiecałam sobie, że bez tradycyjnego wietnamskiego stroju nie wracam.

Przez cztery dni Małgosia pełniła funkcję mojej przewodniczki, zaś piątego postanowiłam wyjść z hotelu sama. Nie było to łatwe przedsięwzięcie, bo

zwyczajne przejście przez ruchliwą ulicę w Hanoi staje się nie lada wyzwaniem. Trzeba iść wolno, ale stanowczo, raczej się nie zatrzymywać i absolutnie nie cofać. Jest wtedy szansa, że tysiące skuterów jeżdżących dość szybko jakimś cudem nas ominą.

Byłam bardzo dumna, gdy pierwszy raz sama przeszłam przez ulicę nieopodal hotelu. Czekają mnie jednak większe wyzwania – kolejna ulica. Szersza, bardziej ruchliwa i bez świateł. Pomyślałam, że najlepiej będzie zamknąć oczy i pokonać ją, nie widząc, co się dookoła mnie dzieje. A działo się wiele. Na przykład uliczny fryzjer, który obcinał włosy siedzącemu na małym krzeselku mężczyźnie. O dziwo, klientem był Europejczyk.

Jakby tego było mało, siedzący tam mężczyzna był tym, który pomógł mi z walizką na lotnisku w Paryżu.

Stałam jak wryta. Nie mogłam wykrztusić ani słowa. W końcu się udało.

– Pan też tutaj? – zapytałam.

Odwrocił nagle głowę. Był zaskoczony jeszcze bardziej niż ja.

Mówi się, że nie ma przypadków, że wszystko, co nas spotyka, dzieje się z nieznanego nam powodu. Wcześniej w to nie wierzyłam. Teraz jestem pewna, że tak jest.

– Nie wierzę! – Mężczyzna zerwał się z miejsca. – To pani „daleko” było dokładnie w tym miejscu, co moje „daleko” – powiedział, nawiązując do naszej rozmowy na lotnisku. – Już skończyliśmy – powiedział i zapłacił fryzjerowi za usługę.

– Ja jeszcze w to nie wierzę. – Pokręciłam głową. – Nie wierzę w to, że pan tutaj jest. Mówi się, że nie ma zbiegów okoliczności.

– Najwyraźniej są! Może ta podróż jednak nie będzie taka samotna, jak nam się wcześniej wydawało. Jakie ma pani plany? – zapytał.

– Nie pani. Ania. – Wyciągnęłam rękę.

– Tomek. – Uśmiechnął się.

– Jakie masz plany? – zapytał ponownie. – Może pójdziemy na jakiś obiad? Albo kawę? Byłoby bardzo głupio, gdybyśmy teraz się rozstali. – Pokręcił głową. – To co, kawa? Piłem ostatnio pyszną mrożoną nad jeziorem.

– Chętnie. Tylko, by pójść gdziekolwiek, musimy przejść przez ulicę. – Roześmiałam się. – Przechodzenie na drugą stronę w Wietnamie okazało się jednym z największych wyzwań w moim życiu.

– Daj rękę. Ja już to opanowałem. – Wyciągnął dłoń.

Złapałam go za rękę i nieco strachliwie przeszłam przez ruchliwą ulicę.

– Jak człowiek się do tego przyzwyczai, to nawet zaczyna być przyjemnie. Za każdym razem, gdy się uda, czuję taką radość, że jednak mnie nie rozjechali i żyję.

Roześmiałam się.

Usiedliśmy w kawiarni nad Jeziorem Zwróconego Miecza. Pamiętam, jak Małgosia opowiadała mi legendę o jego powstaniu.

Na początku XV wieku w czasie okupacji chińskiej bardzo biedny rybak otrzymał od żyjącego w jeziorze potężnego złotego żółwia miecz, który uczynił go niezwyciężonym. Wykorzystał go do walki i zwycięstwa nad dynastią Ming. Po obaleniu władcy został królem i udał się nad jezioro, by podziękować bogom. Wtedy żółw ponownie wyłonił się z jeziora i zażądał zwrotu miecza. Miecz wysunął się z pochwy i zamienił żółwia w nefrytowego smoka, który pofrunął nad jeziorem. Król uznał żółwia za ducha opiekuńczego i kazał wznieść na jego cześć świątynię zwaną Wieżą Żółwia. Jezioro zaś nazwano Jeziorem Zwróconego Miecza.

Tomek zamówił dla nas mrożoną kawę.

– Znasz legendę o tym jeziorze?

– O żółwiu znam – odpowiedziałam. – I o zwróconym mieczu.

– A wiesz, że to prawda? – Uśmiechnął się, mrużąc oczy.

– Jasne – mruknęłam.

– Nie żartuję! – powiedział z przekonaniem. – W latach sześćdziesiątych odnaleziono w tym jeziorze ciało żółwia. Ważył dwieście pięćdziesiąt kilo i miał ponad dwa metry długości. Jego ciało spreparowano i wystawiono w Nefrytowej Świątyni. – Wskazał na most – Można tam przejść tędy. Ale na razie jakie masz plany na dalsze dni? – zapytał.

– Hanoi już w zasadzie zwiedziłam. Chociaż chyba nigdy nie zrobię tego wystarczająco – powiedziałam. – Za kilka dni wracam do Polski. Niestety to będzie krótki urlop. Chciałabym pojechać nad zatokę Ha Long. – Uśmiechnęłam się. – Sprawdzalam już, jak się tam dostać. Można na przykład wykupić fajną wycieczkę w takim małym biurze turystycznym kilka ulic dalej. Chciałam dzisiaj się tym zająć, a jutro wyruszyć.

– Znowu się spotkamy. – Uśmiechnął się – Też jadę jutro rano.

– Jutro? – zdziwiłam się. – Jak się tam dostaniesz?

– Mam samochód.

– Masz samochód tutaj? – zdziwiłam się.

– Wynająłem.

– Nie boisz się tu jeździć? – Byłam pod wrażeniem. Ja nie ośmieliłabym się prowadzić w Wietnamie nawet czołgiem, mimo iż z pewnością byłabym w nim bezpieczna.

– Wynająłem z kierowcą... – powiedział cicho. – On jeździ, a ja zamykam oczy.

– No, no... – Najwyraźniej mój nowy znajomy miał nieco większy budżet przeznaczony na podróż niż ja.

– Pojedziesz ze mną? – zaproponował nagle.

– Ale jak?

– Normalnie. Proponuję ci wspólną podróż.

– Ale... – próbowałam protestować.

Tomek położył swoją dłoń na mojej dłoni i zaczął mnie przekonywać.

– W samochodzie, jak wiesz, jest dużo miejsca... Potem też jest miejsce... – Zamilkł na chwilę. – Tak się złożyło, że miałem z kimś tu przyjechać. Nie wyszło. Wszystko było już dawno zaplanowane, zapłacone. Nie mogłem zrezygnować z rezerwacji. Może nawet mogłem, gdybym się postarał, ale nie chciałem się tym zajmować...

– Tomek, w ogóle cię nie znam, to szaleństwo, bym z tobą jechała.

– Wiem, że szaleństwo. – Sięgnął do plecaka i wyjął paszport. – Zrób zdjęcie i komuś wyślij. – Wzruszył ramionami.

– Jak mnie zamordujesz, będzie przynajmniej wiadomo, kto to zrobił? – zapytałam, robiąc zdjęcie.

Wysłałam plik do Edyty i Alicji. Mamie nie wysłałam, bo chyba nie przeżyłaby tego, że prowadzam się z obcym facetem gdzieś na krańcu świata. Miałaby miliony scenariuszy i wydzwaniałaby bez przerwy. Chciałam jej tego oszczędzić.

„Kto to?” – Alicja odpisała prawie natychmiast.

„Jak nie wrócę, to przez niego” – odpisałam szybko.

„Na zdjęciu paszportowym każdy wygląda jak idiota, więc nic więcej nie napiszę. Uważaj na siebie” – Alicja jak zwykle była sobą.

Edyta nie odpisała. Dopiero potem zobaczyłam, że nie udało się dostarczyć wiadomości.

– To jak? – zapytał po raz kolejny.

– To jakieś szaleństwo. – Pokręciłam głową.

– Nie masz nigdy ochoty na szaleństwa? – Popatrzył na mnie wnikliwie.

Miałam. Zawsze miałam ochotę na szaleństwa. Odprowadził mnie do hotelu, dał mi swój wietnamski numer telefonu i umówiłam się, że wraz ze swoim szoferem będzie na mnie czekał pod hotelem następnego dnia rano.

„Z szoferem”. Ale to brzmiało. Jak w bajce o Kopciuszku. I najlepsze było to, że to ja grałam główną rolę i najwyraźniej szykowałam się na bal, który miał zdecydować o moim dalszym życiu. Czy z tego balu też będę musiała uciekać przed północą, by czar nie prysł? I czy potem, gdy zgubię swój pantofelek, księżę będzie próbował mnie odnaleźć gdzieś w wielkim świecie?



Kto nie ryzykuje, ten nic nie zyskuje

powiedzenie wietnamskie

Tamtej nocy długo zastanawiałam się, czy wycieczka z obcym mężczyzną jest dobrym pomysłem. Przecież mógł podać się za kogokolwiek. W tych czasach nie można mieć zaufania do każdego. Ale polegałam na intuicji. Dwudziesty pierwszy wiek, czasy komputerów, badań naukowych i robotów na każdym kroku, a ja polegam na kobiecej intuicji! Na czymś trzeba polegać, szczególnie gdy nie ma na czym. Ani na kim.

Rano czekałam na Tomka spakowana. Nie miałam zamiaru znów nocować w tym hotelu. Za trzy dni wracałam do Polski. Czy udało mi się przemyśleć pewne sprawy, które czekały na mnie w domu? Chyba nie. Nie było na to czasu. Wietnamski gwar nie sprzyja rozmyślaniu o problemach.

Może po prostu trzeba tak jak w Wodnym Teatrze Lalek. Rano wstać, powitać świt i iść na ryby. Zwyczajny, szary dzień. No, czasem można jeszcze stoczyć walkę ze smokiem.

Ja toczyłam ją w moich myślach, nie mogąc przestać ani na chwilę.

Może zatoka Ha Long będzie bardziej łaskawa dla moich przemyśleń. Na razie miałam w planie jechać na kilkudniową wycieczkę z dopiero co poznanym mężczyzną i byłam coraz bardziej przerażona tym pomysłem.

Tomek czekał na mnie rano w recepcji hotelowej.

– Gotowa? – zapytał.

– Tak. – Uśmiechnęłam się.

– Znam tę walizkę. – Znowu pomógł mi wyciągnąć rączkę.

– Jadłaś śniadanie?

– Nie zdążyłam.

– Idziemy na zupę *pho*. To typowe wietnamskie poranne danie. Ja osobiście bardzo je lubię.

Pamiętam, że poszliśmy do małego baru, który znajdował się przy tej samej ulicy. Szliśmy chwilę, podziwiając wielkie kosze z kwiatami przyczepione do rowerów. Gdy teraz zamknę oczy, widzę właśnie te kwiaty, ruchliwe ulice i dziesiątki skuterów.

W barze stało kilka stolików. Tuż przy ścianie uśmiechnięta kobieta gotowała zupę w wielkim garze. Kilka osób jadło, my też do nich dołączyliśmy.

Pewnie gdybym była sama, nie weszłabym do takiego miejsca.

– Sprawdzone. Mój przewodnik mnie tu zaprowadził.

Zjedliśmy zupę *pho*. Esencję Wietnamu na talerzu.

– Jestem ciekawa, czy odtworzę ten smak w Polsce – zastanowiłam się. – Muszę zapytać Małgosię o przepis.

– Zaprosisz mnie? – zapytał Tomek.

– To się okaże. – Roześmiałam się.

– Czy się sprawdzę jako...

– Jako?

– Towarzysz wyprawy?

– Na przykład – potwierdziłam.

– Kiedy masz wylot? – zapytał.

– Za trzy dni.

– To świetnie się składa.

– Nie mów, że też wtedy lecisz? – zdziwiłam się.

– Nie, to byłby zbyt duży zbieg okoliczności, a jak wiemy...

– Zbiegów okoliczności nie ma.

– Zdecydowanie. Plan wycieczki przewiduje więcej niż zatokę Ha Long.

Spojrzałam na niego pytająco. Wziął telefon w dłoń i przeczytał.

– Dzisiaj Ninh Binh. Przejazd łódkami po rzeczkach. Potem lunch w Tam Coc, następnie pojedziemy do świątyni Bai Dinh, potem do Ha Long. Tam zostaniemy w hotelu i zjemy kolację, a następnego dnia wsiądziemy na pokład statku i popłyniemy w głąb zatoki.

– Wszystko zaplanowałeś?

– Tak, już w domu. Zawsze chciałem pojechać do Wietnamu. Azja przyciągała mnie, odkąd pamiętam. Tajlandia jest zbyt komercyjna.

– Zawsze wszystko planujesz?

– Chyba tak. Lubię, gdy sprawy są zorganizowane. I najlepiej przeze mnie. Sobie ufam najbardziej. – Zamyślił się.

– Nie pozwalasz sobie na spontaniczność?

– Jak widać, pozwalam. – Uśmiechnął się. – Jedziesz ze mną, a tego nie planowałem. – Wyglądał, jakby był dumny z tego stwierdzenia.

Owszem, nie planował, bym z nim pojechała. Zamiast mnie miał być ktoś inny. Najwyraźniej nie wyszło. I to prawdopodobnie zburzyło jego życiowy porządek na tyle, że starał się wypełnić pustą przestrzeń kimkolwiek. Wypadło na mnie. Życie lubi robić niespodzianki.

Nie odpowiedziałam nic na jego wyznanie dotyczące spontaniczności.

– Na statku jeden dzień?

– Nie, to fajny wycieczkowy statek. Zostaniemy tam dwa dni. Zwiedzimy wioskę rybacką na wodzie, potem pojedziemy na farmę perł. Czeka nas jeszcze kilka atrakcji, ale to już zobaczysz na miejscu. I wrócimy.

– Brzmi cudownie.

– Pewnie będzie jeszcze piękniej niż nam się wydaje. Ja chciałem pojechać do Wietnamu głównie ze względu na zatokę Ha Long. To ostatni cud natury, który został mi do zobaczenia. Wszystkie inne mam za sobą.

– A co potem?

– Potem? Potem już chyba musisz wracać do Polski.

– Nie mówię o sobie. – Pokręciłam głową. – Interesuje mnie, co będzie potem, gdy zobaczysz już wszystkie cuda świata.

– Nie wiem. – Zamyślił się. – Trzeba będzie wymyślić jakiś własny, zupełnie prywatny cud. – Spojrzał gdzieś daleko, w przyszłość.

– To chyba trudne – pomyślałam.

– Pewnie tak – potwierdził. – Jednak z wieloma rzeczami w życiu dawałem sobie radę, może i tym razem się uda.

Nie pytałam o więcej. Tomek był mężczyzną, któremu wiele się udawało, jeżeli chodzi o życie zawodowe. Na pewno dobrze mu się powodziło, odnosił sukcesy. Ale czy w życiu prywatnym również był szczęśliwy? Jego samotna podróż do Wietnamu temu zaprzeczała.

Ninh Binh nas zauroczyło. A w zasadzie okolice tego miasta – pełne

malowniczych krajobrazów i rzek.

Kupiliśmy wietnamskie kapelusze, by schronić się przed słońcem i skierowaliśmy swoje kroki w kierunku łódek, które stały wzdłuż brzegu. Wybraliśmy jedną z nich.

Popłynęliśmy tylko we dwoje, nie licząc Wietnamczyka, który wiosłował.

Widoki były cudowne. Podziwialiśmy pola ryżowe kończące się tuż przy brzegach rzek, ale najpiękniejsze były jaskinie, do których wpływaliśmy co chwilę. Promienie słońca wpadające przez prześwity w skałach oświetlały nasze twarze. To zadziwiające, jak natura stworzyła tę piękną wodną ścieżkę, która cieszyła oczy tak wielu ludzi.

Nad zatokę Ha Long zajechaliśmy wieczorem. Tomek miał zarezerwowany nocleg w hotelu Ha Long Plaza. Powitano nas świeżo wyciśniętym sokiem owocowym i muzyką graną na bambusowych instrumentach.

– Pięknie tutaj! – zawołałam.

Coraz bardziej miałam wrażenie, że jestem Kopciuszkiem, który dziwnym trafem znalazł się na balu z królewiczem i przez chwilę może żyć jak w bajce.

– Niestety mam zarezerwowany tylko jeden pokój – powiedział. – Dzwoniłem wcześniej, nie mają drugiego wolnego. Ale spokojnie. Jesteśmy dorośli.

No właśnie to, że jesteśmy dorośli i mamy jeden pokój mogło stanowić zagrożenie. Intuicja podpowiadała mi jednak, że nie mam czego się obawiać. Chyba tylko raz popełniłam błąd w ocenie drugiego człowieka. W przypadku Marcina. A może wtedy też się nie pomyliłam?

Meldując się, Tomek poprosił o dwa pojedyncze łóżka. Zanim poszliśmy spać, skorzystaliśmy z hotelowego basenu. To był raj. Ciepła woda, zachodzące słońce. Wokół obfita zielona roślinność i hałasujące cykady.

– Pierwszej nocy w Hanoi nie wiedziałam, co tak hałasuje – powiedziałam, kładąc się na leżaku przy basenie.

– Cykady – odpowiedział.

– Teraz już wiem. Nie spodziewałam się, że robią tyle hałasu. – Uśmiechnęłam się.

– Samce zwabiają samice dźwiękami. Nie posiadają strun głosowych i płuc do śpiewania serenad, dźwięki wydają, pocierając części ciała. Owady mają też zwyczaj cykać w chórach. – Zamyślił się. – Ja nie lubię towarzystwa, jeżeli chodzi o zdobywanie samic.

– Złe wspomnienia?

– Jeżeli chodzi o towarzystwo?

– Tak. Towarzystwo w śpiewaniu serenad.

– Chyba przegapiłem ten moment, kiedy przestałem je śpiewać i ktoś inny mnie zastąpił. – Westchnął. – Nie mogliśmy tego robić chórem, jak cykady. – Uciął krótko.

– To z nią miałeś tutaj być?

– Tak.

– Nie chcesz o tym rozmawiać?

– Może innym razem. – Wstał z leżaka i wskoczył do basenu.

Po chwili wynurzył się, pryskając wodą.

– Jest cudownie! Chodź! – zawołał.

Ostrożnie zsunęłam się do basenu. Woda była chłodniejsza niż powietrze,

jednak bez trudu dało się w niej zanurzyć.

– Jak w raju, co? – zapytałam.

– Jak w raju. Człowiek zapomina, że gdzieś tam daleko zostawił swój dobrze znany świat.

– I nie chce wracać?

– Chce. Ale zapomniał, że pozostawił tam trochę bałaganu.

– Rozumiem.

– Też zostawiłaś bałagan?

– Bałagan ze sobą przywiozłam. Mam go tutaj. – Dotknęłam głowy.

– Ja zostawiłem w Polsce. I naprawdę mam nadzieję, że po powrocie zastanę już wszystko poukładane.

– Samo się poukłada?

– Mam taką nadzieję.

– Samo nigdy się nie układa. Jesteś kowalem swojego losu.

– Może racja. – Zamyślił się.

– Gdy byłam mała, zasypiałam wieczorem, dziękując za to, że następnego dnia mogę zacząć życie od nowa. Miałam wrażenie, że każdego poranka ktoś naciska stoper i wszystko się zeruje, że można zacząć od początku. W nocy dziury w rajstopach cudownie cerowały się same, na drugi dzień obdarte kolana już też mniej bolały.

– Czasem zostawały blizny.

– Wtedy jeszcze tego nie odkryłam. Wierzyłam, że kolejny dzień niweluje wszystkie troski.

– Zebrało nam się na rozmowy życiowe.

– Tak jakby – potwierdziłam.

Rozmawialiśmy o poważnych sprawach, tak naprawdę nie mówiąc nic. Wiedziałam, że życie mu się poplątało i wyjazd do Wietnamu miał cudownie rozsupłać wszystkie poplątane ścieżki losu. Wiedziałam, że miał tutaj być z kimś, ale jest ze mną. Ot, jeszcze bardziej się poplątało.

On o mnie również nic nie wiedział. Mieliśmy spędzić ze sobą trzy dni. Tylko trzy dni w całym życiu. Mogliśmy udawać, że jesteśmy zupełnie kimś innym niż w rzeczywistości. Mogliśmy grać rolę, którą sami sobie wybraliśmy. Mogliśmy też zupełnie szczerze opowiadać o swoich troskach, licząc, że druga osoba spojrzy na nasze życie z dystansem typowym dla obcego, niezaangażowanego w naszą codzienność człowieka. Jeszcze nie wiedziałam, jaką obiorę strategię. Nie wiedziałam również, jaką przyjmie on. Na razie siedzieliśmy w basenie u brzegów niesamowitej zatoki Ha Long, czując, że kolejne dni przyniosą wiele cudownych chwil w naszym życiu.

Nie mogłam zasnąć tamtej pierwszej wspólnej nocy. Gdy zamknęłam oczy, przypominałam sobie piękne widoki, a w głowie słyszałam naszą rozmowę. Często nocowałam w schroniskach, hostelach. Byłam przyzwyczajona, że na łóżku obok śpi ktoś zupełnie obcy. Jednak nigdy nie spałam obok kogoś nieznanego w luksusowym pokoju hotelowym. Nigdy też nie miałam na sobie cienkiej, jedwabnej, półprzezroczystej koszulki kupionej na ulicy Jedwabnej w samym sercu Azji. Tomek też się wiercił. Każdy z nas był sam ze swoimi myślami. Usłyszałam dźwięk SMS-a. Jacek.

„Jak Ci tam w dalekim świecie? Brakuje nam Ciebie tutaj”.

Przeczytałam i poczułam na sobie wzrok Tomka.

– Przepraszam. Obudziłam cię.

– Nie spałem.

– Kolega – powiedziała. – Z pracy – dodałam szybko. – Pisze, że mnie im

brakuje. – Uśmiechnęłam się.

Tomek nic nie powiedział.

Zastanawiałam się, czy jest ktoś w jego życiu, komu też jego brakuje. Wtedy tego nie wiedziałam. Po chwili słyszałam już jego wyrównany oddech. Ja przewracałam się wciąż z boku na bok, w końcu poddałam się, wstałam i sięgnęłam po gazetę leżącą na biurku.

„Xin con” znaczy „prośba o dziecko”. Samotne Wietnamki prosiły obcych mężczyzn o poczęcie dziecka.

To był tytuł artykułu. Zapaliłam małą lampkę i czytałam dalej. Tomek spał.

„Pozostawione po wojnie bez szans na małżeństwo Wietnamki łamały społeczne tabu, starając się o dziecko mimo braku męża. Dzisiaj nie żałują, bo mają wnuki i nie boją się samotnej starości”.

Dalej czytałam, że po wojnie kilkadziesiąt lat temu mieszkanki Loi, miejscowości na północy Wietnamu, bały się, że na starość zostaną same, marzyły o dzieciach i zdecydowały się samotnie je wychowywać.

Po zakończeniu wojny okazało się, że dla wielu dziewcząt jest za późno na małżeństwo, w kraju było dużo więcej kobiet niż mężczyzn i naprawdę nie miały szans, by zostać matkami.

Kobiety prosiły więc mężczyzn, z którymi nigdy potem się nie kontaktowały, o pomoc w poczęciu dziecka.

Zrobiło mi się słabo. Znów przypomniałam sobie słowa mamy i Edyty. Ja też byłam sama. I tak jak tamte kobiety chyba już nie miałam szans na zostanie matką.

Czy też powinnam poprosić mężczyznę o dziecko, nie kontaktując się z nim później?

W mojej głowie panował chaos.

Gdy szłam spać, nie miałam planu. W mojej głowie panował naprawdę olbrzymi bałagan. Zamknęłam oczy i starałam się zasnąć.

Planowałam spędzić kilka dni z mężczyzną, którego poznałam zaledwie kilka dni temu na lotnisku. Słuchałam jego miarowego oddechu.

Sama nie wiedziałam, co przyniosą kolejne dni, które miałam spędzić z nim na statku, w jednym z najpiękniejszych zakątków naszego globu.



Ogień jest dobrym służącym, ale złym panem

powiedzenie wietnamskie

Obudziły mnie odgłosy z łazienki. Męski śpiew, szum wody. Przez pierwszą chwilę nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie jestem. Duże łóżko, w którym spałam, obok drugie, niezaścielone, jakby ktoś przed chwilą z niego wstał.

Tomek. W jednej sekundzie przypominałam sobie szczegóły poprzedniego dnia. W głowie dźwięczało mi „Xin con”. Prośba o dziecko.

Nie. Naprawdę nie mogłam o tym pomyśleć. Czy mogłabym być na tyle egoistyczna, by to zrobić? By zrobić to sobie, jakiemuś facetowi i temu dziecku?

Mogłam.

Wiedziałam o tym doskonale.

Ale czy powinnam poprosić? Powinnam zapukać do łazienki i grzecznie go o to zapytać? A może stanąć na środku ulicy i zawołać: „Hej, jestem Ania, kto mi zrobi dziecko? Palec do budki! No kto się zgłosi? Jestem fajna, seks ze mną jest podobno świetny. Nie będę potem do was dzwonić, kontaktować się z wami, alimentów też nie chcę. Poradzę sobie sama. Naprawdę. Tylko ten jeden raz. Na chwilę. To co? Jest jakiś chętny?”.

A potem powinnam wybierać z tych wszystkich kandydatów niczym bajkowa królewna, która wychodziła za mąż za tego, który zabił smoka czy bazyliżkę. Nie chciałam wychodzić za mąż za kogoś tylko dlatego, że miałby być ojcem mojego dziecka.

Gdy byłam małą, czasem opiekowała się mną nasza nastoletnia sąsiadka.

Taka z tych młodych i gniewnych. Zawsze opowiadała mi bajki, w których królewicz dostawał wyjątkowo całe królestwo i pół królowny za żonę. Tutaj też chciałam oddać siebie tylko w niewielkiej części.

Ale zresztą – czy ja chciałam się oddawać? Nie. Ja chciałam brać. Wziąć i perfidnie wykorzystać jakiegoś mężczyznę do realizacji swoich celów. Czy to uczciwe?

Nie. Zupełnie nieuczciwe, moralnie zdecydowanie naganne. Ale, co najgorsze, nie miałam z tym żadnego kłopotu. Co z oczu, to z serca, mawiała moja babcia. Co z oczu, to z myśli, chciałam powiedzieć. Pragnęłam tych kilku chwil, by moje życie nie było puste. Bym spełniła się jako matka, zaznała tej bezwarunkowej miłości, jaką może poczuć tylko ona do swojego dziecka.

Marzyłam o tym, by wstawać w nocy, by karmić o świcie. Instynkt macierzyński pokonał chyba wszelakie inne instynkty. Choćby instynkt przetrwania.

Tomek wyszedł z łazienki, owinięty tylko ręcznikiem. Mężczyźni, jak widać nie mają problemu z nagością.

– Widzę, że się wyspałaś? – zapytał.

– Wyspałam to za dużo powiedziane. – Uśmiechnęłam się.

Dwoje obcych ludzi śpiących w jednym pokoju. Paradujących przy sobie w ręcznikach. Czasem spanie we wspólnej przestrzeni może być czynnością bardziej intymną niż seks. Gdy śpisz, każdy widzi, jaka jesteś naprawdę. Zgnieciony zaróżowiony policzek, półotwarte usta, z których wydobywają się dziwne dźwięki: chrapania, zbyt głośnego oddychania, sapania. Gdy śpisz, nie kontrolujesz się, nie umiesz grać. W seksie, gdy chcesz, możesz być doskonałym aktorem. Możesz przewidzieć scenariusz, początek, koniec, możesz pokazywać się partnerowi tylko prawym profilem, jeśli uważasz, że jest ładniejszy. Gdy śpisz, nie wiesz, kiedy i jak będzie cię oglądał. Nie wiesz, czy w najmniej oczekiwanym momencie nie podwinie ci się kołdra i nie odstąpi jednej fałdki za dużo czy cellulitu na twoim

udzie.

Chociaż może to nie jest takie istotne?

Czyż zatem spanie w jednym pokoju nie jest czynnością bardziej intymną niż seks?

– Ubieraj się. Wyruszamy za chwilę – powiedział. – Niespodzianka!

– Nawet nie zdążyliśmy porozmawiać, jaki mamy plan dnia.

– Kto jak kto, ale ty lubisz spontaniczność. – Zażartował.

– Kto jak kto, ale ty chyba z pewnością masz dokładny plan działania. Co do godziny, a nawet minuty – odparłam ze śmiechem. – Już widzę te kolorowe rubryczki wpisane w kalendarz Google na twoim iPadzie.

– Znasz mnie krótko, ale całkiem dobrze. – Pokiwał głową. – Pakujemy się. Nasz statek Syrena odpływa za chwilę.

– To my nawet mamy jakiś wspólny statek? – zapytałam zaczepnie.

– Ja mam kilka. – Roześmiał się na głos. – Niestety tym razem nie płyniemy moim. A szkoda.

Wtedy myślałam, że żartuje. Przecież w moim świecie to mało prawdopodobne, by ktoś był właścicielem kilku statków. Tak samo mało prawdopodobne jak to, że ktoś ma swój prywatny samolot i na wakacje lata tylko nim. Na szczęście nowy znajomy nie wspominał nic o prywatnych samolotach.

– Dobra, łazienka wolna. Zbieraj się.

Wyszłam z łóżka.

Myjąc zęby, spojrzałam na siebie w lustrze.

– Czego ty chcesz, dziewczyno? Czy wiesz, czego chcesz? – zapytałam sama siebie.

Wiedziałam. Owszem.

Zza łazienkowych drzwi usłyszałam podśpiewywanie Tomka. Uśmiechnęłam się do swojego odbicia. A gdyby tak on? Gdyby tak z nim? I potem najnormalniej w świecie mu uciec? Zniknąć? Nie zostawić po sobie śladu: adresu, numeru telefonu. Przecież Tomek tak naprawdę nic o mnie nie wie. Nawet chyba nie mówiłam mu, gdzie mieszkam. Wie tylko tyle, że lubię podróże.

Wyplukałam usta i przemyłam twarz zimną wodą.

Czy artykuł w gazecie na temat prośby o dziecko był znakiem, który spadł mi z nieba? Czy był właśnie po to, by przekazać mojej głowie impuls do działania? Chociaż w tym wypadku głowa nie miała już nic do gadania. W przypadku podjęcia takich decyzji głos serca miał decydujące znaczenie.

Ktoś mógłby pomyśleć, że to zimne wyrachowanie. Ja tak wtedy nie myślałam. Teraz może trochę... Zimne wyrachowanie, ale wynikające z olbrzymiej potrzeby serca, duszy i instynktu.

Wykąpałam się, umyłam włosy, wklepałam krem w twarz. Uzmysłowiłam sobie, że zapomniałam z pokoju ubrań na zmianę. Czy powinnam teraz zawołać niczym w tanim amerykańskim filmie: „Kochanie, zapomniałam bielizny, czy mógłbyś mi przynieść?”. Przecież nie uwierzy, że zapomniałam. Czasem życie pisze najlepsze scenariusze i przygotowuje całkiem niezłe niespodzianki, a na dodatek stawia cię w niezręcznej sytuacji.

Wyszłam z łazienki owinięta ręcznikiem. Zasłaniał mniej więcej tyle samo, co moja piżama z króciutkimi szortami, jednak czułam się naga. Czy to nie jest dziwne, że gdy masz na sobie strój kąpielowy, czujesz się ubrana, a gdy zakładasz bieliznę zakrywającą dokładnie to samo, wydaje ci się, że jesteś naga?

– Zapomniałam bielizny – powiedziałam cicho.

Tomek przeglądał coś w swoim laptopie. Gdy podniósł wzrok, zauważyłam zaskoczenie na jego twarzy. A może nawet zainteresowanie?

– Jak dla mnie, możesz tak zostać – powiedział. – Nawet jest to wskazane. Bez tego ręcznika.

Uśmiechnęłam się i zniknęłam za drzwiami łazienki. Zamknęłam się od środka, dla pewności. Dla jakiej pewności? Przecież jak chcę mieć dziecko, powinnam właśnie teraz otwierać drzwi, okna, zapraszać go do środka dosłownie i w przenośni.

Usiadłam na taborecie stojącym w łazience. Czy gdybym zrobiła to z nim dziś, jutro, pojutrze udałoby się? Mogłabym potem zniknąć. Wrócilibyśmy do domu we dwoje i zupełnie nie mam tutaj na myśli mnie i Tomka.

Jak to się robi? Taki seks na jedną noc? Gdybym wyszła z tej cholernej łazienki i zaczęła go całować, to po chwili byłoby już po wszystkim? Miałam kilka związków, ale seks na jedną noc? Z nieznajomym?

Westchnęłam. Dlaczego jestem aż tak przyzwoita? Chyba w tych czasach przyzwoitość nie jest w cenie. Wzruszyłam ramionami i wyszłam z łazienki. Ubrana, wymalowana, uśmiechnięta jak zawsze i jak zawsze z dystansem do ludzi i świata.

– Jestem gotowa – powiedziałam.

– Gotowa na wszystko? – zażartował.

– Na wszystko. – Najgorsze było to, że nie żartowałam.

Statek, na którym mieliśmy spędzić kolejne dni, już czekał na nas przy nadbrzeżu. Za nim rozciągała się mnogość wysp malowniczej zatoki Ha Long.

– Tych wysp jest ponad dwa tysiące – powiedział Tomek. – Istnieje nawet legenda o ich powstaniu. Dawno, dawno temu, kiedy Wietnamczycy musieli walczyć z najeźdźcami, bogowie zesłali smoki, by stanęły w obronie kraju. Wypluwały ogromną ilość pereł, które wpadały do wody i tam zamieniały się w skały, a statki wroga rozбивały się o nie. Podobno smokom się spodobało i zamieszkują teraz tutaj na wyspach w licznych jaskiniach. Myślę, że pojedziemy do kilku z nich.

– Spotkamy jakiegoś smoka?

– Oczywiście!

Na wybrzeżu stało wiele małych straganów. Kupiłam sobie torbę z małych kawałków podobno prawdziwego jedwabiu. Tomek gdzieś zniknął. Po chwili go zobaczyłam.

– Kupiłem ci coś.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Perły.

– Perły? – zdziwiłam się.

– Chciałbym, byś kiedyś, jak wrócisz do Polski, spojrzała na nie i pomyślała, że to był fajny czas.

– Nie przesadzasz czasem?

– Nikt cię nie nauczył dostawać prezentów? – Roześmiał się. – Gdy dostajesz od mężczyzny prezent, na przykład perły, stajesz naprzeciw niego. – Stanął nagle. – Możesz też zrobić się bardziej błada, chociaż nie wiem, czy dasz teraz radę, bo wietnamskie słońce nieco cię złapało. – Spojrzał na mnie uważnie. – Stajesz, robisz się błada i mówisz: „Och, jaki cudny prezent, zupełnie się nie spodziewałam, dziękuję!” – powiedział teatralnym szeptem.

Bardzo mnie tym rozśmieszył. Stanęłam naprzeciwko niego, włożyłam perły na szyję i powiedziałam:

- Och, jaki cudny prezent, zupełnie się nie spodziewałam, dziękuję!
- Widzisz? Bardzo szybko się uczysz. Przebywałeś chyba z niewłaściwymi mężczyznami, skoro cię tego nie nauczyli.
- Chyba tak – potwierdziłam.
- Drażliwy temat?
- Może trochę.
- No to porozmawiajmy o perłach. Albo nie rozmawiajmy wcale, tylko chodźmy na statek.

Weszliśmy na pokład. Mieliśmy jedną kajutę, tym razem ze wspólnym łóżkiem. Tomek spojrzał na mnie, potem na łóżko. Nic nie powiedział. Tak się zastanawiałam, czy gdybym była stara i brzydka, również zaproponowałby mi wspólną podróż po jednym z najpiękniejszych zakątków świata? Czy po prostu lubił otaczać się ładnymi „rzeczami” i szukał kogoś, kto chwilowo zastąpi mu towarzyszkę podróży? Czy liczył na namiętne wieczory, proponując mi wspólną podróż?

Oczywiście w pierwszej chwili źle o nim pomyślałam. Ale czy o sobie mogłam myśleć lepiej? Nawet jeżeli, to on chciał tylko zaciągnąć mnie do łóżka, ja chciałam od niego o wiele więcej.

Nie rozmawialiśmy na temat wspólnej nocy. Od razu poszliśmy na pokład. Statek już odpływał od brzegu. Przed nami roztaczał się piękny widok na zatokę.

Statek odpłynął zaraz po tym, jak weszliśmy. Na początku myślałam, że byliśmy jedynymi gośćmi. Że też warto było płynąć tylko dla nas?

Pierwszym etapem naszej wycieczki miała być wioska na wodzie.

Nie spodziewałabym się nigdy w życiu, że można mieszkać na wodzie. Jasne,

podczas podróży w Europie widziałam ludzi mających mieszkania na barkach w Londynie czy Amsterdamie, ale oni tylko tam spali, gotowali, a całe ich życie toczyło się na łodzi, tam chodzili do pracy, robili zakupy. W zatoce Ha Long było zupełnie inaczej. Pośród jej wód jest mała wioska – domy, których pilnują psy, rozwieszane linki, na których suszy się pranie, jest szkoła, świątynia i farma. Wioseczka składa się z kilkunastu domów, gdzie życie toczy się w zasadzie całkiem normalnie. Są sklepy, jest prąd, światło, a nawet Internet.

– Chciałabyś tak mieszkać? – zapytał Tomek.

Popatrzyłam na kobietę robiącą pranie w wielkiej misce.

Pokręciłam głową.

– Nie. Kocham podróże, ale bardzo lubię wracać do swojego domu – odpowiedziałam. – Lubię moje mieszkanie, a czasem nawet poranny bałagan. Zdarza się, że jeżdżę rano na giełdę kwiatową. Jestem tam przed piątą. Wracam do domu, piję kawę i układam wielki bukiet, który stawiam na stole. Potem spokojnie jadę do pracy.

– Czym się zajmujesz?

– No wiesz co? Teraz mam urlop! – oburzyłam się.

– Nie chcesz rozmawiać o pracy – bardziej stwierdził niż zapytał.

– Nie. Może powinnam ją zmienić?

– Bo?

– Powiem tak. Nie mieszaj pracy z życiem prywatnym.

– Czy ja wiem? – zastanowił się. – Moim zdaniem nie ma na to reguły. – Wzruszył ramionami. – Jak ma być *happy end*, to będzie. Jak nie, to prędzej czy później wszystko się rozsypie. I czasem na siłę chcemy, by nastąpiło to później, ale może nie warto? Może podtrzymywanie agonii nie jest wcale tak dobre, jak nam się wydaje?

– Jesteś zwolennikiem ostrych cięć.

– Chyba tak. Mój tata jest chirurgiem. – Roześmiał się. – Mam to po nim.

– Strach trafić do takiego chirurga, który utnie całą rękę, jak masz złamany palec.

– Bez przesady. On wie, kiedy i co wyciąć. By nie bolało i nie zatruwało człowieka. Ja się tego nie nauczyłem. Gdybym to umiał, może inaczej potoczyłoby się moje życie?

– No tego to ja już ci nie powiem.

– A szkoda. Czasem chciałbym, by po prostu ktoś mi powiedział, co mam robić.

– To chyba się skończyło w momencie, gdy staliśmy się dorośli – powiedziałam. – Ale wiesz, co jest jeszcze gorsze?

– Tak?

– Najgorsze jest to, że czasem nam mówią, co mamy robić, a my się z tym w ogóle nie zgadzamy. Wręcz odrzuca nas od tych ich rad. – Pokręciłam głową.

– Czy ja wiem. W moje życie nikt się nie wtrąca. No, może czasem siostra. Ale ona chce dobrze.

– No, u mnie też wszyscy chcą dobrze, chcą, bym zrealizowała swoje plany, marzenia. Ale niekoniecznie podoba mi się droga do realizacji marzeń, którą oni proponują. Zawsze wybieram swoją. A przynajmniej staram się.

– Może czasem warto zaryzykować?

– Życie masz tylko jedno – powiedziałam. – Lubisz ryzyko?

– Czy ja wiem? W biznesie często ryzykuję.

– I chyba dobrze na tym wychodzisz? – zapytałam.

– Bardzo dobrze.

– A w życiu?

– Prywatnie jestem trochę ostrożniejszy. Nie lubię życiowego ryzyka. Chyba wolę, jak wszystko jest bezpieczne.

– To tak jak ja. Mam swoje bezpieczne miejsce, ale czasem lubię się pozachwycać na przykład wioską na wodzie. Ale wiem, że mam dokąd wracać. I zawsze będę u siebie bezpieczna.

Tomek pokiwał głową. Miałam wrażenie, że rozumie mnie aż za bardzo.

W planach naszej wycieczki była farma perłę. Oczywiście wiedziałam, jak powstają, ale nigdy o tym nie myślałam.

W XIII wieku w Chinach odkryto, że perły można hodować, umieszczając w muszli ziarenko piasku. Małż broni się, odkładając wokół niego kolejne cieniutkie warstwy masy perłowej, dokładnie takiej samej, którą wyścielona jest od wewnątrz muszla. Po kilku latach powstaje drogocenna lśniąca perła.

Byliśmy na podobnej farmie perłę. Wyglądała jak kolejna wioska na morzu. Wokół budynku było wiele pomostów, tam też w sieciach umieszczone zostały małże, zaraz po tym jak wszczepiono do nich kuleczki z macicy perłowej. Cały proces powstawania perły trwa kilka lat. Potem małż nie jest już do niczego potrzebny. Całe życie w cierpieniu. Ale chociaż pozostanie po nim coś cudownego. Można pocierpieć, by być pewnym, że coś po tobie zostanie. Albo ktoś.

– Perły to łzy oceanu – powiedziałam, trzymając w ręku perłę, którą dostałam na farmie. – Zobacz, gdy znajdzie się tutaj w środku ziarenko piasku, małż stara się obronić, tworząc warstwę ochronną. To jest właśnie substancja perłowa. I ona rośnie, i rośnie... Aż pewnie sprawia ból. Im większy ból, tym większa, bardziej cenna perła. Okrutne, prawda?

– Nie lubisz pereł? – zapytał. – Nie wiedziałem.

– Lubię. Bardzo lubię. Ale odkąd się dowiedziałam, jak powstają, mam mieszane uczucia. I chyba bardziej doceniam ich piękno.

– Mówią, że perły to nieszczęście.

– I łzy – dodałam.

– Moja... Już w zasadzie nie moja... No... – poprawił się. – Miała mieć perły na ślubie. Wszyscy mówili, że nie powinna. I nie ma!

– Co teraz czujesz? – zapytałam.

– Teraz? W tym momencie? Mam wrażenie, że nie czuję nic – powiedział Tomek. – Chyba tak już pozostanie. Przynajmniej takie mam dzisiaj wrażenie. A ty?

– Nie wiem. Jest mi dobrze. Dzięki tobie jestem w miejscu, o którym zawsze marzyłam. Zupełnie przez przypadek, zupełnie tego nie planując.

– A w miejscu życiowym? – zapytał.

– Co w miejscu życiowym? – udałam, że nie rozumiem pytania.

– Teraz kolej na ciebie. Gdzie byś chciała być teraz, jeżeli chodzi o całe twoje życie? Też tutaj? Z nieznanym facetem? – Spoglądał na mnie wnikliwie.

– No, na szczęście nie okazałaś się jeszcze przestępcą ani kimś, kogoś muszę się bać. – Roześmiałam się.

– To nie o mnie tu chodzi. – Pokręcił głową. – Ogólnie. Czy wiesz, co teraz chciałabyś robić w życiu? – pytał. – Wyjechałaś sama na wakacje, mieszkasz w jednym pokoju z zupełnie nieznaną mężczyzną, pewnie byś tego nie zrobiła, gdybyś była na przykład szczęśliwą mężatką.

- Nie jestem mężatką – powiedziałam szybko.
- Właśnie mówię, że chyba nie jesteś.
- Nie jestem. Na pewno nie jestem, nie chyba – powtórzyłam.
- Dlaczego? – zapytał.
- A trzeba?
- No niby nie. – Pokręcił głową. – Ale rodzina, dzieci? Kobiety mają takie pragnienia.
- A mężczyźni nie? – Spojrzałam na niego prowokująco.

Zamyślił się.

- Wiesz, kiedyś mi się wydawało, że nie. Nawet byłem tego pewien.
- A teraz? Teraz myślisz inaczej?

– Tak. Chyba tak. Zrozumiałem to trochę późno. Byłem z Anetą długo. Ponad dziesięć lat. Mieszkaliśmy ze sobą chyba cztery. Ona dokładnie wiedziała ile. Co do dnia, a nawet godziny. Strasznie się denerwowała, że nie celebрую tych wszystkich rocznic, a nawet miesięcznic. Oświadczyłem się jej u podnóża Kilimandżaro.

Przed moimi oczami pojawiło się nagle zamglone wspomnienie. Wpis w księdze gości, którą widziałam podczas podróży do dalekiej Afryki.

- „LOVE – twój Kot” – powiedziałam nagle.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

- Skąd wiesz? – Jego niebieskie oczy zrobiły się granatowe.

– Wchodziłam na Kilimandżaro. Przed wejściem jest księga gości. Widziałam taki wpis. Cholernie zazdrościłam tej parze. – Westchnęłam. – Ja wtedy chyba leczyłam jakiś kolejny nieudany związek.

- Może to nie był nasz wpis. Może jakiś inny? – zapytał nerwowo.

– Może. Czy to ważne?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami.

– Zdziwiająca jest to, że chodzimy tymi samymi drogami.

– A nawet latamy. – Roześmiał się. – I pływamy.

– Ale widzisz, nie było czego zazdrościć – dodał po chwili. – Nie było czego. I, jak już ci mówiłem, sporo w tym mojej winy. – Wypił łyk wina. – Dużo pracowałem. Budowałem jachty. Najpierw je remontowałem. Z małej firmy nagle zrobiła się wielka. Nawet nie wiem kiedy. Nie potrafiłem zaakceptować tego, że nie jestem w stanie sam podejmować decyzji. Nie umiałem delegować odpowiedzialności. Nieustająco chodziłem zdenerwowany, pracowałem dniami, nocami. Ona była wiecznie sama. Sama, samotna. Nawet nie zauważyłem, gdy zaczęła się z kimś spotykać. Trwało to trzy lata.

– Trzy lata? – Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Cóż, monogamia jest przereklamowana.

– Naprawdę tak sądzisz? – zapytałam.

– Nie. – Pokręcił głową. – To ona tak myślała. Przez te kilka lat. Ja miałem coś, czego nie dostawała od niego. Pieniądze. On miał coś, czego nie mogła dostać ode mnie. Czas. Nie wiadomo, co cenniejsze. – Uśmiechnął się kwaśno. – Tylko zastanawiam się, dlaczego chciała tego ślubu. Na wakacje w zeszłym roku też poleciała sama. A raczej z nim. Za moje pieniądze. Ja pracowałem, a ona leżała gdzieś na Bali w towarzystwie jakiegoś dupka, który zapewne masował ją co wieczór, używając oleju kokosowego.

– Pewnie była samotna.

– Tak – przyznał mi rację. – Jak się później okazało, była bardzo samotna, ale tylko chwilę. Na początku nie rozumiałem, dlaczego tak nagle odwołała ślub. Potem się okazało. Jest w czwartym miesiącu ciąży.

– To jego dziecko?

– Tak.

– Skąd ta pewność?

– Musiałbym się teleportować, by je zrobić. Wtedy prawie dwa miesiące byłem w Turcji. Holowaliśmy tam z Gdańska duży statek. Potem go remontowaliśmy. Musiałem wszystkiego dopilnować.

– Mieszkam w Gdańsku – powiedziałam.

– Może kiedyś się tam gdzieś minęliśmy przypadkiem?

– To musiałby być spory przypadek. – Uśmiechnęłam się. – Kiedyś byłam na rozmowie w firmie zajmującej się remontem czy budową statków. Dawno temu.

– Może u mnie?

– Z pewnością. Rozmowa odbywała się w hotelu Heweliusz. Teraz ten hotel chyba nazywa się inaczej.

Tomek był zdziwiony.

– Przeprowadzałem rozmowy w hotelu Heweliusz. To było na samym początku. Rozwijaliśmy się, zaskoczyło nas tempo tego wszystkiego. Potrzebowaliśmy kogoś do natychmiastowej pomocy.

– To pewnie nasze drogi się tam przecięły.

– Dlaczego nie przyjąłem cię do pracy? Nie podobało mi się coś?

Roześmiałam się.

– Przeciwnie. Byłeś zauroczony.

– Ale?

– Wybrałam wakacje, a ty nie chciałeś czekać.

– Pewnie tak. Potrzebowałem cię na szybko. Na już. – Spojrzał na mnie dłużej.

Odwróciłam głowę. Okrył mnie mocniej kocem. Potem przytulił. Siedzieliśmy długo tej nocy. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Czasem dużo łatwiej zwierzyć się ze swojego życia komuś, kogo spotyka się na chwilę w pociągu niż komuś, kto jest twoim przyjacielem od zawsze. Ja byłam dla niego tą współpasażerką, napotkaną na chwilę w przedziale jego życia. Tą, której opowiedział o swoich marzeniach i pragnieniach.



Miecz ma zawsze dwa ostrza

powiedzenie wietnamskie

Po obiedzie wzięliśmy ze sobą butelkę wina i dwa kieliszki i poszliśmy na górny pokład. Oprócz nas na statku była jeszcze tylko jedna para i załoga. Każdy mógł zatem znaleźć dla siebie ustronne miejsce.

Tomek nalał wina do kieliszków.

– Wiesz, jak powstały komary? – zapytał nagle.

– Pewnie nie tak, jak myślę. – Uśmiechnęłam się.

– Nie, zupełnie inaczej – powiedział. – Ale poszło o wielką miłość. Był sobie Ngoc Tam. uprawiał poletka ryżowe. Pracował całymi dniami. Miał żonę Nhan Diep, bardzo piękną kobietę.

– Nie potrafię zapamiętać tych wietnamskich imion i nazwisk.

– Ngoc Tam i Nhan Diep. Ale nie to jest istotne w tej historii. – Spojrzał na mnie. – Zimno ci?

– Trochę. Może pójdę po sweter – powiedziałam.

Siedziałam obok niego na ławce, która ciągnęła się wzdłuż górnego pokładu. Nie było tam żywego ducha, pewnie cała załoga poszła już spać.

– Chodź, przykryjemy się kocem. – Sięgnął po czerwony pled leżący nieopodal.

Usiadłam blisko niego, w zasadzie tuż przed nim. Objął mnie w pasie. Siedziałam wtulona, zaczęło robić mi się cieplej. Miałam ochotę wtulić się jeszcze bardziej, tak by zapomnieć o całym świecie.

– I co dalej z nimi?

– Ngoc Tam uprawiał pole ryżowe, a jego żona nie robiła nic. Po prostu była piękna. Ale kochał ją nad życie. Los spletał mu figła i Nhan Diep nagle zmarła. Mężczyzna nie dawał za wygraną. Sprzedał cały swój majątek, zaniósł martwą żonę na łódź i popłynął wraz z nią z biegiem rzeki w poszukiwaniu ratunku. Płynął tak długo, aż dopłynął do wielkiej góry pokrytej roślinnością, jakiej nigdy w życiu jeszcze nie widział. Na samym szczycie spotkał starca, który okazał się nauczycielem medycyny. Starzec wiedział o nieszczęściu mężczyzny i postanowił mu pomóc.

– Ożywił ją i żyli długo i szczęśliwie?

– To nie bajka. To legenda o powstaniu komarów. Gdyby tak się stało, nie byłoby ich – powiedział. – Ale starzec ożywił ją.

– Jak?

– Kazał mężczyźnie zaciąć się w palec i uronić na swoją żonę trzy krople krwi. Odżyła natychmiast. Starzec kazał jej przyrzec, że będzie wdzięczna mężowi za to, co uczynił.

– Nie była?

– Jak to kobieta, chciałbym powiedzieć. – Tomek uśmiechnął się z przekąsem. – Ngoc Tam zawrócił łódź i popłynął w kierunku miasteczka, w którym mieszkali. Niestety skończyło im się jedzenie. Zatrzymali się na brzegu, mężczyzna poszedł coś kupić, a jego żona została sama. Jak to w życiu bywa, gdy zbyt długo zostawiasz swoją kobietę samą, ktoś inny ją oczarowuje. Przepływał tamtędy bogaty kupiec, zaprosił ją na swój statek na filiżankę herbaty, a ona zafascynowana poszła z nim. Ten podniósł żagle i odpłynął daleko, daleko. Minął miesiąc, nim Ngoc Tam ją znalazł. Przyzwyczaiała się już do dostatku, jaki ofiarował jej bogaty kupiec, nie chciała wracać z biednym mężem, który uratował jej życie.

– A jak to się ma do komarów?

– Poczekaj. – Tomek położył dłoń na mojej dłoni. – Mąż powiedział jej, że jest wolna. Ale ma mu oddać trzy krople krwi, które jej ofiarował. Nhan Diep ukłuła się w palec. Gdy pierwsza kropla spadła na ziemię, kobieta natychmiast

pobladła i zamieniła się w komara. Krążył on bez przerwy nad Ngoc Tamem, by ponownie zdobyć kroplę krwi potrzebną do tego, by ponownie przybrać postać kobiety. Bezustannie brzęczał nad uchem mężczyzny, błagając o przebaczenie. Bezskutecznie.

– Od dzisiaj będę już inaczej patrzeć na komary.

– A ja na kobiety.

– Nie możesz generalizować.

– Nie mogę. Ale uczymy się na podstawie własnych doświadczeń. Gdy każdy napotkany pies cię gryzie, boisz się psów i ich nie lubisz. Jeżeli kobiety cię ranią, również trudno ci uwierzyć im po raz kolejny.

– Musiałbyś spotkać taką, co nie gryzie. – Zamyśliłam się. – Albo taką, co ugryzie i jak ten komar otrzyma kroplę twojej krwi, by stać się tą właściwą.

– Już nie dam się ugryźć – powiedział.

– Nie psujmy sobie wieczoru – dodał po chwili. – Jesteśmy w tak pięknym miejscu, że szkoda czasu na dywagacje o niewiernych kobietach, gryzących psach i brzęczących komarach.

Pokiwałam głową. Było zbyt pięknie, by zmarnować te chwile.

– Zauważyłeś, że tutaj gwiazdy wyglądają zupełnie inaczej? – zapytałam.

– Zupełnie. Jakbyśmy byli w innym świecie.

– Tak. Jakby tamten świat na drugiej półkuli nie istniał. Jakby nie było niczego tygodni temu.

– Jakby nie było trzeciego czerwca.

– Co było trzeciego czerwca? To, co myślę?

Tomek się zamyślił. Widziałam, że nie chce opowiadać. Jednak po chwili odchrząknął i zaczął mówić.

– Trzeciego czerwca przyszła do mnie i powiedziała, że jest w ciąży. – Pokręcił głową. – Tak bardzo się ucieszyłem! Zupełnie tego nie planowaliśmy, ale mieliśmy się pobrać, już wszystko było przygotowane. Chciałem ją przytulić, ale jakoś dziwnie się wzbraniała. Pomyślałem, że to z troski o dziecko, ale byłem w błędzie. – Westchnął. – Nie było moje. W czasie, gdy ja jak ten Ngoc Tam ciężko pracowałem, moja piękna kobieta, dla której zrobiłbym wszystko, zajmowała się kimś zupełnie innym.

– Przykro mi.

Wzruszył ramionami.

– Podróż do Wietnamu miała być naszą podróżą poślubną. Zatoka Ha Long była tym cudem natury, którego jeszcze nie widzieliśmy. Zostawiliśmy go sobie na deser. Deser, który byłem zmuszony zjeść sam – powiedział. – A samemu tak nie smakuje.

– Dlatego zaproponowałeś mi tę wycieczkę? – zapytałam.

– Tak.

– Substytut?

– Nie. Po prostu miłe towarzystwo.

– Czy miłe, to się okaże – rzuciłam zaczepnie. – Ale dziękuję. Zawsze marzyłam, by ją zobaczyć. A fajnie się podzielić z kimś wrażeniami, prawda? – Uśmiechnęłam się. – I przynajmniej jest ktoś, kto może zrobić zdjęcie na tle.

– W czasach telefonów z aparatami i *selfie sticków* towarzysz nie jest do tego potrzebny.

– Nie mam *selfie sticka*.

– Ja też nie.

– No widzisz. – Znów się uśmiechnęłam. – Podobno czas leczy rany – powiedziałam.

– Podobno. Moja mama zawsze mówiła, że do wesela się zagoi – prychnął. – Chyba to powiedzenie teraz nie byłoby na miejscu.

Roześmiałam się w głos.

Chwilę w milczeniu bawiłam się prezentem od Tomka. Perłami zawieszonymi na szyi.

– Ale jednak miałaś szczęście w życiu – stwierdziłam nagle.

– Ja? Szczęście? – Spojrzał na mnie zdziwiony.

Popatrzyłam na niego ze współczuciem.

– Lepiej, że to się stało miesiąc przed niż miesiąc po – podsumowałam.

– Tak też powiedziała mi moja siostra. – Uśmiechnął się smutno. – Spoko. Już mi się poprawia.

– A dlaczego nie wzięłaś ze sobą siostry?

– Trochę ciężko by jej było w ósmym miesiącu ciąży. – Roześmiał się.

– Trochę ciężko – zawtórowałam.

– Masz rację. Miałem bardzo dużo szczęścia w życiu – powiedział, patrząc w jakiś odległy punkt przed sobą. – Ale czasem szczęście zawodowe nieco przystania coś, co powinno być dużo ważniejsze. Niestety zbyt późno to zrozumiałem. A może to był moment, gdy życie chciało mną mocno potrząsnąć, bym nie narobił jeszcze więcej głupot? Może to był dla mnie ostatni moment, by zawrócić z jedynej słusznej, jak mi się wydawało, ścieżki?

Spoglądałam na niego. Coraz bardziej go lubiłam. Nie chciałam go lubić. Chciałam użyć go do swoich celów i po prostu o nim zapomnieć. Gdy teraz myślę o tym, jaka byłam wtedy, zupełnie nie mogę siebie zrozumieć. Nikt nie jest idealny.

Ludzie robią błędy. Ja wtedy nie traktowałam mojego zachowania w kategorii błędu, ale jedynej niepowtarzalnej życiowej szansy.

Załoga statku zapewniała nam mnóstwo atrakcji, na przykład pokaz robienia *spring rollsów*. Każdy z nas mógł go zwinąć sam z papieru ryżowego, makaronu i warzyw. Uwielbiałam *spring rollsy*.

– Kocham kuchnię wietnamską – powiedziałam. – Jest taka lekka i chyba dużo zdrowsza niż nasza.

– I ryż, ryż, wszędzie ryż. – Uśmiechnął się Tomek. – Makaron ryżowy, papier ryżowy i ryż sam w sobie.

– Ja nie mam nic przeciwko.

– Wiesz, jak powstał ryż?

– Znowu jakaś legenda?

– Tak.

– Sporo ich znasz.

– Zawsze, gdy jadę do dalekiego kraju, lubię poczytać. Nie tylko przewodniki. Lubię też wiedzieć, jakie bajki opowiadają dzieciom.

– I jakie?

– Dzieci są wszędzie takie same. Bajki trochę się różnią. Oczywiście mają morał, dobro zawsze zwycięża nad złem, ale te wietnamskie są krótsze. Takie bardziej „prosto z mostu”. U nas są opisy przyrody i natury, a w bajkach wietnamskich po prostu relacja ze zwyczajnego dnia. Na przykład to, że bohater opiekuje się bydłem. Ale nie na tle zachodzącego słońca. – Tomek się roześmiał. – Zobacz, ten teatr w wodzie też pokazuje zwyczajne życie. Łowienie ryb i tak dalej. Kobiety w wietnamskich baśniach też są inaczej przedstawiane. W polskich są silną

podporą mężczyzny, zakochani stanowią jedność. Wietnamska kobieta ukazana zostaje jako ta, której mężczyzna może słuchać, lecz wcale nie musi i faktycznie, nie zawsze to czyni.

– Lepiej by na tym wyszedł – powiedziałam z przekąsem.

– Czasem tak, a czasem nie.

– W tej legendzie o komarach kobieta była tą złą. W legendzie o tym, jak powstał ryż, również będzie?

– Niestety.

– To lepiej nie opowiadaj. – Pokręciłam głową.

– Tam kobieta tylko źle zamiotła obejście – powiedział Tomek, usiłując zachować powagę.

– Szowinista!

– Nie ja, ja tylko znam legendę o tym, dlaczego Wietnamczycy cierpliwie zbierają ryż.

– No dobra, mów.

– Dawno, dawno temu każde źdźbło ryżu rodziło jedno wielkie, ogromne ziarno. Przy siewie też wystarczało, by tylko jedno dotknęło ziemi, a natychmiast zaczynało kiełkować. Gdy było za sucho, proszono bogów o deszcz, gdy nie było słońca, proszono o słońce. W porze zbierania ryżu rodziny odmawiały modły dziękczynne przez kilka dni i w tym czasie te wielkie ziarna ryżu toczyły się do spichrzy i napętniały je po dach. Ziarna ryżu mogły toczyć się tylko po czystej, gładkiej ziemi. Kiedyś pewien chłop poprosił swoją żonę, by zamiotła podwórko. Ona wzięła miotłę, ale myślała w tym czasie o świętach Nowego Roku. W rezultacie zamiatała bardzo wolno, zbyt wolno. Gdy jej mąż zaczął już wznosić modły do bogów, by ziarno ryżu potoczyło się do spichlerza, obejście jeszcze nie było uporządkowane. Nagle, wsparta o miotłę, poczuła, że coś o tę miotłę uderza. Było to właśnie wielkie ziarno ryżu pędzące do spichlerza. Gdy uderzyło o miotłę, rozbiło się na tysiące maleńkich kawałków.

– I znowu biedna kobieta nawaliła. A gdyby chłop jej pomógł, szybko by ogarnęli to obejście – powiedziałam. – I mogliby dalej żyć długo i szczęśliwie.

– Tu się z tobą zgadzam. Do tanga trzeba dwojga.

– Do zamiatania również.

– Na szczęście jesteśmy na urlopie i nikt nam zamiatać nie każe. – Tomek wyciągnął do mnie rękę. – Chodź na górę. Pooglądamy sobie jeszcze zatokę.

Wyszliśmy na pokład. Do statku podpływały małe łódeczki, z których mieszkańcy pobliskiej wioski chcieli sprzedawać turystom napoje i inne spożywcze produkty. Nie byliśmy zainteresowani. Zajmowało nas piękno zatoki. Zachodzące słońce nad wystającymi pojedynczymi skałami. Siedzieliśmy przykryci kocem i tak naprawdę nic więcej nie było nam potrzebne do szczęścia.

Długo siedzieliśmy na górnym pokładzie. Byliśmy zupełnie sami. Palily się tylko nieliczne światła w kajutach.

My zwlekaliśmy z pójściem do pokoju. Jakby każdy z nas chciał uniknąć tej niezręcznej sytuacji leżenia obok siebie. Jednak godziny mijały, wino coraz bardziej szumiało w naszych głowach. Siedzieliśmy przytuleni do siebie i chyba oboje nie chcieliśmy psuć tej chwili.

– Chyba pora spać? – Odgarnął włosy z mojego czoła.

– Ja dzisiaj śpię tutaj – powiedziałam.

– Chodź. Nie zostawię cię tu samej. – Wstał i wyciągnął w moim kierunku rękę.

Podniosłam się posłusznie i poszłam w stronę naszej kajuty. Bardziej przypominała pokój hotelowy niż miejsce na statku. Całkiem spora przestrzeń z dużym łóżkiem na środku, wyjście na taras, z którego można było podziwiać granatową wodę, a z drugiej strony drzwi prowadzące do łazienki.

– Ty pierwsza. – Uśmiechnął się. – Poczekam.

Poszłam do łazienki. Weszłam pod prysznic i zmyłam z siebie upał kolejnego wietnamskiego dnia. Założyłam koszulkę, chociaż miałam wrażenie, że ona bardziej działa na wyobraźnię niż nagość. Wcześniej wydawała mi się mniej przezroczysta. Czułam się za bardzo rozebrana. Ale czy cały czas nie o to mi chodziło? By być na tyle rozebraną, by to moje rozebranie bardzo mocno podziałało na jego wyobraźnię? Bym sprowokowała go do tego, by kochał się ze mną całą noc i kolejny dzień? Albo chociaż ten jeden jedyny raz?

Spojrzałam w lustro. Czy jeżeli to zrobię, będę mogła jeszcze kiedykolwiek na siebie spojrzeć? Czy do końca będę omijać swoje odbicie, nawet przy porannej toalecie?

Przysłoniłam swoje piersi ręcznikiem, nie byłam na tyle odważna, by się tak pokazać, wyszłam z toalety i szybko wsunęłam się pod kołdrę. Była tylko jedna i to na dodatek niezbyt szeroka. Cóż, to miała być cudowna podróż poślubna, a nikt się w nią nie wybiera po to, by spać pod dwoma oddzielnymi kołdrami. W podróży poślubnej nocy są tak gorące, że żadna kołdra nie jest potrzebna.

Najlepiej byłoby, gdybym już spała, nim Tomek wróci z łazienki. Westchnęłam.

Raptem stałam się taka pruderyjna. Jeszcze przed chwilą miałam nadzieję, że uda mi się z premedytacją zaciągnąć go do łóżka, ale teraz, gdy byłam tak blisko realizacji swojego planu, nie miałam już tyle odwagi. Zamknęłam oczy i słuchałam szumu wody. Tomek podśpiewywał. Czy gdybym spotkała go gdzie indziej, nasze relacje byłyby inne? A może mieliśmy jakieś szanse w innym świecie, tym bliższym naszemu sercu?

Polubiłam go. Nie przeszkadzało mi jego towarzystwo. Coraz bardziej pociągał mnie również fizycznie. Dobrze nam się rozmawiało, wydawało mi się, że mamy podobne priorytety w życiu. Może warto byłoby zaryzykować i popłynąć na falach uczuć, które spały głębokim snem, ukryte gdzieś w zakamarkach mojej duszy. Ale czy w Polsce, w zwykłej szarej codzienności umielibyśmy się dogadać? Czy byłby to kolejny źle zainwestowany emocjonalny kapitał?

Tomek wrócił z łazienki. Pachniał mydłem, wodą toaletową. Pachniał

i wyglądał tak, jak mężczyzna z reklamy męskich kosmetyków. Ubrany był w czarne bokserki, które miały wszystko zasłaniać, jednak nie pozostawiały zbyt wiele dla wyobraźni. Udałam, że nie robi to na mnie wrażenia. Nie chciałam, by robiło. Jednak było zupełnie inaczej.

Przesunęłam się na sam skraj łóżka. Zauważył to.

– Zaraz spadniesz. – Uśmiechnął się. – Ja nie gryzę – dodał. – Przynajmniej nie za mocno. I z rzadka.

Przesunęłam się bliżej środka i przykryłam mocniej. Tomek zgasił światło. Dwoje zupełnie obcych sobie ludzi w jednym łóżku, pod jednym przykryciem. Mężczyzna i kobieta. Młodzi, pełni siłą witalnych, wypoczęci i spragnieni drugiej osoby tak bardzo jak nigdy.

Oddychaliśmy cicho, jakbyśmy bali się, że jakiś głębszy oddech zwróci uwagę na to, na co zdecydowanie nie powinien.

Uważaliśmy, by nasze stopy nie zetknęły się pod jedną i tą samą kołdrą. Dotknięcie stóp zawsze wydawało mi się bardziej intymne niż dotyk dłoni, a czasem nawet wtulenie się w czyjeś ramiona.

Nie mogłam zasnąć. Potrzebowałam czułości, ciepła, bliskości. Potrzebowałam po prostu drugiego człowieka obok. Kogoś, kto by mnie przytulił, pogłaskał, kto bezinteresownie chciałby sprawić mi przyjemność. Kogoś, komu z radością dałabym rozkosz.

Przewracałam się z boku na bok.

– Nie możesz spać? – Tomek odwrócił się do mnie.

– Nie – powiedziałam cicho.

– To co z tym robimy? – szepnął.

– Bezenność w Ha Long. Za ciepło, zbyt dużo myśli krążących w mojej głowie.

Odwrócił się w moim kierunku. Wsparł się na łokciu i wpatrywał we mnie.

Nasze oczy przyzwyczyły się już do ciemności.

Odgarnął włosy z mojego czoła. Pogładził mnie po policzku.

– Mam pomysł – powiedział.

– Jaki? – zapytałam.

– Masaż.

– Umiesz masować? – zdziwiłam się.

– Kiedyś zrobiłem kurs masażu. Dawne czasy.

Usiadłam na łóżku, okryta prześcieradłem.

– Myślisz, że masaż pomoże w bezsenności?

– Poczekaj. – Tomek wstał z łóżka. Założył szorty i wyszedł z pokoju.

Po chwili wrócił z butelką wina.

– Kolejna? – zapytałam.

– To bardzo słabe wino. Na bezsenność doskonałe. – Tomek wprawnym ruchem wyciągnął korek. Nalał wino do kieliszków. – Za bezsenność w zatoce Ha Long. – Uśmiechnął się.

Usiadł obok mnie. Unieśliśmy kieliszki do ust. Czułam, że ta historia nie zakończy się na jednym winie. Tomek nagle podniósł rękę do mojego ramienia. Zadrżałam.

– Ramiączko ci się zsunęło – powiedział cicho. – Poprawił je delikatnym ruchem. Potem przesunął palcem wzdłuż mojej szyi.

Spojrzał mi prosto w oczy. Wytrzymałam jego wzrok. Przysunął się bliżej. Odstawił kieliszki na stolik nocny. Uniósł dłoń, odgarnął mi włosy z policzka i delikatnie mnie pogłaskał.

– Miał być masaż – wyszeptałam. – Tak cię uczyli na kursie masażu?

– Chyba nie będzie. – Pokręcił głową. – Chyba nie skończyłoby się tylko na masażu. A pewne rzeczy ci obiecałem.

Pokiwałam głową. Faktycznie obiecał. Tylko ja nie chciałam pamiętać tych obietnic. Chciałam, by ramiączka mojej koszulki spadły, odsłaniając moją nagość, chciałam, by wziął mnie w swoje ramiona i całował, mocno tuląc. Chciałam kochać się z nim do białego rana, w tamtej chwili bezsenność nie była mi straszna. Marzyłam o tym, by trwała jak najdłużej i byśmy wypełniali ten czas naszymi przyspieszonymi oddechami. Chciałam, by dotyk jego palców wyznaczał rytm mojego oddechu.

– Staram się dotrzymywać obietnic. – Przesunął palcem po moich ustach. – Spotkamy się też w innym życiu?

– Mamy tylko jedno życie – powiedziałam cicho.

– I tak łatwo je spieprzyć.

– Pocałunek nie spieprzy nam życia – wyszeptałam, pragnąc tego pocałunku najbardziej na świecie.

– Nie mówię o pocałunku. – Pokręcił głową.

Zbliżył swoje usta do moich. Pragnęłam go mocno, coraz mocniej. Zapomniałam o jakichkolwiek moich wcześniejszych, niekoniecznie moralnych, planach. Chciałam dać się ponieść chwili, emocjom; pofrunąć, nie zważając na żadne konsekwencje.

Pocałował mnie niespiesznie. Odwzajemniłam pocałunek. Gwałtownie, mocno, namiętnie. Wino płynące w moich żyłach pozbawiło mnie zupełnie hamulców.

– Ania. – Złapał mnie za ramiona i lekko od siebie odepchnął.

Pokręcił głową. Wstał z łóżka i poszedł do łazienki.

Usłyszałam wodę lecącą z kranu. Po chwili wyszedł owinięty tylko ręcznikiem. Nie wnikałam, czy ma coś pod spodem. Na jego twarzy zauważyłam krople wody. Włosy też miał mokre.

– Zimny prysznic – powiedział. – Nic innego by nie pomogło.

– Chyba też powinnam wziąć zimny prysznic. – Pokręciłam głową. Emocje nieco ostygły. Nie miałabym nic przeciwko, gdyby znowu wybuchły ze zdwojoną siłą.

– Obiecuj mi, że się w Polsce spotkamy. Musisz mi to obiecać.

Uśmiechnęłam się. Nie chciałam niczego obiecywać. Zamiast nabrać dystansu do świata w dalekim Wietnamie, miałam wrażenie, że jeszcze bardziej komplikuję sobie życie. Ale czy nie tego chciałam? Miłości, partnera, mężczyzny, który będzie w stanie rozpalić mnie fizycznie, intelektualnie i duchowo? A teraz ten mężczyzna, właśnie w momencie, kiedy chciałam mu się cała oddać, stanowczo odsunął mnie od siebie, poszedł wziąć zimny prysznic, by nie zrobić tego, o czym całe moje ciało marzyło od tych kilku chwil. Przez moment zaczęłam żałować jakichkolwiek myśli związanych z tym, że niczym Wietnamki sprzed kilkudziesięciu lat chciałam się nim posłużyć, by zrealizować swoje cele.

Zamknęłam oczy. Powinnam wyjechać natychmiast, by się teraz zastanawiać nad swoim życiem.

– Dobranoc – powiedziałam.

– Dobranoc. – Przykrył mnie kołdrą i sam się pod nią wsunął. Odwróciłam się do niego tyłem. W dalszym ciągu nie mogłam zasnąć.

Tomek zgasił światło. Leżeliśmy oboje obok siebie, tak blisko, a jednak tak bardzo, bardzo daleko. Dwoje dorosłych ludzi z najwyraźniej za bardzo poplątaną przeszłością. Chyba oboje baliśmy się związać nasze losy z kimkolwiek innym, zanim sami nie rozplączemy swoich wszystkich problemów. A może po prostu powinniśmy wziąć czarodziejskie nożyczki, szybko odciąć przeszłość od teraźniejszości i już spokojnie pozwolić, by nasze wspólne chwile trwale się splątały. Oboje jednak baliśmy się tego tak samo.

Pocałunek zupełnie nie pomógł w zasypianiu, wręcz przeciwnie. Rozpalił

mnie na tyle, że sama chętnie wzięłabym zimny prysznic, podobnie jak Tomek. Jednak nie chciałam wychodzić. Miałam wrażenie, że już zasnął. Najwyraźniej zimna woda pomogła ostudzić wszystkie emocje.

Odwróciłam się na wznak. Przez chwilę lekko dotknęłam jego nogi swoją stopą. Szybko ją cofnęłam. Starłam się zasnąć. Zamknęłam oczy, gdy nagle poczułam jego dłonie, błądzące po moich ramionach. Otworzyłam oczy.

– Zimny prysznic nie pomógł – wyszeptał. – W ogóle. Nie mogę spać obok ciebie. Nie spodziewałem się, że spanie obok jakiegokolwiek kobiety może być tak trudne.

Nic nie powiedziałam.

Bawił się ramiączkami mojej koszulki. Nie protestowałam, ale też nie zachęcałam go do dalszych działań. Bałam się, że w pewnym momencie znowu się wycofa. Nie zniósłabym tego.

Pocałował moją szyję i dekolt. W końcu zsunął koszulkę z moich piersi. Nie mogłam dalej być obojętna na jego pieszczoty.

Dalej potoczyło się bardzo szybko. Oczywiście znowu przemknęło mi przez myśl pytanie, czy to, co robię, jest słuszne. Potem już nic mnie nie interesowało. Poza tym, że jesteśmy razem w jednym z najpiękniejszych miejsc świata i chociaż przez chwilę dzięki niemu jestem szczęśliwa. Nie kochałam go wtedy. Ta noc była jak zjedzenie pysznego ciastka z kremem. Chwilowa przyjemność, pozornie bez konsekwencji. Dopiero gdy po wszystkim leżałam przytulona do niego, a on wydawał się już spać, pomyślałam, co mogło się stać w najbliższej przyszłości. Chyba niezależnie od tego, czy zobaczymy się w Polsce, czy nie, bardzo tego chciałam... Bardzo chciałam, by ta jednorazowa przygoda była brzemienna w skutki. A raczej – bym to ja była brzemienna.

Ranek po pierwszej wspólnej – na dodatek zupełnie nieoczekiwanej – nocy jest zwykle bardzo trudny. Unikanie swojego wzroku. Zdawkowe słowa. Tak było też u nas. Krótka wymiana zdań przy śniadaniu, poranna kawa. Rozmowa na tematy błahe, zupełnie nieistotne. Zniknęła gdzieś ta magia, która oczarowała nas poprzedniej nocy.

Po śniadaniu poszliśmy na górny pokład. Byliśmy tam sami. Tomek chwycił moją twarz w dłonie i spojrzał mi w oczy.

– Jesteśmy dorośli. Aniu, wiedzieliśmy, co robimy. Nie psujmy sobie wspólnego czasu. Nie mogę znieść tego napięcia między nami.

Pokręciłam głową.

– Żałujesz? – zapytał.

– Nie.

Wziął mnie za rękę i zaprowadził do kajuty. Tym razem zupełnie świadomie smakowaliśmy swoje ciała. Leżeliśmy nadzy, wtuleni w siebie, nie zważając na żadne życiowe przeszkody. Oboje nie wiedzieliśmy, co przyniesie nam los. Bardzo chciałam, by na drugiej półkuli nasze relacje były równie gorące jak w upalnym, pachnącym wilgocią Wietnamie. Jednak los bywa przewrotny. Zawsze ma swoje własne wyobrażenie o ludzkich marzeniach i celach.

Chciałam, by nasza podróż nigdy się nie skończyła. Niestety wiedziałam, że kiedyś trzeba będzie wrócić do codzienności. Świat pełen obowiązków, zasad i rutyny czekał, byśmy powrócili z wietnamskiego rajku.

Drugi dzień był chyba jednym z najbardziej romantycznych dni w moim życiu. Gdy zamknę oczy, widzę piękną piaszczystą plażę z kryształowo czystą wodą, małe muszelki, które zbierał dla mnie Tomek i niesamowite piękno zatoki Ha Long.

Po śniadaniu wypłynęliśmy kajakami w stronę plaży. Tylko my mieliśmy na to ochotę. Dostaliśmy na drogę małe ananasy. Doskonale pamiętam ich słodycz.

Potem już nigdy ananasy nie smakowały mi jak wtedy. Specyficznym pokrojone, tak, by można było je trzymać za liście i obgryzać słodki owoc, aby sok spływał cienką słodką stróżką po twoim ciele.

Pamiętam zapach i smak ananasów. Pamiętam też uczucie, gdy Tomek smakował ten sok wprost z mojego dekoltu, piersi. Potem smakował mnie całą. Leżeliśmy sami na najpiękniejszej plaży świata. Nie interesowało nas, czy ktoś podgląda. Dla nas była to bezludna wyspa, na której byliśmy królem i królową. Zupełnie nadzy leżeliśmy na gorącym piasku i zupełnie nadzy zmywaliśmy ten piasek ze swoich ciał.

Tomek układał wzór z muszelek na moim brzuchu, na piersiach, pośladkach. Potem przywiozłam te wszystkie muszelki do domu.

Wróciliśmy rozpaleni słońcem, emocjami i chyba miłością, która wybuchła nagle niczym wulkan. Nie wiedzieliśmy jednak wtedy, czy to miłość, czy wzajemna fascynacja. Miałam wrażenie, że oboje chcieliśmy spędzić na tej wyspie wiele dni i wiele nocy tylko we dwoje.

Powróciliśmy na statek tuż przed zmrokiem wyłącznie po to, by za chwilę wyruszyć w stronę brzegu miasta Ha Long.

Nasza przygoda na statku Syrena dobiegała końca. Moja wietnamska odyseja również. Mieliśmy spędzić ze sobą ostatnią noc. Ostatnią noc w Azji. Oboje mieliśmy nadzieję, że w Polsce będzie tych nocy wiele. Że mimo tego iż naszą znajomość zaczęliśmy zupełnie od innej strony, w Polsce uda nam się nadrobić czas nocami pełnymi rozmów.

Czyżbym się zakochała?

Pożegnalny wieczór spędziliśmy w małym hoteliku tuż obok lotniska. Naszej radości nie popsuł nawet fakt, że Tomek utopił telefon w basenie.

– Bywa. Za kilka dni wracam do domu. Najgorsze, że nie będę miał kontaktu z tobą.

– Będziesz. Wrócisz szybko.

Ta noc była zbyt krótka. Oczy nam się zamykały, ale szkoda nam było czasu na sen. Niestety godziny mijały nieubłaganie. Nadszedł czas wyjazdu na lotnisko. Tomek poszedł schować walizki do samochodu, a ja udałam się do recepcji oddać klucze.

– Przeszedł do państwa faks. Trochę niewyraźny, przepraszam, ale mam nadzieję, że wszystko da się odczytać – powiedziała doskonałą angielszczyzną dziewczyna siedząca na recepcji.

– Faks? – zdziwiłam się. Miałam wątpliwości, czy to do nas.

Recepcjonistka podała mi czarno-biały wydruk. Był to obraz z programu pocztowego z adnotacją napisaną ręcznie.

„Nie mogę się do ciebie dodzwonić, na maile też nie odpowiadasz. Takie coś przyszło na skrzynkę firmową. Skontaktuj się z nim”.

Chcąc nie chcąc, przeczytałam maila. Nadawcą był niejaki Sławomir Góra.

„Szanowny Panie,

w dniu wczorajszym zapadł wyrok w pańskiej sprawie, bardzo mi przykro. Będziemy się odwoływać, ale szanse są niewielkie. Proszę o pilny kontakt.

Z poważaniem

Sławomir Góra”

Poniżej rozmazany podpis z adresem kancelarii prawnej.

Wyrok? Niewielkie szanse? O co w tym wszystkim chodzi? W co ja się znowu wkopałam? Robiło mi się na przemian zimno i gorąco. Czy na pewno byłam bezpieczna w towarzystwie Tomka? Wszystkie emocje opadły. Co ja najlepszego zrobiłam?

Oczywiście istniały na świecie kobiety, które zakochiwały się nawet w mężczyznach przebywających na stałe w zakładach karnych, ale ja? Romans

z facetem, do którego jakiś prawnik pisze o wyroku, odwołaniu się od niego i niewielkich szansach? To jeszcze w życiu mi się nie przydarzyło. Nagle poczułam tęsknotę za Jackiem. Był przewidywalny, czasem nudny, ale na wskroś uczciwy. Żadnych kryminalistów!

Nie dałam po sobie poznać, że przeczytałam ten dokument. Było trudno, bo miałam ochotę natychmiast mu wszystko wykrzyczeć. Dałam go Tomkowi dopiero na lotnisku, gdy pożegnaliśmy się i miałam przechodzić już przez bramkę.

– I jeszcze to coś przyszło do hotelu – powiedziałam cicho. – Niechący przeczytałam.

Tomek wziął ode mnie papier. Gdy przeczytał, pobałdł.

– Pieprzeni prawnicy – wycodził przez zęby.

Nic nie powiedziałam.

– Nie miałam pojęcia, że masz jakiś wyrok.

– Przecież nie mówi się o tym na pierwszej randce.

– Nie. Ale powinnam wiedzieć przed pierwszą randką. Nie byłoby jej w ogóle.

– Ania! – Próbował złapać mnie za rękę. – To zupełnie nie tak, jak myślisz!

Jasne. Zawsze tak mówią. Zawsze jest inaczej, niż wydawałoby się, że jest naprawdę. Ja już nie chciałam się o tym dowiadywać. Chciałam odlecieć daleko. Po tych kilku dniach, które wydawały się być pełnią szczęścia, pozostał smutek i żal. Jeszcze krzyczał, że nie jest przestępcą, że to jest zupełnie inaczej niż myślę, ale już go nie słuchałam.

Gdybym pisała książki, ta powstająca teraz miałaby tytuł *Wietnamski romans*. Może nawet dodałabym „tani”. Albo „beznadziejny”. Niestety, nie byłoby *happy endu*. Ale czy zawsze musi być? Nie zawsze. Byłby po prostu o idiotce, która chciała więcej, a dostała mniej. Istny harlequin o nieszczęśliwej miłości.

Chcąc nie chcąc, wykorzystałam Tomka.

Nie miałam zamiaru się z nim więcej spotkać. To nie był człowiek dla mnie. Nigdy w życiu nie przekraczałam granic prawa. Było to dla mnie bardzo ważne. Ktoś, kto miał wyrok, nie mógł ze mną być.

Miałam serdecznie dość wszystkich mężczyzn. Jednak pewna myśl zaprzętała mi głowę.

Zrobiłam dokładnie to, co kobiety w Wietnamie kilkadziesiąt lat temu. Nie prosiłam Tomka o dziecko, jednak nie zabezpieczaliśmy się podczas naszych namiętnych nocy i dni. Miałam ogromną nadzieję, że się udało. Że mimo wszystko się udało. Miało się to okazać już niedługo.

Było mi bardzo przykro, że tak skończyła się moja wietnamska podróż. Czy gdybym nie przeczytała tego faksu, chciałabym się z nim spotkać? Oczywiście, że bym chciała. Jednak powiedziałam „żegnaj” i wiedziałam, że nigdy w życiu się nie zobaczymy. Tak umówiłam się sama ze sobą. A przecież zawsze dotrzymywałam umów. Szczególnie tych zawartych ze sobą.

Historia o wietnamskich kobietach pragnących dziecka zainspirowała mnie na tyle, że miałam zamiar zrobić to samo, co one. A potem myślałam, że się zakochuję. I ani przez chwilę nie mając poczucia, że wykorzystuję Tomka, spałam z nim. Po prostu los chciał, by nasza wzajemna fascynacja pchnęła nas w swoje ramiona.

On mnie oszukał, ja chyba też. Nie powiedziałam mu o tym, jakie wcześniej miałam plany.

Nigdy w życiu nie dowie się, że jest ojcem. Gdy zajdę w ciążę, nie będzie się czuł winny. Nie będzie się czuł odpowiedzialny.

Teraz myślę, że mój tok myślenia był bardzo brutalny.

W samolocie przetykałam łyzy, przypominając sobie nasze ostatnie wspólne chwile, jeszcze zanim przekazałam mu pilny faks od mecenasa Góry. Naszą podróż samochodem, w którym trzymał moją dłoń tak mocno, jakby się bał, że gdy puści, natychmiast ją straci. To, że odprowadził mnie na lotnisko. Pogładził mój policzek ruchem, do którego zdążyłam się już przyzwyczaić przez tych kilka dni naszej wietnamskiej przygody.

– Zobaczymy się jeszcze kiedyś? – zapytał, gdy staliśmy objęci przed bramkami, za które nie mógł już wejść.

Starłam się nie patrzeć mu w oczy. Byłam na niego w tamtym momencie bardzo zła.

Kiedyś jadłam pyszne słodkie jabłko i nagle za kolejnym kęsem zobaczyłam, że jest w nim kilka robaków natychmiast je wyplułam. Teraz czułam się dokładnie tak samo. Robaki. Robaki w przepysznym soczystym jabłku, na które miałam wielką ochotę i które jadłam codziennie, i które chciałam jeść przez całe życie.

– Chyba...

– Jak to chyba? – Zobaczyłam w jego oczach panikę. – Jak to chyba się zobaczymy? – powtórzył.

– Żartowałam! – Uspokoiliam go mimo tego, że chciałam wykrzyknąć mu, co o tym wszystkim myślę. – Jasne, że się zobaczymy. Przecież masz mój numer telefonu.

– Mam. – Uśmiechnął się z ulgą. – O kurczę, mam tylko twój wietnamski numer. – Zaczął szukać w kieszeni długopisu i kartki, by zapisać polski odpowiednik.

– Masz coś do pisania? – zapytał.

Pokręciłam głową.

– Niestety nie. Ale nie martw się. W Polsce wietnamski numer będzie działał! – Roześmiałam się. – Poczekam na telefon. Zresztą ja mam twój polski numer. Odezwę się. – Trzymał mnie za rękę i nie chciał puścić.

– Nie jedź... – powiedział. – Zostań ze mną. Jeszcze chociaż tydzień. Kupię bilet...

– Tomek. Nie mogę zostać – powiedziałam. Przez chwilę miałam ochotę zgnieść kartkę, którą trzymałam w dłoniach i nigdy mu jej nie dawać. Zapomnieć o wszystkim, zostać jeszcze tydzień w Wietnamie i wrócić na plażę. Na naszą plażę.

– Wiem – powiedział smutno. – Dziękuję... Sprawiaś, że moja podróż poślubna była całkiem fajna. Chyba nie mogłem mieć lepszej. – Zamyślił się chwilę. – Na pewno nie. Dziękuję. Odzyskałem wiarę w ludzi.

Popatrzyłam na niego przez chwilę. Ja tę wiarę straciłam. Tym razem miałam ochotę zмяć papier i nim w niego rzucić.

– Też dziękuję. Za wszystko – powiedziałam cicho.

Dopiero potem wyjęłam z kieszeni spodni nieco pognieciony faks i mu go dałam.

– Co to jest? – zapytał. Szybko rozłożył zmięty dokument.

– Przyszło do ciebie do hotelu. Tak, wiem, nie powinnam czytać – powiedziałam. – Niestety przeczytałam.

Tomek szybko przebiegł oczami po tekście. Bardzo się zdenerwował.

Cała magia prysła.

– Ania! – powiedział. – Ty chyba nie myślisz, że jestem jakimś przestępcą!

Cóż. Dokładnie tak myślałam. Bo co miałam myśleć?

Nie chciałam słuchać tłumaczeń. Bo i po co? Wiedziałam, że za kilka godzin będę bardzo daleko. Miałam wrażenie, że znowu uciekam od problemów. Chyba całe życie byłam na to skazana. Jednak czułam, że jeszcze kiedyś los postawi Tomka na mojej drodze.

– Ania, to zupełnie nie tak, jak myślisz! – Wciąż słyszałam jego słowa, widziałam jego twarz, gdy próbował mnie zatrzymać. – Nie możesz teraz odejść! Obiecuj, że zadzwonisz!

Nie dałam mu szans na żadne wyjaśnienia.

Kilkanaście godzin później stałam na lotnisku w Paryżu z walizką, która miała tę cholerną, niedającą się wyciągnąć rączkę. Tym razem nikt mi nie pomógł.

CZĘŚĆ DRUGA

Tomasz





Nie możesz oddychać nosem innego człowieka

powiedzenie wietnamskie

Krzyczałem za nią jak wariat, że to zupełnie inaczej, niż ona sobie wyobraża, że owszem, byłem karany, ale nie jestem żadnym przestępcą, którego mogłaby się obawiać. Ludzie patrzyli na mnie jak na idiotę. Nie rozumieli, co krzyczę.

Ochrona zaczęła iść w moją stronę, musiałem się uspokoić. Najchętniej poleciałbym wraz z nią, teraz, natychmiast, nie zważając na wszystko, co zostawiam w Hanoi. Oczywiście, każdy tak mówi. Zostałem z tą cholerną kartką od mecenasa Góry w ręku i z adnotacją mojej siostry, bym szybko się z nią skontaktował. Gdyby ten cholerny telefon nie wpadł mi do basenu, Marta nie musiałaby wysyłać faksu. Chciała dobrze.

– Namieszałaś, mała. – Zadzwoiłem do niej z hotelu.

– Co się stało? – zapytała.

– W domu ci opowiem. – Pokręciłem głową. – Ale namieszałaś. Do cholery, czemu wysłałaś mi ten faks?

– Ty masz do mnie pretensje? – zdziwiła się. – Nie można się z tobą skontaktować od kilku dni, co miałam robić?

– Nie wysyłać tego cholernego faksu. Nie wpadłaś na pomysł, że ktoś może go przeczytać? – Starłem się być spokojny, ale niezbyt mi to wychodziło.

Nie chciałem krzyżeć na Martę, była w ciąży, nie mogła się denerwować, ale, do cholery, tak nie można! Miałem ochotę nią potrząsnąć.

– Nie wiem, o co ci chodzi. – Moja siostra najwyraźniej zaczynała się irytować. – Człowiek czyta, że masz się pilnie skontaktować ze swoim mecenasem,

przeżywa z tobą wszystkie chwile, stoi za tobą murem w momencie, gdy nabroisz w swoim życiu na tyle, że prawnik ci jest potrzebny, a nawet lepiej, załatwia ci tego prawnika, a ty jeszcze się wydzierasz.

– Sorry. – Naprawdę zrobiło mi się głupio.

– Najchętniej walnęłabym teraz słuchawką. Ale nie zrobię tego, bo nie jest w moim zwyczaju zostawiać bliskich w czarnej dupie. Dzwon do tego Góry, bo jeszcze siedzieć pójdziesz.

– Nie było o tym mowy. Dostanę w zawieszeniu.

– Nadal mnie to przeraża. – Westchnęła. – Brat kryminalista. Taki stary, a taki głupi. Kiedy wracasz?

– Najchętniej jutro – powiedziałem cicho.

– Bo? – zapytała z przekąsem.

– Poznałem kogoś.

– Znowu jest plastikową lalką z wielkimi cyckami i ustami wydętymi w grymasie wiecznego niezadowolenia? – Marta bardzo nie lubiła Anety i nie ukrywała radości z powodu naszego rozstania.

– Marta... – próbowałem ją powstrzymać.

– No, nic już nie mówię – dodała szybko. – Ale nie ma to jak poznać kogoś w czasie swojej samotnej podróży poślubnej.

– Nie była taka samotna – odburknąłem. – Przez chwilę była cudownie niesamotna.

– Wietnamka, Japonka czy Chinka? – Marta zawsze była konkretna.

– Polka – powiedziałem. – Ania. Polka z Gdańska.

– Pozdrów ją ode mnie. – Usłyszałem wyraźną ulgę w głosie mojej siostry.

– Właśnie wyjechała. Przestraszyła się faksu, który odebrała w recepcji hotelowej i związała, nie zostawiając numeru telefonu.

– Aaaa... – Marta chyba wreszcie zrozumiała, o co chodzi. – Zupełnie ci zniknęła?

– Na to wygląda – przyznałem smutno.

– Nie martw się, braciszku – powiedziała. Prawie czułem, jak poklepuje mnie delikatnie po ramieniu, dodając otuchy. Tak jak robiła zawsze. – W tych czasach każdego da się znaleźć. Świat to jedna globalna wioska. Nie mówiąc już o Gdańsku. Przecież tutaj wszyscy pływają w tej samej zupie i tylko kwestią czasu jest, kiedy znajdą się w jednej łyżce.

– Mam nadzieję – powiedziałem. – Mam taką nadzieję.

– To kiedy wracasz? – zapytała.

– Za tydzień. Miałem w planach jeszcze Sajgon.

– Sajgon to ty już masz – powiedziała kąśliwie. – Nie tylko w planach.

– Można to tak ująć.

– A może byś poszła po nią na lotnisko? – Nagle wpadłem na pomysł. – Pewnie będzie wracać z Paryża.

– No to teraz czas, byś może wreszcie zapytał, co u mnie? – zasugerowała nieco złośliwie. – Halo, siostrzyczko, co u ciebie, jak się czujesz? Coś w ten deseń.

Miała rację. Nawet się nie zainteresowałem, co u niej.

– Co u ciebie? – zapytałem.

– Cudownie, z okna szpitala na Zaspie widać kościół. Poza tym jedzenie do dupy, a towarzystwo takie sobie.

– Jezu, jesteś w szpitalu? – Poczuję się jak najgorszy idiota. Zawracałem głowę mojej siostrze, denerwowałem ją, a ona w tym czasie leżała w szpitalu.

Brawo ja. – Co się dzieje? – Zdenerwowałem się.

– Sytuacja już opanowana. Miałam skurcze, a jeszcze trochę za wcześnie i zatrzymali mnie na kilka dni na obserwację. Ale chyba jutro wyjdę.

– Zdenerwowałaś się mną...

– No, nie ukrywam – stwierdziła. – Zawsze myślałam, że to młodsze rodzeństwo sprawia kłopoty, wygląda jednak na to, że starszy brat potrafi jeszcze bardziej namieszać w moim życiu.

– Małe dzieci, mały kłopot, duże dzieci, duży kłopot. Przepraszam. – Było mi cholernie przykro, że zawracam jej głowę moimi sprawami. Teraz to ona powinna być najważniejsza.

– Dzwon do Góry. Mam nadzieję, że nie jest tak źle, jak to przedstawił.

– Nawet nie chcę się odwoływać. Nawaliłem, to biorę na klatę to, co mi się należy. Nie chce mi się walczyć.

Bo i po co miałem walczyć? Zawsze uważałem, że gdy ktoś popełni błąd albo zrobi coś złego, powinien zostać ukarany. Oczywiście wiedziałem, że to, co zrobiłem, było moralnie wątpliwe, sprzeczne z zasadami, ba, nawet niezgodne z prawem, ale gdybym mógł cofnąć czas i jeszcze raz być w tamtym momencie swojego życia, zrobiłbym dokładnie to samo. A może i więcej. Nawet wiedząc, jakie będą tego konsekwencje. Wszelkie konsekwencje. I te prawne, i te życiowe.

Z Anetą, moją narzeczoną, studiowaliśmy razem zarządzanie. Nie chodziliśmy do tej samej grupy, ale często spotykaliśmy się na wykładach czy w stołówce. Ona mieszkała w akademiku na Przymorzu, pochodziła z Elbląga.

Szybko zwróciłem na nią uwagę. Drobną, wysportowaną długowłosa blondynka, zawsze uśmiechnięta, z długim warkoczem. Najpierw zwróciłem uwagę właśnie na ten warkocz. Majtał mi się przed oczami gdzieś w wielkiej auli na ostatnim piętrze. A może najpierw spodobał mi się jej uśmiech? Nie pamiętam.

Na trzecim roku studiów zaczęliśmy się spotykać. W tym samym czasie wspólnie z przyjacielem powoli rozkręciliśmy naszą firmę. Ja studiowałem zarządzanie, on budowę okrętów na politechnice. Z Jarkiem znaleźliśmy się od dziecka, nasi rodzice się przyjaźnili, mieszkaliśmy obok siebie. Powierzaliśmy sobie swoje największe sekrety i zawsze mogliśmy na sobie polegać. Nie mieliśmy pieniędzy, ale nasze głowy były pełne pomysłów. Nie wiedzieliśmy, czym jest szklany sufit, od którego często odbija się człowiek, gdy jest już nieco starszy. Mieliśmy ciut więcej niż dwadzieścia lat i byliśmy przeświadczeni, że możemy wszystko. Wiele się nie pomyliliśmy, faktycznie to, za co się zabraliśmy, obracało się w pieniądzu.

Na początku sprowadzaliśmy samochody zza zachodniej granicy. Obaj znaleźliśmy biegle angielski, z niemieckim również sobie radziliśmy. Więcej nie było nam trzeba. Jarek miał zmysł techniczny, ja organizacyjny – mieszanka wybuchowa.

Do zarabiania pieniędzy studia nie były nam potrzebne. Jednak obaj stwierdziliśmy, że trzeba skończyć to, co zaczęliśmy. Po linii najmniejszego oporu. Egzaminy zdawałem zawsze na tróje. To zupełnie mi wystarczyło. Zdać tak, by nikt się nie czepiał. Gorzej było z projektami, nad którymi trzeba było siedzieć wspólnie z kolegami z grupy. Zasady były proste. Grupa dostawała punkty, które potem trzeba było rozdzielić między siebie według nakładu pracy. Nie miałem czasu na spotkanie się i teoretyczne dywagacje na temat biznesu. Ja swój biznes miałem w głowie, gdy przemierzałem tysiące kilometrów na Zachód i przywoziłem kolejny samochód po to, by go wyremontować i sprzedać za kilka razy większą kasę. Moi koledzy ze studiów dostawali stypendium naukowe, ja każdego miesiąca zarabiałem wielokrotność tego, co wpływało im na konto.

– Powiem szczerze – przyznałem pewnego razu – że nie mam czasu się tym zająć. Co mam zrobić, byście przyznali mi ilość punktów wystarczającą na tróję?

Patrzyli na mnie jak na przybysza z obcej planety. Lubiałem stawiać sprawy jasno. Nie chciałem mieć kłopotów na uczelni, nie chciałem stawiać ich

w niezręcznej sytuacji. Byłem lubiany, fundowałem piwo, to chyba nawet im pasowało.

Na początku coś tam dla nich robiłem, a potem po prostu zabierałem ich do baru na Monciaku na obiad. Czasem woziłem gdzieś kogoś, załatwiałem jakieś sprawy.

Myślę, że nikt z nas nie wyszedł na tym źle. Ewa, koleżanka z grupy, pracuje u mnie niemal od momentu, gdy skończyła studia, jest moją prawą ręką i dobrą przyjaciółką. Często ratuje mnie z życiowych i zawodowych opresji. Marek jest głównym księgowym. Jednak moja przeszłość jest dowodem na to, że czasem życie i praktyka są dużo lepszymi nauczycielami niż teoria serwowana na zajęciach przez profesorów, którzy nigdy w życiu nie wystawili ani jednej faktury.

Aneta była najlepszą studentką na roku. Nie dość, że ładna, to jeszcze mądra, inteligentna i zaradna. Wszyscy się dziwili, dlaczego jesteśmy razem. Piękna i bestia. Najlepsza studentka i wieczny obibok-kombinator, jak się wszystkim wydawało.

Kochałem ją bardzo, mogłem dla niej zrobić wszystko. Jak się okazało – prawie wszystko. Nie byłem w stanie poświęcić jej tyle czasu, ile wymagał tego dobry związek. Poza czasem miała wszystko, czego chciała. Bardzo szybko dostała czerwone mitsubishi. Przywiozłem je dla niej gdzieś z Frankfurtu nad Menem, tylko lekko uszkodzone. Znajomy wyklepał nam je i wyglądało jak nowe. Czerwona rakietka. Pięknie wyglądała w tym samochodzie.

Szybko zamieszkaliśmy razem. Chyba od razu po studiach, bo oboje nie chcieliśmy, by wracała do Elbląga. Nie wpadłem wtedy na pomysł, żeby od razu brać ślub. To było takie modne, by mieszkać bez ślubu, by się sprawdzić i tak dalej. Wolny związek. Oczywiście dawaliśmy sobie wolność do pewnego stopnia. Nasi rodzice nie byli zadowoleni, że chcemy żyć tak nowocześnie. Aneta została na uczelni i robiła doktorat. Zawsze nadawała się do pracy naukowej, pracowała na uniwersytecie na pół etatu. Miała pieniądze, miała czas, potrafiła to doskonale wykorzystać. Nasze dwupokojowe mieszkanie na Żabiance przypominało

wystrojem fotografie z najlepszych czasopism wnętrzarskich. Zamawiała rzeczy we Włoszech, Hiszpanii, czasem nawet sprowadzała z Afryki. Mieszkanie było zadbane. Podobnie jak ona. Zdaniem Marty przesadzała ze sztuczością. Chyba zaczęła czuć upływ czasu i bardzo starała się go zatrzymać. Ja tego nie dostrzegałem. Mówiła mi, co planuje, ale kompletnie mnie to nie interesowało, wychodziłem z założenia, że dla niej zrobię wszystko. Jeżeli miała ochotę poprawiać sobie moim zdaniem nieskazitelną urodę, dlaczego nie miała tego zrobić? Myślałem, że będzie dzięki temu szczęśliwsza.

Dużo wyjeżdżałem. Każdego tygodnia byłem w trasie. Wyjeżdżaliśmy we dwóch z Jarkiem, wracałem bardzo często sam zdezelowanym autem, które w życiu nie przeszłoby kontroli technicznej. Podróże z duszą na ramieniu. Laweta była w ostateczności. W Polsce auta remontowali nam znajomi mechanicy. Interes szedł znakomicie. Naprawdę zarobiliśmy spore pieniądze, jednak częste wyjazdy były bardzo męczące. Męczące dla nas i dla naszych bliskich.

Jarek ożenił się. Szybko poszło, bo Kaśka, jego dziewczyna jeszcze z liceum, zaszła w ciążę. Chciał więcej być w domu. On rozumiał pewne sprawy wcześniej niż ja. Może dlatego teraz jest szczęśliwym mężem i ojcem?

Zaczęliśmy się wspólnie zastanawiać, w co można by zainwestować, by ten nasz majątek, którego się dorobiliśmy, jeszcze bardziej pomnażać. Chyba tak już jest, że jeżeli komuś uda się jeden interes, nabiera śmiałości i mierzy jeszcze wyżej.

Znajomy mojego ojca wybierał się na emeryturę i zdecydował się sprzedać swoją firmę, która zajmowała się remontowaniem statków. Zatrudniała kilka osób i cieszyła się dobrą renomą w branży. Długo się nie zastanawialiśmy. Niemalże z dnia na dzień przestaliśmy zajmować się samochodami, a zaczęliśmy statkami. Ot tak, jak pstryknięcie palcami. Raz, dwa.

Znowu byłem pewien, że jestem panem sytuacji i w życiu będą zdarzały mi się tylko cudowne chwile. I zawodowe, i życiowe. Jarek miał żonę, dziecko, więc normalnym było, że ja przejmę większość obowiązków związanych z naszą firmą. Znowu trzeba było jeździć. Tym razem jeszcze dalej. Bogaci klienci byli wszędzie: Turcja, Hiszpania, włoskie wyspy. To spowodowało pierwsze kłótnie z Anetą.

– Bez przerwy cię nie ma! Siedzę wiecznie sama! Już wolałam, jak jeździłeś, bo gdy wracałeś, byłeś po prostu ze mną. A nie z tym cholernym laptopem na

kolanach i myślami gdzieś w przestworzach!

– Masz wszystko – zwracałem jej uwagę. – Cokolwiek chcesz, masz.

– Wszystko? Jak to wszystko? Nie mam ciebie! – powiedziała, a w zasadzie wykrzyczała.

– Przecież teraz jestem tuż obok! A ty marnujesz czas na jakieś idiotyczne kłótnie!

Nie rozumiałem jej wtedy. Miałem wszystko, o czym wcześniej marzyłem. Pracę, która przynosiła mi ogromną satysfakcję oraz całkiem spore pieniądze, wolność, której bardzo potrzebowałem, cudowne mieszkanie, w którym panował nieskazitelny porządek i piękną kobietę, która dbała o siebie, i zawsze piękna i gotowa czekała, by przyjąć mnie w swoje ramiona. Czyż można chcieć czegoś więcej?

Aneta chciała więcej. Chciała mnie, chciała wspólnego spędzania czasu, chciała podróży.

W pewnym okresie często zabierałem ją ze sobą, gdy wyjeżdżałem w sprawach zawodowych. Porzuciła pracę na uczelni, by w każdej chwili móc ze mną jeździć, jednak szybko zaczęło ją to nudzić. Bo cóż ciekawego jest w samotnym siedzeniu przy hotelowym basenie, podczas gdy narzeczony załatwia sprawy firmowe? Co ciekawego jest w samotnych wieczorach przed telewizorem spędzanych w nawet najpiękniejszym apartamencie, gdy partner oddaje się rozmowom towarzyskim przeplatany tymi w sprawach biznesowych w barze przy drinku?

Nie wprowadzałem Anety w firmowe sprawy, ale ona też kompletnie nie była tym zainteresowana. Najbardziej lubiła interesować się sobą. Nie winię jej za to. Było w tym sporo mojej winy.

Starłem się ratować sytuację. Zdecydowaliśmy się z Jarkiem zatrudnić więcej osób. Chyba właśnie wtedy poznałem Anię, która była u mnie na rozmowie kwalifikacyjnej. Skłamałbym, gdybym powiedział, że ją pamiętałem. Zupełnie jej nie kojarzę. Była jedną z wielu kobiet, w których pokładałem nadzieję, że pomogą mi ogarnąć firmowy rozgardiasz. W końcu zatrudniłem Ewę, koleżankę ze studiów. To był bardzo dobry wybór, jest ze mną po dziś dzień i pewnie bez niej byłoby mi

dużo trudniej poradzić sobie z wieloma rzeczami.

Wtedy też zaczęliśmy jeździć na wakacje. Aneta pilnowała, by dwa razy do roku zobaczyć jakieś egzotyczne miejsce, zrobić sobie kilka cudownych zdjęć w bikini i potem pochwalić się nimi koleżankom. Chyba właśnie wtedy pojechaliśmy do Afryki. To był nasz najdłuższy wspólny urlop. Nie miałem zasięgu telefonicznego, nie wziętem ze sobą laptopa, nie miałem kontaktu ze światem. Nasza miłość znowu wskoczyła na właściwe tory. Spontanicznie oświadczyłem się jej tuż przed wejściem na Kilimandżaro.

„Tuż u podnóża Wielkiej Góry powiedziałam TAK. To najszczęśliwszy dzień mojego życia! Kocie, Kocham cię! Aneta”.

„LOVE – Twój Kot”.

Zawsze nazywała mnie kotem. To było dziwne, bo twierdziła, że nie lubi żadnych zwierząt. Szczególnie kotów. Mnie też wkrótce po tym przestała lubić.

Długo byliśmy narzeczeństwem. Za długo. Nie zauważyłem momentu, w którym oddaliliśmy się od siebie. Nie zauważyłem momentu, w którym zaczęła spotykać się z kolegą ze studiów. Z naszym wspólnym kolegą. Niepozornym okularnikiem, który zawsze wydawał mi się nieudacznikiem życiowym. Na początku nawet nie pamiętałem, jak ma na imię. Nie przeszkadzało jej to jednak w byciu ze mną i planowaniu naszego ślubu. Nie przeszkadzało w wynajęciu najdroższej firmy w Gdańsku zajmującej się organizacją wesel. Nie żałowałem na nic pieniędzy. Miałem ich pod dostatkiem, więc dlaczego nie przeznaczyć ich na najpiękniejszy dzień mojego życia? Ponad stu gości w pięknym dworcu poza Gdańskiem, gołębice, kareta, cokolwiek sobie życzyła, wszystko było. Suknię też jej kupiłem. Poleciała po nią ze swoją mamą do Paryża. Nie widziałem jej, zgodnie z zasadą, że nie powinienem oglądać panny młodej w sukience przed ślubem, bo to zwiastuje nieszczęście. Nieszczęście wisiało w powietrzu, mimo, że nie widziałem sukni.

Pamiętam tamten dzień, jak przyszła do mnie do biura zapłakana. Nie mogła się uspokoić.

Nie wiedziałem, co się stało. Byłem w pracy, podpisywaliśmy umowę z tureckim kontrahentem. Ewa, moja sekretarka, próbowała się do mnie

dodzwonić. Wiedziałem, że zrobiłaby to tylko w szczególnym przypadku. Wyszedłem z sali konferencyjnej.

– Co się stało? – zapytałem zdenerwowany. Nie lubiłem, gdy ktoś przeszkadzał mi w takich sprawach.

– Aneta przyszła – powiedziała cicho.

– Przecież wie, że dzisiaj jestem zajęty! – W głowie mi się nie mieściło, że i Ewa, i Aneta mi przeszkadzają, kiedy w drugim pokoju podpisuję kilkuset tysięczny kontrakt.

Ewa pokręciła głową.

– Chyba coś się stało. Powinieneś tam iść. Usiadła w twoim gabinecie i płacze. Pewnie coś ważnego, wiesz, że w innym wypadku bym cię nie wołała.

– Idź do konferencyjnej i powiedz im, że zaraz wrócę – powiedziałem. – Zaproponuj może kawę czy ciastka.

Ewa pokiwała głową i weszła do moich gości. Ja skierowałem kroki do swojego gabinetu.

– No cześć, myszko, co się dzieje? – zapytałem od progu. Aneta siedziała na kanapie. Twarz ukryła w dłoniach.

Podszedłem do niej i przytuliłem ją. Miałem wrażenie, że nie ma na to ochoty. Zrobiła się sztywna.

– Co się dzieje? – ponowiłem pytanie. Nie miałem pojęcia, dlaczego płacze.
– Coś się wydarzyło?

Spojrzała na mnie. Tusz z jej rzęs spływał po policzkach ciemnymi smugami. Usta drżały. Wiedziałem, że chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wykrztusić z siebie ani jednego słowa.

– Mów – powiedziałem stanowczo. – Naprawdę muszę tam wrócić. To dla mnie bardzo ważne.

– OK – powiedziała. Wzięła głęboki oddech. – Tomek. – Zawahała się chwilę.
– Jestem w ciąży – powiedziała i znowu zaczęła płakać.

Zamarłem. Nie planowałem dzieci, przynajmniej nie teraz. Aneta chyba w ogóle nie chciała mieć dzieci, kiedyś nawet o tym rozmawialiśmy, ale czy to powód, by płakać? Są przecież dużo gorsze życiowe tragedie. Ta informacja też spadła na mnie jak grom z jasnego nieba, ale żeby się załamywać? Trzeba się cieszyć!

– Myszko! To nie jest powód do płaczu! – Przytuliłem ją i głaskałem po głowie jak dziecko.

Aneta szlochała coraz mocniej.

– Damy sobie ze wszystkim radę! To będzie najwspanialsze dziecko na świecie! – Wstałem i zacząłem iść w stronę drzwi.

Przez chwilę miałem wrażenie, że ma ochotę jeszcze coś powiedzieć, ale naprawdę spieszyłem się na spotkanie i nie dałem jej dojść do słowa.

– Kocie! – próbowała mnie zatrzymać. – Zostań jeszcze!

– Jedź do domu. Szybciej ich spławię i wrócę do ciebie. – Mrugnąłem okiem i wyszedłem z gabinetu. W głowie kręciło mi się od tych informacji. Nic dziwnego, przecież nie codziennie człowiek dowiaduje się, że zostanie ojcem. Miało prawo mnie zamrozić.

Gdy tylko przekroczyłem próg sali konferencyjnej, powiedziałem z uśmiechem:

– Panowie, bardzo przepraszam za tę nieprzewidzianą przerwę w naszym dzisiejszym spotkaniu. – Podeszedłem do barku i wyciągnąłem butelkę i kieliszki. – Myślałem, że tym szampanem będziemy dziś świętować podpisanie naszego kontraktu. Wierzę, że kontrakt podpiszemy, ale jest też inna okazja. – Uśmiechnąłem się. – Właśnie rozmawiałem z moją narzeczoną i okazało się, że

będę ojcem! – Popatrzyłem po zdumionych gościach. – Mam też nadzieję, że wybaczyście, iż nie będę wam towarzyszył przy kolacji. Jestem przekonany, że Ewa, moja asystentka, będzie równie dobrym kompanem.

Oczywiście nastąpiły toasty, nawet uściski i poklepywanie po ramieniu. Takie dni nie zdarzają się często. Podpisaliśmy wielki kontrakt. Mieliśmy zacząć remonty tuż po naszej podróży poślubnej. Chwilę potem wyciągali już swoje komórki, pokazywali swoje dzieci i rozmawialiśmy o zupełnie innych sprawach niż zawodowe. Posiedziałem z nimi jeszcze godzinę i wyszedłem. Poprosiłem Ewę, by mnie zastąpiła. Siedziała za swoim biurkiem z bardzo niewyraźną miną.

– Co się stało? – zapytałem.

W pewnym momencie pomyślałem, że jest zazdrosna o to, że Aneta zaszła w ciążę. Nigdy jednak nie zauważyłem, by łączyły nas inne sprawy niż zawodowe. Ewa miała męża, dwoje dzieci i wydawała się dużo bardziej szczęśliwa niż ja. Dopiero wieczorem dowiedziałem się, że wiedziała dużo więcej, niż myślałem.

– Ewa, ja lecę świętować. Czy wyjątkowo pójdziesz dzisiaj z nimi na kolację?

– Masz szczęście, dzisiaj dzieciaki odbiera moja mama, a Krzysiek wyjechał.

Miałem ochotę ją uściskać.

– Wracaj do domu. Chyba powinnam jutro odwołać wszystkie twoje spotkania – powiedziała cicho.

– Moja droga. Sama wiesz, że dzieci są rewolucją w życiu, ale bez przesady.

– Trzymaj się, Tomek. Jakby co, dzwoń.

Zatrzymałem się w połowie drogi do wyjścia.

– Czy coś się stało? – zapytałem. – Wiesz coś więcej niż ja? Coś złe z dzieckiem? Z Anetą?

– Z tego co wiem, to wszystko OK. – Uśmiechnęła się.

– No to nie ma się czym martwić. – Pomachałem jej. – Ciao, bella. Tylko

bądź grzeczna na tej kolacji, bo powiem Krzyśkowi.

Lubiłem jej męża. W ogóle wtedy miałem wrażenie, że kocham cały świat. Wybiegłem z pracy jak na skrzydłach, wsiadłem w samochód i pojechałem do domu.

Nie czekała na mnie ta sama Aneta co zwykle. Zazwyczaj stała w progu, uśmiechnięta, wyczekująca, gotowa, by mnie przytulić, napić się ze mną wina. Tym razem nie wyszła mi naprzeciw. Siedziała po ciemku, skulona na tapczanie w salonie. Jej włosy były w nieładzie, makijaż już zupełnie się rozmazał. Chyba nigdy jej takiej nie widziałem.

– Rozsypał mi się cały świat – powiedziała, patrząc w jakiś bliżej nieokreślony punkt, gdzieś bardzo daleko.

– Aneta? – Zdziwiłem się.

Wiedziałem, że nie planowała dziecka, ale żeby aż tak się zmartwić?

– Kochanie, poradzimy sobie przecież. Zawsze ze wszystkim sobie radziliśmy! – Próbowałem ją przytulić. Siedziała sztywna jak kołek.

– Ty nic nie rozumiesz – powiedziała.

Naprawdę nic nie rozumiałem.

– Nie – przyznałem jej rację.

– Tomek, to nie jest twoje dziecko!



Zbyt łagodny ojciec psuje dziecko, zbyt ufny mąż żonę

powiedzenie wietnamskie

Na początku nie rozumiałem nic z tego, co do mnie mówiła. Kompletnie nic. Przede mną siedziała osoba, do której miałem największe zaufanie i mówiła mi właśnie, że w jej życiu jest ktoś inny. Że jest w ciąży, ale z zupełnie innym mężczyzną.

– Nie rozumiem – wydukałem. – Nic z tego nie rozumiem. – Wstałem i zacząłem chodzić po pokoju w tę i we w tę.

– Próbowałam powiedzieć ci już w biurze. – Pokręciła głową. – Nie dałeś mi dojść do słowa.

Tak. To prawda. Przyjąłem, że będę szczęśliwym tatusiem, że stworzymy cudowną rodzinę. Zrobiłem z siebie idiotę. Przed kontrahentami, przed Ewą, przed całym biurem.

– Kto to?

– Nieważne.

– Masz mi powiedzieć, kto to.

– Tomek, czy ty mi wybaczysz?

– Wybaczyć? Czy ty zwariowałaś? – Spojrzałem na nią z odrazą. Nie mogłem znieść myśli, że w czasie, gdy mnie przy niej nie było, dotykały ją inne ręce, całowały inne usta.

– Popełniłam błąd.

– Oczywiście! I to cholerny błąd. – Usiadłem na krześle i ukryłem twarz w dłoniach. – Niewiarygodne. – Pokręciłem głową. Zrobiło mi się niedobrze.

Wstałem i nalałem sobie whisky.

– Tobie nie proponuję, przecież nie możesz pić – wycodziłem przez zęby.

Aneta nic nie powiedziała.

– Jak długo to trwa?

Cisza.

– Jak długo to trwa, do cholery?

– Nie chcesz wiedzieć.

– Miesiąc? Dwa? Jednorazowy wybryk, za który będziesz płacić całe życie?

– Trzy.

– Kurwa – zakląłem.

– Trzy lata.

Spojrzałem na nią. Wydawała mi się zupełnie obca.

– Trzy lata? Kiedy? Kiedy ty to robiłaś?

– Tomek, wciąż cię nie było w domu, ciągle siedziałam sama. Nie możesz tylko mnie winić!

– Wiesz co, ja już mam w dupie, kto jest winny. Ja tylko nie mogę zrozumieć, że ty przez trzy lata to ciągnęłaś. Zamierzałaś wziąć ze mną ślub? I dalej to ciągnąć?

Aneta siedziała w milczeniu.

– No powiedz coś w końcu! Chyba należy mi się chociaż trochę wyjaśnienia! Kim on jest?

– Nieważne.

– Nieważne? Nieważne kim on jest, a zdradzałaś mnie z nim? A może to jego zdradzałaś ze mną? Znam go?

– To Marcin.

– Jaki, do cholery, Marcin?

– Pietrzak.

Szukałem w moich wspomnieniach kogoś, kto się tak nazywał. Nagle udało mi się skojarzyć nazwisko z twarzą.

– Pietrzak? – zapytałem. – Ten goguś?

Oczywiście, że znałem Marcina Pietrzaka. Studiowałem razem z nim, był w grupie Anety. Człowiek, z którym przez lata na uczelni nie zamieniłem chyba ani jednego słowa. Pseudointelektualista, nabzdyczony, z miną wiecznie rozgoryczonego basseta.

– Nie jest wcale gogusiem.

– Popatrz, ten goguś wie nawet, jak się dzieci robi. A myślałem, że potrafi tylko czytać książki z odległości trzech centymetrów.

– Tomek. Przepraszam.

– Ty mnie przepraszasz? I czego oczekujesz? Że nagle wezmę cię w ramiona i powiem, że nie ma sprawy, mała, kocham miłosne trójkąciki? Mam ochotę ci powiedzieć, żebyś wypieprzała stąd natychmiast. Jednak z szacunku do ciebie pozwolę ci się spakować i wyprowadzić do jutra. Potem zmieniam zamki i nie chcę cię tu więcej widzieć.

– Tomek, mieszkałam tu trzy lata!

– Trzy lata to ty uprawiałaś seks z tym fagasem, oszukując mnie na każdym kroku. Ile razy to robiliście w naszej sypialni? Dziesięć? Pięćdziesiąt? Ale ja durny byłem, że też się nie zorientowałem!

– Jeszcze możemy to naprawić...

– Naprawić? Czy ty naprawdę myślisz, że możemy być razem po tym wszystkim?

Miałem ochotę ją uderzyć. Nigdy nie uderzyłem kobiety, nie było to w moim stylu.

Tego wieczoru dowiedziałem się jeszcze, że on nic dla niej nie znaczył, że liczę się tylko ja i że nie zmieniła zdania co do ślubu ze mną. Gdy zauważyła, że to na mnie nie działa, zaczęła płakać nad swoim losem i obwinać mnie o to, że wiecznie była samotna w związku i prędzej czy później znalazłby się ktoś, kto wypełniłby pustkę. Na koniec zaczęła jeszcze głośniej płakać, że nie poradzą sobie z jednej pensji. Marcin pracował na uczelni. Zajął to miejsce, z którego ona zrezygnowała. Nie byłem w stanie jej słuchać. Gdzie się podziała ta kobieta, którą kochałem? Wypiłem kolejną i kolejną szklankę whisky, założyłem kurtkę i wyszedłem z domu.

– Dobry wieczór – powiedział mi sąsiad, który akurat wyprowadzał psa na spacer. Na nieszczęście basseta.

– Nie jest dobry – odpowiedziałem. – To jest, kurwa, najgorszy wieczór mojego życia.

Starszy pan otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

Kopnąłem kamień i poszedłem dalej. Nie miałem pojęcia, gdzie podziać się tej nocy. Do rodziców nie wypadało iść, Jarek akurat wyjechał do Hiszpanii nagrywać kolejną robotę, po knajpach nigdy w życiu sam nie chodziłem. Zawsze rezerwowałem miejsca w eleganckich lokalach, do których zapraszałem bogatych facetów w garniturach, by prowadzić mniej lub bardziej tajne rozmowy o biznesie.

Do cholery, gdzie się napić w tych czasach?

Zauważyłem nocny sklep.

– Whisky poproszę – powiedziałem. – Dwa razy.

Ekspedientka chyba nie była przyzwyczajona, że w środku nocy ktoś prosi

o whisky. Częściej kupowano wódkę lub tanie wino.

Gdy wychodziłem, zaczepił mnie jakiś obdarty mężczyzna. Wyciągnął rękę po pieniądze. Oddałem mu jedną butelkę whisky.

– Będę pić pana zdrowie – usłyszałem.

Na pewno. Przyda się.

Usiadłem na ławce pod jakimś drzewem, otworzyłem butelkę i napiłem się. Nigdy jeszcze nie piłem w ten sposób whisky. Jeszcze kilka godzin temu rozlewałem szampana do eleganckich kieliszków, myśląc, że świętuję życiowy sukces. Powinienem już wtedy opijać porażkę.

Zadzwonił telefon. Ewa.

Nie odebrałem. Była cierpliwa. W końcu z trudem nacisnąłem zieloną słuchawkę na wyświetlaczu mojego telefonu.

– Gdzie jesteś? – zapytała.

– W czarnej dupie.

– Domyślam się.

– Wiedziałaś?

– Powiedziała mi w biurze.

– Mogłaś mi przekazać, bym nie wyskoczył z tym cholernym szampanem.

– Dowiedziałam się już po tym, jak wypiliście tego cholernego szampana.

– Smakował jak nigdy.

– Gdzie jesteś?

– Mówiłem ci już. W dupie. Zostawiłem ją w domu, by się spakowała, i wyszedłem.

– Słyszę, że nie jesteś do końca trzeźwy?

Nic nie odpowiedziałem.

– Jadę do ciebie.

– Do czarnej dupy trzeba mieć specjalny bilet wstępu. Ty go nie masz.

– Nie pieprz głupot, Tomek. Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jesteś?

– Na ławce.

– Czy mam cię szukać na wszystkich ławkach w całym mieście?

– Daj spokój.

Nie chciałem, by mnie znalazła. Nie jestem dzieciakiem, by moja asystentka i koleżanka ze studiów szukała mnie po nocy i zabierała do domu niczym niesfornego gówniarza. Na szczęście moja komórka służbowa miała lokalizację. Ewa mogła sprawdzić, gdzie mniej więcej w danej chwili się znajduję. Najwyraźniej znalazła, bo opowiadała mi, że spałem na ławce z niemalże opróżnioną butelką w rękach. Zupełnie nie pamiętam, kiedy zasnąłem. Jedyne, co kojarzę, to potworny ból głowy, gdy obudziłem się w mieszkaniu Marty, mojej siostry, następnego dnia.

– Zabalowałeś, szwagier? – zapytał mnie jej mąż, podając wodę z jakąś musującą tabletką w środku.

– To za dużo powiedziane. – Pokręciłem głową. – To zdecydowanie nie był bal. Prędzej stypa. – Wzruszyłem ramionami. – Gdzie Marta?

– Jeszcze śpi. Dopiero ósma. Nie chciałem jej budzić w nocy. Ewka przywiozła cię kompletnie zalanego, więc po co mieliśmy ją denerwować.

– Jasne. Sorry. Ja nic nie pamiętam. Ale wiesz, chwilowo wolałem się nie pokazywać w domu.

– Ewa mi powiedziała. W skrócie.

– No.

– Nie musisz gadać. I tak wiem, że jak Marta wstanie, będziesz musiał przez to wszystko przechodzić. Oszczędzę ci tego trochę. Idź się ogarnij, chłopie, bo będzie przerażona.

Faktycznie, moja siostra nigdy jeszcze nie widziała mnie w takim stanie. Jasne, balowaliśmy razem i piliśmy alkohol, ale nigdy nie widziała, jak piję ze smutku. To ja zawsze byłem oazą spokoju i rozwagi dla mojej młodszej siostry, a ona mogła znaleźć we mnie oparcie. Teraz los chciał, bym to ja szukał go u niej.

Gdy wstała, opowiedziałem jej wszystko ze szczegółami. Zrobiłem to najdelikatniej, jak tylko umiałem. Sama była w zaawansowanej ciąży, dlatego nie chciałem jej stresować moimi sprawami.

Patrzyła przerażona.

– Lepiej teraz niż po ślubie – powiedziała w końcu. – Potem byłoby więcej problemów.

– Nie zmartwiłaś się za bardzo.

– Nie podobała mi się. – Pokręciła głową. – W dzieciństwie nie lubiłam się bawić lalkami Barbie. A ona była taka zimna i z każdym rokiem coraz bardziej plastikowa. Jak Barbie. – Umilkła na chwilę, widząc mój wzrok. – Sorry. To jeszcze za wcześnie, by mówić takie rzeczy – dodała.

– Jeszcze się nie przyzwyczaiłem – powiedziałem. – Krzysiek, jedziesz do roboty? Podwiesz mnie do domu? Muszę wziąć kilka rzeczy, zanim zjawię się w pracy.

– Ewa mówiła, że wszystkie spotkania masz dziś odwołane.

– Kocham ją – mruknąłem.

– Ona ciebie też.

– Zawieź mnie do domu. Nie wiem, czy będę miał siłę wracać do roboty.

Krzysiek podwiózł mnie do mojego mieszkania. Miałem nadzieję, że nie zastanę tam już Anety. Myliłem się. Nie dość, że zastałem ją, to jeszcze na moim tapczanie siedział ten goguś.

– Wypierdalaj – powiedziałem.

– Ale... Ale przecież możemy porozmawiać.

– Właśnie z tobą rozmawiam. Na razie bardzo grzecznie. Wypierdalaj z mojego domu.

Próbował mi chyba coś tłumaczyć, ale ja naprawdę nie miałem ochoty go słuchać. Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy go uderzyłem. Waliłem na oślep. Aneta krzyczała, a goguś wycofywał się w kierunku drzwi wyjściowych. Poprawiał sobie tylko okulary. Przez mgłę pamiętałem, że gdy biłem się z kolegami, najpierw zdejmowali okulary. Zupełnie nie wiem dlaczego, ale zachciało mi się śmiać. Najpierw ze schodów zrzuciłem jego okularki, a w ślad za nimi poleciał on.

Odczuwałem wielką satysfakcję. Zrobiłem to, co powinienem. Byłem tego pewien. Nie zważając na konsekwencje.

Okularki zupełnie się roztrzaskały. Goguś, spadając ze schodów, niestety tylko złamał sobie rękę. A może to ja mu ją wcześniej połamałem? Nieważne. Szkoda że nie mogłem złamać mu czego innego. Gdybym po raz kolejny miał okazję się z nim spotkać, pobiłbym go chyba jeszcze mocniej, niezależnie od tego, co mecenas Góra pisałby mi potem w swoich faksach.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że dokładnie to samo miałem ochotę zrobić z Anetą. Oczywiście powstrzymywały mnie resztki przyzwoitości. Bolało mnie wszystko, gdy pomyślałem, że wybrała jego, a nie mnie.

Wróciłem do domu. Aneta siedziała roztrzęsiona. Marta miała rację. Faktycznie przypominała lalkę Barbie. Że też tak późno to zauważyłem.

– I co teraz? – zapytała.

– Nie pobiegiesz za nim?

– Tomek...

Wstałem i poszedłem do łazienki. Czułem, że puchnie mi warga. Widocznie temu gogusiowi dziwnym trafem udało się mi przyłożyć. Umyłem twarz i ręce. Dłonie też mnie bolały. Pamiętam, jak kiedyś Jarek został pobity. Zamiast się martwić, pokazał mi posiniaczone dłonie.

– Też mu mocno przywaliłem.

Po moich dłoniach również było widać, że stoczyłem bitwę. Spojrzałem na faceta w lustrze. Jeszcze kilka dni temu patrzyłem na siebie w zupełnie inny sposób. Gdy wróciłem do pokoju, Aneta wciąż siedziała na kanapie w takiej samej pozycji, w jakiej ją zostawiłem.

– Nie biegniesz za ojcem swojego dziecka? – powtórzyłem pytanie. – Może ci się jeszcze w życiu przydać.

Aneta pokręciła głową.

– Tomek, powiedz mi, co ja mam robić?

– No jak to co? Pakować się. Dzisiaj się wyprowadzasz.

– Wyrzucasz mnie? – powiedziała dramatycznie.

– Nie, sama wychodzisz. Nie będę ciebie wyrzucał. Już jednego wyrzuciłem. I to dosłownie!

– Tomek...

– Mogę ci nawet pomóc się pakować. Będę tak miły. – Wstałem i sięgnąłem do szafy po walizkę. Przez chwilę wróciły wspomnienia. Ta walizka była z nami nad Niagarą i w kilku innych miejscach. Mieliśmy jeszcze inne, takie pasujące do tanich linii lotniczych, ale ta była największa.

– Najpotrzebniejsze rzeczy zmieścisz, resztę możesz odebrać później. Albo mogę ci wysłać. Zamki zmieniam jutro.

– Tomek...

– Jednak wyślę. Bo obawiam się, że twój facet ci nie pomoże. Kiedy widziałem...

Otworzyłem szufladę z jej bielizną. Wysypałem całą zawartość do walizki. Z każdą z tych rzeczy wiązały się wspomnienia, dlatego chciałem się ich pozbyć jak najszybciej. Przez chwilę, trzymając czarne koronkowe majtki, zastanawiałem się, czy właśnie te miała na sobie, gdy była z tym gogusiem.

– Tomek...

– Dobra, część spakowałem.

Wziąłem drugą torbę z szafy i wrzuciłem całą zawartość z jej półki z kosmetykami. Nie patrzyłem, co wrzucam, nie dbałem o to, czy to perfumy, czy źle zamknięte kremy. Zgarnąłem z wieszaka jej różowy szlafrok i wrzuciłem na wierzch torby. Przez chwilę pomyślałem, że sama sobie nie poradzi z tymi torbami. Będę musiał jej pomóc.

Idiota. Nie mam zamiaru w niczym jej pomagać. Wystawiłem torbę za drzwi. W ślad za nią poszła walizka z większą częścią ubrań wyjętych z szafy.

– Gdzie ja mam teraz iść? – zapytała.

– Trzeba było o tym wcześniej pomyśleć.

Zupełnie nie rozumiałem, czego ode mnie chce. Ma dziecko z innym facetem i próbuje grać na moich emocjach?

– Samochód możesz sobie zatrzymać. Proszę bardzo – powiedziałem, podając jej kluczyki leżące na stole.

Wziąłem walizkę i torbę, i zniosłem do samochodu. Szła za mną ze spuszczoną głową. Nawet nie patrzyłem, jak odjeżdżała. Wróciłem do domu. Chyba po raz pierwszy miałem spać tutaj sam. Po raz pierwszy w tym dużym łóżku, w tej kolorowej pościeli, która tak bardzo jej się podobała. Oczywiście od razu przemknęła mi przez głowę myśl, że on pewnie też był z tej pościeli zadowolony.

Wziąłem prysznic, przebrałem się i pojechałem do pracy. Przecież nie będę siedział sam i rozpamiętywał w kółko tego, co się stało. *Show must go on*. Niestety. Życie toczy się dalej, mimo tego, co cię w nim spotyka. Ten cholerny pojazd zwany rzeczywistością rozpędził się i ma zamiar zatrzymać się dopiero w momencie twojej śmierci.

– Możesz załatwić ślusarza? Albo kogoś, kto mi powymienia zamki? – zapytałem, gdy wszedłem do biura.

– Daj klucze.

Wyciągnąłem je z kieszeni i podałem Ewie.

– Wszystko mi odwołałaś?

– Myślałam, że nie przyjdiesz.

– Ot, niespodzianka. Karawana idzie dalej. Teraz praca jest moją ukochaną. Wyznaję zasadę, że ukochanej się nie zaniedbuje. – Zamknąłem za sobą drzwi.

Po chwili Ewa weszła do gabinetu i przyniosła kawę.

– Gdybyś czegoś potrzebował, to... wiesz...

– Wiem, Ewa, wiem. Już mi pomogłaś, jak mnie pijanego zawlokłaś do Marty. Niewiele wprawdzie z tego pamiętam, ale bardzo ci dziękuję.

– Facet przyjedzie do ciebie po szesnastej. Bądź w domu. Lepiej, żebyś to ty mu drzwi otworzył, a nie ona.

– Spokojnie, pozbyłem się kłopotu.

Tak mi się wydawało. Że pozbyłem się kłopotu. Tak naprawdę moje problemy zaczęły się dopiero teraz, a w zasadzie w momencie, gdy zepchnąłem gogusia ze schodów.

Goguś poszedł na obdukcję na pogotowie. Wydaje mi się, że zwałił na mnie całe zło tego świata. Nie zdziwiłbym się, gdyby się ze trzy razy przewrócił, wpadł pod dwa samochody i przypisał to wszystko temu, że nie umiał fruwać, a ja bardzo chciałem sprawdzić, czy potrafi. Niestety, złożył również zawiadomienie na policji. Uszkodzenie ciała. Oczywiście powołano biegłego i jedyne go świadka, Anetę. Przedstawiono mi zarzuty. Oczywiście się z nimi zgodziłem i poddałem dobrowolnie karze. Dostałem dwa lata w zawieszeniu, ale Anecie i jej gachowi to było mało. Zgłosili sprzeciw i znowu zaczęło się od nowa. Wynająłem prawnika. Mecenas Sławomir Góra załatwiał wszystko, ja nawet nie musiałem się zbytnio interesować tematem. Współpracowałem z nim kilka razy przy różnych firmowych sprawach, ale szala przeważała na jego korzyść w momencie, gdy wszystkowiedząca Ewa powiedziała mi, że niedawno nakrył żonę – już była – w łóżku z kochankiem. Wiedziałem, że lepszego obrońcy nie mogłem sobie wymarzyć, bo przyznał mi w pierwszej rozmowie na ten temat, że żałuje, iż sam nie zrobił dokładnie tego samego, gdy miał ku temu okazję.

W tej sytuacji normalnym jest to, że nie miałem ochoty zajmować się moją podróżą poślubną. Niedośzłą podróżą poślubną. Gdy Ewa, jedyna przytomna osoba w tym całym bałaganie, zaczęła dzwonić w sprawie odwołania lotu, hoteli i innych atrakcji, okazało się, że niestety jest już za późno.

– I co teraz zrobisz? – zapytała.

– Pojadę sam. Zawsze chciałem pojechać do Wietnamu. – Wzruszyłem ramionami.

– Może kogoś weźmiesz? Dla towarzystwa?

– Jasne. Jedziesz ze mną?

Ewa się roześmiała.

– Nie gustuję w blondynach. – Uśmiechnęła się. – Wolę tysięcych panów z lekką nadwagą.

– Gdyby Marta nie była w ciąży, pojechałbym z nią. A tak... – zamyśliłem się.

Czułem, że przyda mi się samotna daleka wyprawa. By przemyśleć wszystkie sprawy, by pozamykać w mojej głowie te rzeczy, których nie potrafiłem zamknąć w Polsce.

Tak właśnie znalazłem się na lotnisku w Paryżu. Tak spotkałem Anię z popsutą czerwoną walizką.



Raz zobaczyć to więcej niż sto razy słyszeć

powiedzenie wietnamskie

Gdy spotkałem ją ponownie w Wietnamie, byłem tak samo zaskoczony jak ona. Lubiłem robić to, czego zwykle turyści nie robią. Dlatego gdy fryzjer przy drodze zaczął zachęcać mnie do skorzystania ze swoich usług, nie namyślałem się zbyt długo. Od razu się zgodziłem. A potem zobaczyłem ją na ulicy. Nie mogła przejść na drugą stronę. Wziąłem ją za rękę i przeprowadziłem.

Nie mogłem uwierzyć w taki zbieg okoliczności.

Gdy zaproponowałem jej wspólny wyjazd nad zatokę Ha Long, natychmiast tego pożałowałem. Ale było już za późno. Nie wypadało się wycofywać. Byłem zaskoczony, że się zdecydowała, ale tak daleko od domu każdy rodak wydaje się być bratem.

Cieszyłem się, że mam towarzystwo. Mój kierowca prawie w ogóle nie mówił po angielsku. Pewnie gdybym wiedział, że to będzie samotna wyprawa, nie miałbym kierowcy, nie miałbym walizki, tylko z plecakiem przemierzałbym Wietnam wzdłuż i wszerz, ale nie wiedziałem tego. Fajnie było siedzieć z Anią na tylnym siedzeniu samochodu i zza szyby robić zdjęcia przejeżdżającym skuterom, zastanawiając się, co tym razem będą przewozić. Widzieliśmy, jak wozili wielką szybę, pół świniaka i kilka zgrzewek wody mineralnej. Na jednym skuterze jeździły całe czteroosobowe rodziny. Egzotyka.

Nie planowałem się z nią kochać. Gdybym ją spotkał w innych okolicznościach, na pewno próbowałbym ją poderwać, ale po tym, jak Aneta mnie zostawiła, wyszalałem się już nieco i nie miałem ochoty na przypadkowy seks. Taka

mi się na początku wydawała Ania – przypadkowa. Jej zadaniem było po prostu umilić mi czas w tym pięknym kraju. Ja miałem pieniądze, ona była miła. Bardzo instrumentalne traktowanie. Cóż. Po prostu tak myślałem.

Dopiero gdy zobaczyłem, jak śpi, pomyślałem, że chciałbym częściej to widywać. Od razu znienawidziłem się za ten pomysł. A gdy wyszła z łazienki, cała wilgotna, owinięta tylko ręcznikiem, przepadłem. Miałem ochotę zedrzyć z niej ten ręcznik i poprosić, by została ze mną jakiś czas. Nie „na zawsze”. Bo ostatnie wydarzenia spowodowały, że zupełnie przestałem wierzyć w te słowa.

Pęty kupiłem na targu przed wejściem na statek. Chciałem, by niezależnie od wszystkiego miała po mnie pamiątkę. Wiedziałem, że pęty to łzy. Ale kto powiedział, że łzy mogą być tylko z rozpacz?

Długo rozmawialiśmy. Miałem wrażenie, że znamy się całe życie. Jak się okazało, nasze ścieżki przecinały się wielokrotnie. Jakby los chciał, byśmy spotkali się dużo wcześniej. Nigdy nie wierzyłem w takie bzdury, ale Marta przez tyle lat opowiadała mi o przeznaczeniu i takich tam, że chcąc nie chcąc o tym pomyślałem.

Najpierw rozmowa o pracę, potem goniła mnie w Afryce, a teraz spotkaliśmy się tutaj. I to dwukrotnie. Może to szansa od losu? Ile razy będzie nam jeszcze dawał sygnały? Nie spodziewałem się, że wylądujemy w łóżku. Tak wyszło. To nie był tylko seks, czułem, że zaczyna się robić dla mnie ważna. Nie rozumiałem tego uczucia – jak ktoś, kogo znasz zaledwie kilka dni, może się stać dla ciebie kimś ważniejszym niż tysiące innych ludzi? Zawsze z Anetą mówiliśmy sobie, że nasza miłość jest trwała, bo wywodzi się z przyjaźni. Nim zaczęliśmy być parą, znaliśmy się chyba dwa czy trzy lata. Byliśmy pewni, że naszego związku nic nie zniszczy. A tutaj? Znałem Anię dwa dni. Widziałem, jak spada jej ramięczko od koszulki. Widziałem, jak śpi, jak się uśmiecha i jak patrzy ze współczuciem, słuchając mojej historii. Nie znałem jej losów, ale miałem nadzieję, że będziemy mieli wiele okazji, by opowiedzieć sobie całe swoje życie. Z najtrudniejszymi szczegółami. Tak, by zacząć budować zupełnie od początku.

Chyba się zakochałem.

Chciałem wracać razem z nią do Polski, nawet próbowałem zmienić rezerwację, ale niestety wszystkie miejsca w samolocie były zajęte. Odprowadziłem ją na lotnisko. Wydawała mi się smutna, nieswoja, ale ja też

byłem smutny... A potem pokazała mi ten cholerny faks. Nie było tam nic, czego mogłem się wstydzić, ale oczywiście faks od mecenasa ze słowem „wyrok” oraz informacją, że nie jest dobrze, mógł ją przestraszyć. Uciekła ode mnie jak Kopciuszek, nie zostawiając żadnego śladu, a ja nie miałem cholernego pantofelka, który mógłbym przymierzyć wszystkim pannom w Polsce.

Łudziłem się, że zadzwoni. Miała mój telefon. Nawet zrobiła zdjęcie dowodu, więc bardzo łatwo mogła mnie zlokalizować, gdyby tylko chciała.

Boże, gdyby tylko chciała!

Nie udało mi się reanimować telefonu w Wietnamie. Zrobiłem to zaraz po tym, jak wróciłem do Polski. Nie zważyłem na zmęczenie po kilkunastu godzinach podróży. Kupiłem nowy telefon, włożyłem kartę ze swoim starym numerem i czekałem z niecierpliwością na jakiś znak od niej. Choćby SMS.

SMS-ów przyszło wiele. Niestety żaden nie był tym wyczekany.

– Czy wszystkie wysłane do mnie wiadomości dotrą? Nawet jeśli miałem wyłączony telefon?

– Dotrą – powiedziała dziewczyna siedząca w biurze operatora mojej sieci. – O ile zostały wysłane.

– Mam nadzieję – powiedziałem. – Mam nadzieję, że zostały wysłane.

Potem od razu poszedłem do Marty. Na szczęście wyszła już ze szpitala i czekała na mnie w domu. Dla niej też miałem perły, kilka apaszek i jedwabną sukienkę.

– Tylko kiedy ja się w nią zmieszczę! – Roześmiała się, przytulając się do mnie.

– Na pewno już niedługo! Dla małej mam taką samą. – Wyciągnąłem mniejszy pakunek z torby.

Marta pokręciła głową.

– Teraz mi powiedz, co z mecenasem Górą.

Przypomniałem sobie faks.

Opowiedziałem jej o Ani i o tym, jak wyjechała, nie zostawiając mi nawet numeru telefonu.

– Ale ja nie o to pytałam. Pytałam o twoje sprawy.

– Martuś, to są moje sprawy! A wyrok, cóż. Pozostały dwa lata w zawieszeniu. Dwa lata szybko miną... Mam nadzieję, że ją znajdę. – Szybko wróciłem do najważniejszego dla mnie problemu.

– A Facebook?

– Nie używam.

– To zacznij. Może ją namierzysz. Co o niej wiesz?

– Niewiele. Ania. Studiowała zarządzanie. A potem już nic nie wiem.

– To ja się zaczynam zastanawiać, co wy robiliście tam w tym Wietnamie przez tyle czasu, jak nawet nie wiesz, jak ma na nazwisko. – Marta mrugnęła okiem.

– Widzę, że bawisz się doskonale – powiedziałem naburmuszony.

– Tomek, w dwudziestym pierwszym wieku każdego da się znaleźć w kilka sekund. Nie ma rzeczy niemożliwych.

Marta była jednak niepoprawną optymistką. Nie było to wcale takie łatwe. Ania zapadła się jak kamień w wodę. Zniknęła. Zniknęła z mojego życia tak samo nagle, jak się pojawiła.

Czekałem tydzień na jakikolwiek kontakt z jej strony. Wszędzie chodziłem z telefonem, nawet do toalety, na wypadek gdyby zadzwoniła. Kiedy miałem ważne spotkanie, kazałem Ewie się z nim nie rozstawać. W końcu nie wytrzymałem.

– Ewa, czy ty masz Facebooka? – zapytałem.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Mam, ale w pracy takie strony są poblokowane.

– Poblokowane? Do cholery, dlaczego poblokowane?

– Bo kiedyś wydałeś takie zalecenie.

– Ja?

– No wtedy, jak dostałeś raporty, co robią w pracy twoi pracownicy.

– Jezu, zapomniałem. A ja mam też poblokowane?

– Tego to nie wiem. – Uśmiechnęła się. – A co, tak nagle zamarzyłeś o udzielaniu się w mediach społecznościowych? Uwierzyłeś w końcu, że kogo nie ma na Facebooku, to nie istnieje? – Roześmiała się.

– Właśnie. Szukam kogoś.

– To do dzieła.

Wieczorem zalogowałem się po raz pierwszy. Szybko zacząłem orientować się, o co chodzi. Dodałem do znajomych Martę, Ewę. Obejrzałem dzieci znajomych. Zacząłem szukać Ani. Bezskutecznie. Odnalezienie jej po samym imieniu było niewykonalne.

Marta widziała, że nie jestem sobą. Nie chciałem zawracać jej głowy swoimi

problemami, bo lada dzień miała rodzić i każdy telefon od niej wywoływał u mnie przyspieszone bicie serca. Byłem gotów zawieźć ją do szpitala, gdyby tylko jej mąż nie mógł. Nawet chciałem sterczeć pod tym szpitalem, wyczekując, aż urodzi mi się siostrzenica.

Przyszła na świat zupełnie niespodziewanie. Pewnego dnia nad ranem dostałem MMS-a ze zdjęciem różowego pomarszczonego bobasa. Po chwili zadzwoniła Marta.

– Nie chciałam cię niepokoić, panikarzu.

– Jak było?

– Na początku ciężko, ale pocięli mnie w końcu. Cesarka.

– Ale wszystko okej?

– Dziesięć na dziesięć w skali Apgar.

– Więcej mi mówi skala Beauforta, ale dziesięć na dziesięć brzmi dobrze. Odpoczywaj, kochana. Potrzebujesz czegoś?

– Nie, wszystko mam.

– Przyjdę dziś do ciebie.

– Nie przychodź, będę spała. Pojutrze nas wypuszczą, to się zobaczymy.

Mój świat przez kilka tygodni krążył wokół pieluszek, kupek i innych atrakcji związanych z niemowlakami, ale przepadłem zupełnie. Nawet raz sam poszedłem z Julką na spacer, oczywiście po drodze kilka razy dostając palpacji serca na jakikolwiek dźwięk wydobywający się z wózka. Chciałem jednak, by Marta sobie trochę odpoczęła. Wyglądała na zmęczoną.

– Chyba potrzebujesz pomocy.

– Krzysiek mi pomaga. A przynajmniej pomagał, teraz musi brać trochę więcej dyżurów, bo zaczął się sezon urlopowy.

– Może potrzebujesz niani? – zapytał.

– Nie, dam sobie radę. – Pokręciła głową. – Ale wiesz, potrzebuję, by świat zauważył we mnie jeszcze kiedyś kogoś więcej niż matkę karmiącą. Mam wrażenie, że teraz jestem jedną wielką maszyną produkującą mleko. A gdzie się podział mój mózg? Chyba zanikł.

– Tak, czytałem ostatnio takie badania, że kobiecie podczas ciąży mózg zanika – powiedziałem poważnie.

– Foch! – Marta przytomnie trzepnęła mnie w ramię.

– Mogłabyś mi się do czegoś przydać?

– Tak? – zainteresowała się.

– Udostępnię ci katalog. Z wszystkimi CV, jakie do nas napłynęły na początku naszej działalności. Poszukasz mi kogoś.

– Dalej próbujesz ją znaleźć?

Pokiwałem głową.

– Bezskutecznie.

– To dlatego ten Facebook i wzmożona aktywność w Internecie?

– Też. Całkiem mnie to wciągnęło.

– Poszukam jej. Jak się nazywa?

– Ania.

– Ania jak?

– Ania Nie-Wiem-Jak.

– Będę szukać, jak Julka pójdzie spać. Dużo tego jest?

– Dużo.

Po kilku dniach Marta wciąż nie znalazła mi właściwej Ani.

– Ale przecież mogła przefarbować włosy!

– Mogła. Ale ta moja nie studiowała fizyki!

– Jesteś pewien?

– Jestem!

– Szukam dalej.

Marta wyraźnie odżyła. Naprawdę lepiej się czuła, gdy świat zauważał, że może mu się jeszcze na coś przydać oprócz celu reprodukcyjnego, który zresztą zrealizowała na piątkę.

Wróciła moja dawna siostra. Poznałem to w chwili, gdy pewnego dnia odpaliłem swojego Facebooka i zobaczyłem tam same zdjęcia Julki. Na fotografii w tle widniały jej małe stopy, a na zdjęciu profilowym pchałem wózek.

– Marta, czy ty coś grzebałaś w moim Facebooku? – zapytałem.

– Oczywiście! Ale, mój drogi, zawsze mogło być gorzej. – Roześmiała się. – Pamiętaj, żeby zawsze się wylogowywać. A co, nie podobają ci się nóżki Julki?

– Bardzo mi się podobają – powiedziałem. – I dlatego nie mam zamiaru nic z tym robić! Niech sobie będą.

Gdybym wiedział, jakie konsekwencje może wywołać to zdjęcie na Facebooku, od razu bym je usunął. Nie wiedziałem. Czasem jedno zdjęcie może być powodem wielkich nieporozumień. Fakt, że na zdjęciu obejmujesz kobietę,

którą kochasz nieziemsko. I że ta kobieta nie ma nawet roku. Takie zdjęcie też może wywołać kłopoty.

Wtedy jednak uznałem, że zdjęcia Julki na moim profilu nie przeszkadzają mi kompletnie w niczym i nie zastąpiłem ich innymi.

Nie ustawałem w poszukiwaniach. Marta również. Przepatrzyłem już większość Anek, które złożyły do mnie swoje CV. A może to były czasy, gdy papiery wysyłało się listem? Czy Ewa prowadziła jakieś archiwum? Wątpię.

– Ewa, czy ty trzymasz listy motywacyjne, jakie do nas przyszły?

– No te, którymi byłeś zainteresowany, tak. Nigdy nie wiadomo, co może się przydać.

– Kocham cię.

– Wiem.

– Potrzebne mi takie sprzed dziesięciu lat. Albo i dawniej. Wtedy, gdy szukaliśmy asystentki.

– Zwariowałeś.

– Nie. Gdzie je masz?

– Tomek, dawno wylądowały jako podpałka u mnie w kominku. Wiesz, ochrona danych osobowych i te sprawy.

– Nie kocham cię jednak. – Jęknąłem.

– A na dysku nie ma?

– Nie ma. Musiało przyjść pocztą – powiedziałem zmartwiony.

– A możesz mi powiedzieć, po co ci czyjś list motywacyjny sprzed dziesięciu

lat? Bo myślałam, że jestem w stanie sobie wiele wyobrazić, ale tego jakoś nie mogę.

– Muszę kogoś odnaleźć. – Opowiedziałem jej wszystko w wielkim skrócie.

– Wiesz co? – powiedziała, gdy skończyłem. – Ty to nie możesz mieć prostego życia. Jak nie romans narzeczonej i ciąży, to pobicie, jak nie pobicie, to wietnamska miłość. Zaczynam żałować, że u mnie jest tak nudno.

– A ja żałuję, że u mnie nie jest – mruknąłem.

– Wiesz co, powinienesz przestać o niej myśleć chociaż przez chwilę.

– Jasne.

– Przyszło zaproszenie na imprezę – powiedziała. – W zeszłym roku ci się podobała.

– Ta nad Motławą?

– Tak. Powinienesz pójść. Jarek z żoną się wybierają.

– No właśnie. Z żoną.

– Nie przesadzaj. Weź Martę.

– Martę? – zapytałem. – Ale ona w życiu nie zostawi Julki.

– No, trochę będziesz musiał nakombinować, ale jestem przekonana, że ona marzy o tym, by chociaż przez chwilę pobyc wśród dorosłych. I tylko dorosłych.

Patrzyłem na Ewę z powątpiewaniem. Nie wierzyłem, że zakochana w córeczce siostra zostawi ją na cały wieczór po to, by leniwie sączyć napój bezalkoholowy i oglądać śmietankę towarzyską Trójmiasta.

Zdziwiłem się. Jeszcze tego samego dnia zapytałem mamę, czy nie

zaopiekowała by się Julką chociaż przez kilka godzin. Oczywiście zgodziła się od razu. Z Krzyśkiem, mężem Marty, też wszystko uzgodniłem. Siostra nie miała wyjścia.

To była fajna coroczna impreza, odbywająca się na Długim Pobrzeżu. Fajne jedzenie, eleganckie sukienki, pokaz mody i koncert. Zupełnie coś innego niż siedzenie w dresach przy dziecku. Ewa miała rację. Marta najpierw niepewnie się wzbraniała, ale w końcu z mamą i Krzyśkiem wspólnymi siłami ją namówiliśmy.

Na zaproszeniu było napisane „z osobą towarzyszącą”. Miałem nadzieję, że moja osoba towarzysząca trochę odpocznie od codzienności. A ja? Nie zamierzałem się dobrze bawić, ale wiedziałem, że w mojej branży są imprezy, na których być po prostu wypada. Ta była jedną z nich.

Kilka dni później, w sobotę wieczorem dotarliśmy na Wyspę Spichrzów i zostaliśmy powitani przez śliczne hostessy w bardzo krótkich sukienkach.

– Szampana? – zapytał kelner przechodzący obok.

– Poproszę – powiedziałem.

– Ja tylko sok. – Marta wzięła szklankę z drugiej tacy.

– Poczekasz chwilę? – zapytałem. – Rozejrzę się tylko.

– Jasne. Każda chwila, w której nikt ode mnie niczego nie chce, jest chwilą dodającą mi energii życiowej na kolejne dni.

Zobaczyłem, że Jarek stoi niedaleko i rozmawia z naszym klientem. Jak już wspominałem, takie imprezy to też czas ważnych rozmów biznesowych. Pod płaszczykiem zabawy ważą się losy wielu poważnych kontraktów.

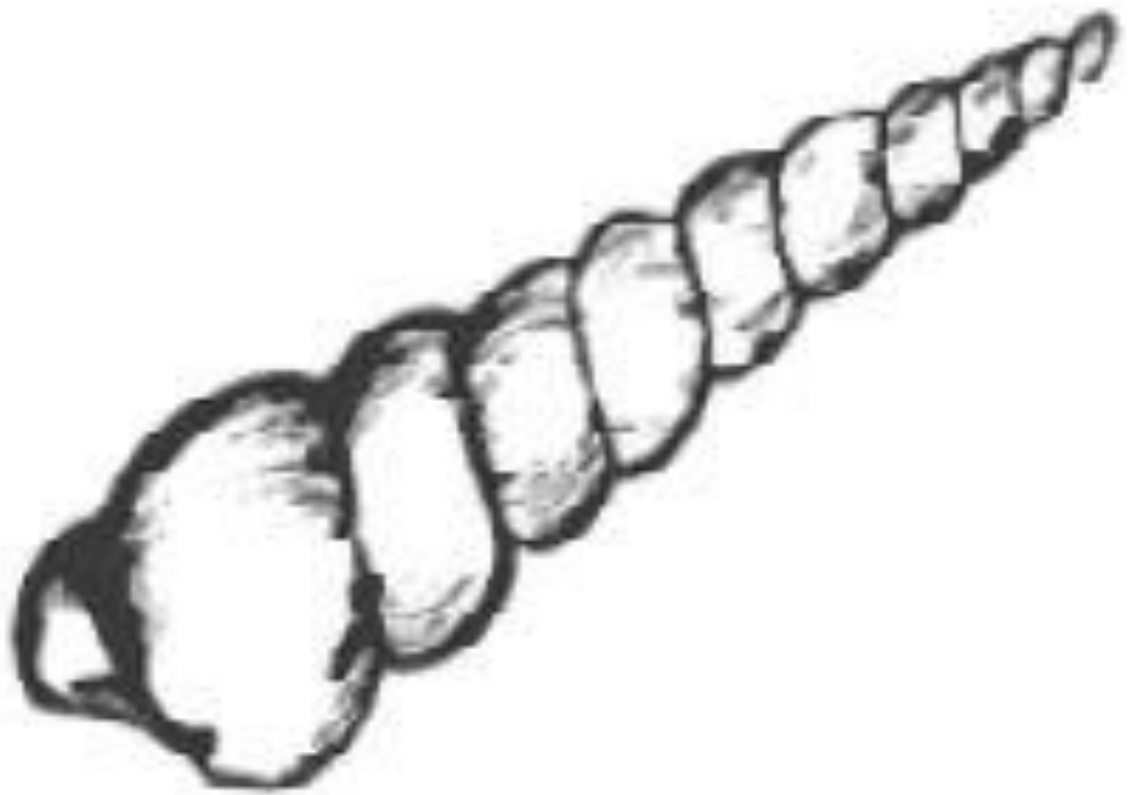
Nie spodziewałem się, że na tej imprezie będę starał się również o mój najcenniejszy w życiu kontrakt. I nie mam na myśli korzyści związanych z biznesem.

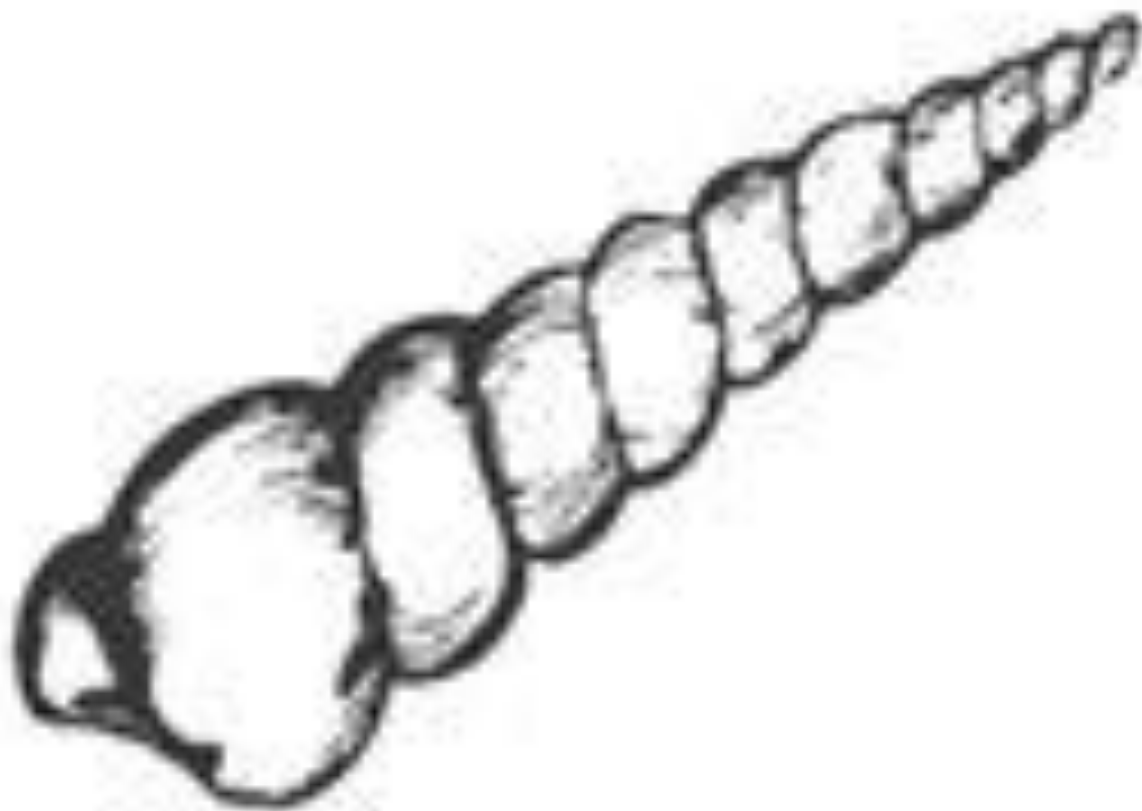
Ale to miało okazać się już za chwilę.

CZĘŚĆ TRZECIA

Ósmy cud świata

Anna





Zwycięstwo czyni z Ciebie cesarza, porażka buntownika

powiedzenie wietnamskie

Nie chciałam mieć z Tomkiem nic wspólnego. Uważałam, że mnie oszukał. A przynajmniej nie powiedział prawdy. Nie zastanawiałam się nad tym, w jaki sposób miał mi powiedzieć o jakimś wyroku.

Przecież żaden normalny facet nie powiedziałby o tym kobiecie, z którą chce spędzić kolejne dni.

Ale czy normalny facet byłby karany?

Pewnie nie. Podobnie normalna kobieta nie spędzałaby z obcym facetem kilku dni gdzieś w małej kajucie na środku morza. Że też wtedy nie przypomniały mi się wszystkie filmy czy książki, których fabuła rozgrywa się w małych kajutach statku przy sztormowej pogodzie.

Jednak w zatoce Ha Long pogoda była piękna. Sztorm miałam teraz w sercu. Nie umiałam się przed nim ukryć, a na tęczę się nie zanosilo.

Już na lotnisku w Hanoi kupiłam sobie wino. Miałam nadzieję, że utopię w alkoholu trochę smutków związanych z ostatnimi chwilami w Wietnamie. Nie otworzyłam jednak butelki. Przypomniałam sobie, że przecież kochałam się z nim bez zabezpieczenia, mając nadzieję, że zajdę w ciążę. Taki był mój cel.

Sama nie wierzyłam w to, co robiłam.

Idiotka.

Los podjął za mnie decyzję szybciej, niż ja mogłam to zrobić, byłam tego pewna w stu procentach. Trudno. Wino dam Jackowi.

Jackowi. W zupełnie innym życiu. Tutaj zostawiłam za sobą raj, wspaniały romans, a tam powita mnie człowiek, któremu zawsze mogłam zaufać. Nie miał

wyroków sądowych w teczce akt.

Nie zastanawiałam się nawet, co Tomek przeszkrobał. Nie chciałam słuchać jego tłumaczeń. Byłam przerażona, że znowu źle ulokowałam swoje uczucia, bo miałam wrażenie, że te wspólne dni spowodowały, że nie był mi zupełnie obojętny.

– Zakochać się w kryminaliście – powiedziałam do siebie, kręcąc głową. – Z deszczu pod rynnę.

Nie miałam zamiaru się z nim kontaktować. Już nigdy więcej. Nie chciałam dodatkowo komplikować sobie życia.

Powrót z rajku bywa ciężki. Nie poszłam od razu do pracy, owszem, odwiedziłam Jacka, łudząc się, że może po tym wszystkim spojrzę na niego inaczej. Spojrzałam. Byłam jeszcze bardziej pewna, że nie jestem w stanie go pokochać.

Zastanawiałam się, czy wróciłam z rajku z częstką Tomka w sobie.

Dwa tygodnie później wpatrywałam się w test ciążowy. Czy czułam nadzieję? Sama nie wiedziałam. Zdałam się na to, co przyniesie mi los. Ale jednak łudziłam się, że wynik będzie pozytywny.

Nie mogłam uwierzyć.

Poszłam do apteki, kupiłam kolejny test.

Ten sam wynik.

Krew oddana w laboratorium również wskazywała na to samo.

Los najwyraźniej miał wobec mnie inne plany. Każdy z testów pokazywał jedną kreskę. Badania w laboratorium również przekreśliły moje marzenia.

Nie byłam w ciąży.

Patrzyłam na kawałek białego plastiku i w dalszym ciągu nie mogłam uwierzyć w to, co widzę. Nie byłam w ciąży. Jedna różowa kreska. Sprawdziłam jeszcze raz w opisie testu, czy na pewno powinny być dwie.

Powinny.

A przecież już zaakceptowałam dokładnie wymyśloną przez siebie przyszłość. Przez chwilę wydawało mi się, że po powrocie z Wietnamu zacznę układać sobie życie na nowo. Już nie sama. Z kimś. Z kimś całkiem niewielkim, kto według moich planów miał wkrótce pojawić się na świecie.

Zrobiło się ckliwie.

Jeżeli chcesz rozbawić Boga, powiedz mu o swoich planach. Z moich planów Bóg chyba nie byłby zadowolony. Nie udało się. Pewnie po jego myśli.

Bo kto to wymyślił, wrabiać obcego faceta w bycie tatą? I to, jak się okazało, kryminalistę?

Bzdura. Naciągana wietnamska legenda. Te kobiety prosiły o dziecko, spały z żołnierzami i już? Raz? Dwa? Czy trzy? A może to były tygodniowe próby i starania? Może tak naprawdę ci żołnierze zrobili sobie krótki postój w tej wiosce i potem szli dalej?

Nieistotne.

Rzuciłam test na drugi koniec pokoju.

Czego ja oczekiwałam? Wszystkiego. W myślach tysięcy razy wyobrażałam sobie, jak kiedyś, w bardzo dalekiej przyszłości, wyznaję mojemu dziecku sekret

jego pojawienia się na świecie.

– Wiesz, kochanie – powiedziałabym do niej czy do niego – bardzo pragnęłam dziecka. Za wszelką cenę. Pojechałam do Wietnamu i poznałam tam mężczyznę. Zaprosił mnie na bajeczną podróż statkiem po jednej z najpiękniejszych zatok na ziemi. I tam przeczytałam o kobietach, które prosiły o dziecko. Wojna się skończyła, mężczyźni wracali z frontu, a one wychodziły na drogę i prosiły o to, by żołnierze uczynili je matkami. I zrobiłam zupełnie tak samo. Jesteś na świecie.

Brzmi idiotycznie.

Potem jeszcze myślałam, że będę przepraszać moje dziecko za to, że wychowało się bez ojca. Może to faktycznie byłoby zbyt egoistyczne? Może los wiedział, co robi, pokazując mi na teście ciążowym jedną kreskę?

Chyba wiedział.

Samotne wieczory, samotne poranki. I, jak to mawia ciotka, „nikt ci nie poda na starość szklanki wody”. Jak tak dalej pójdzie, to tylko wino będę piła. Nic poza tym. Dopóki będę mogła sięgnąć po kieliszek, będzie dobrze.

Wyciągnęłam mój telefon z torebki. Wysypało się z niej również małe zawiniątko. Karta SIM z wietnamskiego telefonu owinięta w papierową chusteczkę. Ostatnie ogniwo łączące mnie z Tomkiem.

Rzuciłam je w kąt w ślad za testem ciążowym.

Miałam jego numer telefonu, on mojego nie. Co o mnie wiedział? Tyle co nic. Wiedział, jak mam na imię, wiedział, że mieszkam w Gdańsku, wiedział, że kilkanaście lat wcześniej tuż po nim zdobywałam Kilimandżaro. I że widziałam napis, który jego dziewczyna zostawiła w księdze pamiątkowej tuż po oświadczeniach.

Wiedział jeszcze, jak wyglądam nago i że mam pieprzyk na lewym udzie. Znak szczególny. Nie, nie miałam go wpisanego w dowodzie.

Gdy zamykałam oczy, miałam wrażenie, że chwile w wietnamskim raju przydarzyły mi się bardzo dawno temu. Gorąca wilgoć Hanoi, maleńkie wyspy zatoki Ha Long, pływające wioski i ludzie na hamakach oraz sklepy na łodziach wydawały się tylko sennym wspomnieniem.

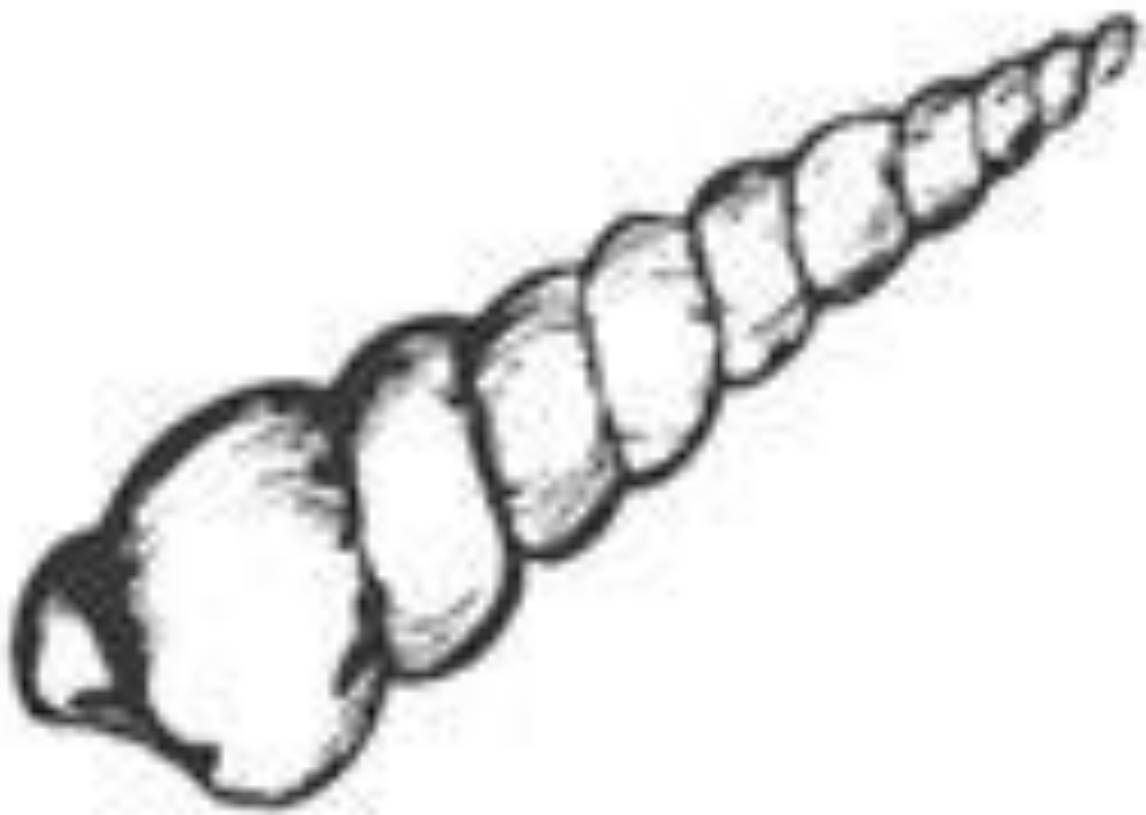
Tomek też był sennym wspomnieniem. Miłym, cudownym, ale wspomnieniem.

Podniosłam z podłogi test i kartę SIM, i wyrzuciłam do śmieci.

Tak, to był tylko piękny sen. Sen bez konsekwencji na jawie. Sen, w którym gdy uszczypniesz, nie boli. Trochę bolało życie. Bolała samotność.

Przez chwilę pomyślałam, by wyjąć kartę ze śmietnika, zadzwonić do niego, zaprosić na kawę, a może nawet do łóżka. To, by zaprosić go do całego mojego życia też przemknęło mi przez głowę. Ale nie. Gdybym nie przeczytała tego cholernego faksu, pewnie teraz pilibyśmy kawę „po wszystkim”. Ale przeczytałam. I bardzo się przestraszyłam. To był tylko wietnamski romans. A może aż? Bardzo chciałam poznać odpowiedź na to pytanie.

2



Najgłębszą rzekę można zbadać, serce ludzkie jest niezbadane

powiedzenie wietnamskie

Powrót do rzeczywistości był ciężki. Jacek adorował mnie jeszcze bardziej niż przedtem, a ja byłam jeszcze bardziej obojętna.

- Może kino dzisiaj?
- Nie, dziś nie mogę.
- Kolacja? Jutro?
- Może jakoś w przyszłym tygodniu.

Tak było. Zawsze „jakoś”, „kiedyś”, „gdzieś”. Czasem wychodziliśmy. Jacek często był zapraszany na jakieś firmowe imprezy do klientów, na zaproszeniu widniało „z osobą towarzyszącą”. Zwykle byłam nią ja.

Na początku nawet próbowałam, by coś z tego wyszło. Byśmy stworzyli fajny związek. Ale za każdym razem kontrast pomiędzy Tomkiem i tym, co czułam w jego obecności, a tym, jak czułam się przy Jacku, był miażdżący.

Wybraliśmy się kiedyś na Kaszuby nad jezioro. Komary bardzo uprzykrzały nam życie.

– Komar brzęczy nad naszymi głowami, prosząc o przebaczenie...

– Co?

– Nic, taka legenda wietnamska.

– O komarach?

– Tak.

– I co te komary? Błagały o przebaczenie, że nas gryzą?

– Nie do końca.

Jacek uderzył komara siedzącego na jego ręce. Ten, nieżywy, spadł na trawę. Na ręku Jacka została kropla krwi.

– A może to była Nhan Diep, która chciała wypić dwie krople krwi, by stać się znowu kobietą? – zapytałam, wpatrując się w ognisko.

– Moim zdaniem to był okropny komar, który miał zamiar mnie pogryźć i pozostawić na moim ciele swędzące bąble. Na twoim też – mówiąc to, rozpyłał wokół nas spray na komary.

Nie lubiłam komarów, ale zamknęłam oczy i przypomniałam sobie ten cudowny wieczór na statku Syrena, gdy siedzieliśmy przytuleni z Tomkiem, a on opowiadał mi wietnamskie legendy. I tę o powstaniu zatoki Ha Long, i tę o ryżu, a także o Nhan Diep, która zamieniła się w komara. Czasem wydawało mi się, że mój wyjazd był tylko pięknym snem, snem, który skończył się na moje własne życzenie. Wspomnienia były bajką, której nie chciałam nigdy zapomnieć, bajką, którą powtarzałam sobie w myślach co wieczór, by pamiętać ją do końca życia.

Jednak dalej spędzałam z Jackiem wolne chwile. Bo cóż miałam robić? Nie lubiłam samotności.

Czasem zastanawiałam się, czy chodząc wszędzie z nim, nie zamykam sobie drogi do nowego życia. Wiele osób myślało, że jesteśmy parą.

– Piękną ma pan żonę, panie Jacku – słyszałam wielokrotnie.

Nawet już tego nie dementowaliśmy. Nie było między nami żadnych publicznych czułości. Ale czy po kilkunastu latach małżeństwa ludzie okazują sobie miłość w publicznych miejscach? Czy w ogóle okazują sobie miłość?

Z obserwacji moich znajomych widzę, że po dwudziestu latach małżeństwa na imprezę wszyscy najchętniej przychodzą bez mężów czy żon.

– Z mężem czy z osobą towarzyszącą? – pytała zawsze moja koleżanka.

Śmiałyśmy się z tego. Bardzo lubiłam jej męża. Jak się potem okazało, jej „osobę towarzyszącą” również lubiłam. Cóż. Życie. Czasem w wieku dwudziestu lat myślimy, że spotkamy osobę na dobre i na złe, do końca naszych dni, a potem, gdy dobiegamy czterdziestki, musimy zaczynać wszystko od nowa. Musimy – albo chcemy.

Jak wspominałam, mój tata zawsze mówił, że jeżeli chcę zmienić swoje życie, powinnam zacząć od dalekiej podróży. Faktycznie. Gdy jesteś wysoko, nad ziemią, zupełnie inaczej patrzysz na to, co zostawiłeś na dole. Zawsze, gdy na pewne rzeczy spojrzysz z dystansu, zobaczysz je w zupełnie innym świetle.

Ja wiedziałam jedno. Doszłam do wniosku, że nie chcę już pracować z Jackiem. Codzienna bliskość powodowała, że nie umiałam zaangażować się w nowy związek. Nie zbudowałam bliskiej relacji z nikim innym, ale jednak on był zawsze obok. Gdy potrzebowałam się przytulić, był. Gdy potrzebowałam pomocy w domu – był.

Jednak od powrotu z wakacji nie pozwoliłam mu zostać na noc.

Czasem śnił mi się Tomek.

Kilka razy w sennych marzeniach wyjmowałam kartę SIM ze śmietnika, wkładałam do mojego telefonu i dzwoniłam do niego.

– Cześć, to ja – mówiłam we śnie.

– Czekałem na twój telefon.

– Wiem, że czekałeś.

Potem bardzo szybko materializował się tuż obok mnie i zasypialiśmy przytuleni. Tak jak wtedy, na statku pływającym po zatoce Ha Long.

Niestety, codziennie budziłam się sama. Często z telefonem w dłoni, który dziesięć razy przestawiałam na drzemkę.

Wielokrotnie żałowałam, że pozbyłam się tej karty SIM. Często zastanawiałam się, co on robi w danej chwili. Czy wrócił do swojej narzeczonej, czy może spędza już dni i noce z kimś innym. Kilka razy, próbując go odnaleźć, wpisywałam w wyszukiwarkę frazy:

„Statki Tomasz Gdańsk”

„Budowa statków Tomasz”

„Remonty statków Tomasz”

Chyba bardzo dbał o swoją prywatność, bo nie mogłam nic znaleźć na jego temat. Nie mieliśmy nawet żadnego wspólnego zdjęcia.

Wyjeżdżając z Wietnamu, chciałam uniemożliwić sobie kontakt z nim

w przyszłości. Udało mi się. Teraz tego żałowałam. Miałam w uszach własne słowa:

– Ja mam twój telefon. Zadzwoń.

Kłamałam. Nie zadzwoniłam. I bardzo tego żałowałam. Żałowałam, że nie wysłuchałam jego tłumaczeń. Teraz z pewnością dałabym mu tę szansę. Tak chciałabym znowu znaleźć się w jego ramionach i dać mu tę cholerną szansę, by wszystko mi wytłumaczył.

Jak zmieniać swoje życie to na całego. Zaczęłam szukać nowej pracy. Któregoś dnia powiedziałam o tym Jackowi.

– Ale jak to nowej pracy? Żle ci tu?

– Jacek, to nie o to chodzi.

– A o co? Przecież jeżeli chcesz podwyżkę, możemy zawsze pogadać. Wiesz o tym, prawda?

– Wiem. I wciąż zupełnie nie o to chodzi.

– A o co?

– Muszę zmienić coś w życiu.

– Coś? Czy kogoś?

Wzruszyłam ramionami. Nie wiem. Otoczenie?

– Gdyby nie to, że niedawno wróciłaś z urlopu, sam bym cię na niego wysłał – powiedział Jacek. – A tak, nie wiem, co mam robić. Może jeszcze przemyślisz te zmiany?

Pokiwałam głową.

– Może...

– Stawiasz mnie w trochę niezręcznej sytuacji. Bo nie wiem, czy powinienem szukać kogoś na twoje miejsce, czy po prostu biernie czekać. Nie wiem, co mam robić. Ty sama chyba nie wiesz, co masz robić.

– Nie wiem – przyznałam mu rację. – Nie wiem.

– Daj znać, jak już podejmiesz decyzję. – Pokręcił głową. – Na razie chyba ja potrzebuję urlopu. Na dzisiaj to już wszystko. Będę pod telefonem. Ogarniesz biuro do końca tygodnia?

– To jeszcze dwa dni.

– No właśnie. Pytam, czy przez te dwa dni coś się nie zmieni i nie zrezygnujesz z pracy w trybie natychmiastowym.

– Jacek...

Pokiwał mi ręką i poszedł do swojego gabinetu. Po chwili wyszedł z laptopem.

– Pa. Do poniedziałku – rzucił oschle na pożegnanie.

– Pa – odpowiedziałam.

I dlatego właśnie nie należało mieszać spraw uczuciowych z zawodowymi. Postarałam się zapamiętać tę lekcję do końca życia.

Próbowałam rzucić się w wir pracy, ale nie wychodziło. Przeróżające jest w tym życiu, że tak łatwo kogoś zranić. Nie kochałam Jacka. On o tym wiedział. Ale każdego dnia łudził się, że to się zmieni. Nie zmieniało się. Ja się zmieniałam i wiedziałam, że nie możemy tak dalej żyć.

„biznesmen Gdańsk Tomasz budowa statków”

Okolo 24 700 wyników (0,91 s)

Wśród tylu rezultatów wyszukiwania nie było „mojego” Tomasza.

W nocy znowu przyśniła mi się ta cholerna karta SIM.

Obudziłam się nad ranem, siadłam do komputera. Może zawieruszył się gdzieś list motywacyjny i CV, które wysyłałam wtedy do jego firmy. Tyle lat temu. Komputer mam już zupełnie inny, adres mailowy też się zmienił.

Nie pamiętałam starego hasła do poczty. Nie mogłam go odzyskać, bo numer telefonu też miałam inny. To przerażające, że człowiek żyje w świecie cyfr i haseł. Hasło do banku, do poczty, do Facebooka, do komputera. Wszędzie hasła, loginy.

– Do cholery, jakie to było hasło?

Posprawdzałam daty urodzin chyba wszystkich członków rodziny, potem kombinacje z panińskimi nazwiskami mojej mamy, babci i prababci. Nic z tego. Kompletnie nie mogłam sobie przypomnieć hasła, co zamykało mi drogę do odkrycia, jak nazywała się firma Tomka, w której byłam na rozmowie dawno, dawno temu.

Samolot. Może powiedzą mi, kto rezerwował bilet do Wietnamu na ten sam dzień, kiedy ja leciałam. Zadzwoiłam do linii lotniczych. Napotkałam mur. Ustawa o ochronie danych osobowych.

– A może ten pan nie życzy sobie, by się pani z nim kontaktowała?

– No, może sobie nie życzyć – pomyślałam.

Oczywiście kilka razy przeszło mi przez głowę, że on szuka mnie tak samo jak ja jego. Ale wtedy w Wietnamie postarałam się zatrzeć za sobą wszystkie ślady. Niestety zrobiłam to bardzo dobrze.

Tamtego dnia obudziłam się w środku nocy i przypomniałam sobie o zdjęciu dowodu Tomka, które zrobiłam i wysłałam do Edyty i Alicji. Na swoim telefonie je

skasowałam, bo zabrakło mi miejsca na farmę pereł. Po cholere mi nieostre zdjęcie farmy pereł! Przejrzałam wiadomości wychodzące z mojego telefonu. Nie było tam tego, czego szukałam.

Zadzwoiłam do Edyty.

– Edzia, ja ci wysyłałam zdjęcie, gdy byłam w Wietnamie.

– Matko, czy ty musisz mnie budzić w środku nocy, by pytać mnie o jakieś zdjęcie?

– Proszę, zobacz, czy je masz.

– Ale o co ci chodzi? Jakie zdjęcie? Z czymś konkretnym?

– Tak, z dowodem osobistym.

– Boże, nic takiego nie dostałam.

– Przejrzyj. Może znajdziesz. Daj znać, jak się uda.

– Dobranoc.

Przypomniałam sobie, że Alicja na pewno je dostała. Przecież jeszcze pisała mi, że na zdjęciu do dowodu każdy wygląda źle.

– Ala, śpisz?

– Boże, która godzina? Co się stało?

– Czy masz może zdjęcie dowodu Tomka?

– Jakiego Tomka?

– Ala, to, które przysłałam ci z Wietnamu.

– Czy to jest teraz takie ważne?

– Jest.

– Chyba nie mam.

– Jak to nie masz?

– Wczoraj robiłam porządek w zdjęciach i jak już przyleciałaś, to uznałam, że żadne dane osobowe nie są mi potrzebne.

– *Shit.*

– A stało się coś? – zapytała Alicja, ziewając.

– Szukam go. Cholernie go szukam.

– Kto szuka, nie błądzi.

– Kto pyta – poprawiłam ją.

– No właśnie. Śpij dobrze. Nienawidzę cię za to, że mnie obudziłaś.

– Też cię kocham, pa.

Byłam zdruzgotana. Znowu zadziałałam za późno. Gdybym wczoraj przypomniała sobie o tym cholernym zdjęciu, z pewnością bym go znalazła. A tak pozostało mi szukanie na oślep. Miałam nadzieję, że w końcu mi się uda.

Byłam w jeszcze gorszej sytuacji niż przed wyjazdem do Wietnamu. Wtedy nie widziałam szans na miłość. W Azji tę szansę znalazłam, ale niestety ją zaprzepaściłam. Byłam tak blisko szczęścia, wystarczyło zrobić tylko krok w jego stronę zamiast w kierunku bramek na lotnisku. Mogłam mu dać numer telefonu, mogłam powiedzieć, by wszystko mi spokojnie wytłumaczył. Niestety, zdarza się, że podejmujemy niewłaściwe decyzje, których skutki odczuwamy przez całe życie.

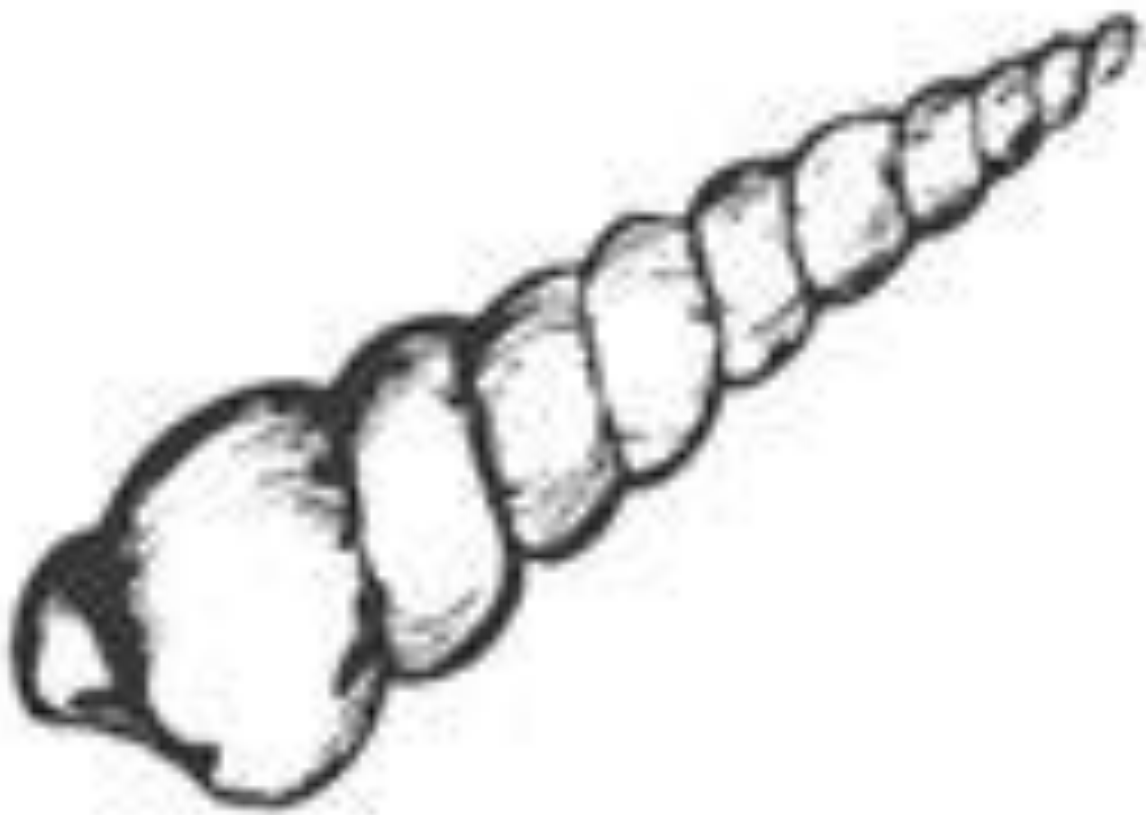
Czasem Gdańsk wydaje się bardzo małym miastem. Wszyscy wszystkich znają. Gdy tu mieszkasz i tu studiowałeś, naprawdę masz wielu znajomych. Ale jak to wykorzystać? Mam napisać na Facebooku „Halo, halo, uwaga – kto zna Tomka,

który remontuje statki i ostatnio był w Wietnamie?”.

Bez sensu. Ale być może ktoś by mi odpisał.

Są jednak pewne granice, których nie byłam w stanie przekroczyć. Teraz myślę, że zupełnie niesłusznie. Bo gdy człowiek kocha, powinien przekraczać granice. Dla miłości. A ja wtedy powoli zaczynałam zdawać sobie sprawę z tego, że zakochałam się w Tomku. Niestety, uświadomiłam to sobie zbyt późno.

3



Wygoda jest lepsza od dumy

powiedzenie wietnamskie

– Nie odzywasz się wcale! – Edyta zadzwoniła pewnego dnia z pretensją. – Najpierw budzisz człowieka w środku nocy, pytasz o jakieś zdjęcia, a potem zupełnie milkniesz. Stało się coś?

– Za dużo opowiadać – powiedziałam.

– Jak to za dużo? Nie udał ci się wyjazd?

– Można powiedzieć, że się nie udał. Albo udał za bardzo.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Kiedyś ci opowiem.

– Mam taką nadzieję. A co robisz dzisiaj wieczorem? Może jakieś wino?

– Nie... Jakoś nie mam dzisiaj nastroju.

– A co będziesz robić?

– Założę piżamę i pójdę spać.

– No jasne – prychnęła w słuchawkę.

Takich telefonów miałam kilka. Naprzemiennie. To od Edyty, to od Alicji. W końcu pewnego sobotniego wieczoru, gdy siedziałam sama w domu, szukając w Internecie, za co można dostać wyrok, zadzwonił dzwonek do drzwi.

– Kto tam?

– Pizza – usłyszałam.

– Ale ja nie zamawiałam pizzy.

– A może mi pani otworzyć? Bo chyba sąsiad ma zepsuty domofon.

Zła na sąsiada i na cały świat wcisnęłam guzik na domofonie i wróciłam do komputera. Po chwili usłyszałam łomotanie do drzwi. Zajrzałam przez wizjer. W progu stały najwyraźniej zadowolone z życia i z siebie Alicja i Edyta.

– Niespodzianka! – powiedziała Alicja.

– Jak Mahomet nie chciał do góry, to góra przyszła do Mahometa.

– O właśnie. Sławomir Góra. Mecenas – przypomniałam sobie. – Dzięki. – Pomyślałam, że to może być jakiś trop. Gdy weszłam do pokoju, zapisałam sobie jego imię i nazwisko na kartce.

– Kim jest Sławomir Góra? – zapytała Alicja. – Nowym kochankiem?

Edyta szukała korkociągu w kuchni.

– Ech. – Wzruszyłam ramionami. – Mecenasem, adwokatem, obrońcą, kimkolwiek.

– I kochankiem?

– Może czymś tak, ale na pewno nie moim – powiedziałam.

– Jezu. – Alicja przewróciła oczami. – Edyta, chodź tutaj, bo normalnie ją zastrzelę.

– No? Co się dzieje? – Edzia wyszła z kuchni z korkociągiem w dłoni. – Co ona robi?

– Zapisuje sobie zamiary na prawnika – powiedziała Alicja. – Przeskrobałaś coś?

– Ja nie.

– To kto?

– Tomasz.

– Kim, do jasnej cholery, jest Tomasz? – zapytała zdenerwowana Edyta. – Ala, nie wyjdziemy od niej, dopóki się wszystkiego nie dowiemy.

Jakiś czas później prawie całe wino było wypite i cała moja wietnamska historia również została opowiedziana.

– Ja pierdolę – powiedziała Edyta. – Ty to zawsze musisz się w coś wkopać.

– Zakochałaś się? – zapytała Alicja.

– Tak. W kryminaliście – potwierdziłam. – Gorzej niż jakbym pisała listy miłosne do kogoś przebywającego w zakładzie karnym.

– Przesadzasz. – Alicja się skrzywiła. – Skąd wiesz, czy nie ma wyroku na przykład za to, że się przywiązał do korony drzewa w Puszczy Białowieskiej i odmówił zejścia na dół? Albo że protestował w jakiejś słusznej sprawie? Tego akurat nie wiesz.

– A może po prostu przypierdolił temu koleśowi, jak się dowiedział o tym, że jego narzeczona będzie miała z nim dziecko? – Edyta wzruszyła ramionami. – Ja bym tak zrobiła.

– Nie mierz każdego swoją miarą – powiedziała Alicja. – A poza tym, co ty tak klniesz?

– Nie klnę. Po prostu nadaję słowom brzmienie adekwatne do sytuacji. Co mam powiedzieć? Uderzył? Nie! Jeżeli to zrobił, to bądźcie pewne, on mu

przypierdolił. I to tak na maksa. A za takie coś też jest wyrok.

– Ile? – zapytałam.

– Nie wiem, ileś tam w zawieszeniu.

– Za co jeszcze mógł dostać? Kradzież? Oszustwo?

– Może za podatki, jak mówiłaś, że ma kasę.

– No to bez sensu. Ja nie chcę oszusta.

– Aj tam, zaraz nie chcesz oszusta. Księgowa mogła się pomylić albo może stoi po niewłaściwej stronie barykady.

– To znaczy?

– No nie wiem. Jest przeciwnikiem jedynej słusznej opcji politycznej albo coś w tym stylu. Różnie w życiu bywa. A ty za jeden faks spuściłaś go na drzewo.

Siedziałam zamyślona.

Może one miały rację? Może zbyt pochopnie wykreśliłam go z mojego życia? Może tak naprawdę chodziło o coś zupełnie innego? Może czasem w życiu są takie momenty, kiedy należy łamać zasady?

Ja starałam się tego nie robić.

No właśnie, „starałam”. Też miałam plany uciec się do oszustwa. Może on też całe życie „starał się” żyć zgodnie z prawem, a raz okoliczności zmusiły go, by było inaczej?

– A na Facebooku go szukałaś? – zapytała Edyta.

– Szukałam.

– I co?

– Ciężko szukać, nie znając nazwiska. – Wzruszyłam ramionami. – A niektórzy wywalili zdjęcie jego dowodu ze swojego telefonu. – Popatrzyłam

z wyrzutem na Alicję.

Ta wzruszyła ramionami.

– Byłaś bezpieczna w domu, a ja miałam za mało miejsca w telefonie.

– Bo pewnie musiałaś zrobić zdjęcie kolejnej plantacji awokado czy innego mango, która nagle ci wyrosła, albo nieoczekiwanie zwiędła, i umieścić to na Facebooku – prychnęła Edyta.

– O, skąd wiesz? – Uśmiechnęła się. – Właśnie wczoraj zauważyłam, że z pękniętego awokado mi korzeń...

– Ala! – Edyta jej przerwała. – Wydaje mi się, że Ania nie bardzo ma ochotę słuchać o jakichkolwiek hodowlach, plantacjach czy innych wynalazkach, które stoją na twoim kuchennym parapecie.

– Nie, proszę bardzo, mów. – Wzruszyłam ramionami. – Bardzo mnie interesują twoje plantacje, mimo iż codziennie mogę je obserwować na tysiącach zdjęć, które umieszczasz i na Fejsie, i Instagramie, i nie wiem jeszcze na czym.

– O matko, człowiek ma jakieś zainteresowania poza robotą, a te marudzą. – Alicja wyróciła oczami.

– No trudno, żeby cię robota interesowała.

– Interesuje – powiedziała Alicja.

– Jak cię interesuje zagłądanie kobietom pod spódnicę, to jesteś zboczona – stwierdziła Edyta.

– Kochane, jak przyszyłście się tutaj pokłócić, to proponuję, byście sobie już poszły – powiedziałam stanowczo.

– Racja, sorry. – Edyta spuściła głowę. – Dobra, co robimy z tą twoją wietnamską miłością?

– Zapominamy? – zapytałam cynicznie.

– Jeżeli to takie proste, to tak – powiedziała Ala.

– Niestety.

– Cholera, gdybym ja pamiętała, jak on się nazywał. – Pokręciła głową. – Jakoś na „G”.

– Na „G”? – zdziwiłam się.

– Gębajski, Głębocki, kurcze... – myślała głośno Alicja.

– Nie. – Pokręciłam głową.

– Grabowski? Grabski? – pytała Edyta.

– Nie. – To wciąż nie było to nazwisko. Byłam ciekawa, czy gdy je usłyszę, nagle sobie przypomnę.

Wzięłam komputer na kolana.

– Co ty robisz? – zapytała Ala.

– Szukam go. – Zaczęłam wpisywać w Facebooka wszelkie kombinacje imienia Tomasz z nazwiskami, jakie mi przychodziły do głowy.

Nie mogłam znaleźć „mojego” Tomasza.

Ci na zdjęciach zupełnie nie pasowali.

– On nie ma Facebooka. – Wzruszyłam ramionami. – Chyba nawet kiedyś o tym rozmawialiśmy.

– Pewnie jakby miał, już dawno bylibyście „znajomymi”.

– No właśnie – potwierdziłam. – A tak, jak kamień w wodę.

Moje przyjaciółki nic mi nie pomogły. No, prawie nic. Wypiłyśmy dwie butelki wina, obgadałyśmy wszystkie koleżanki, które mogłyśmy obgadać, ich mężów również, na końcu Ala pokazywała nam zdjęcia awokado, które fotografowała za każdym razem, gdy cokolwiek się w nim zmieniało. Ja wprawdzie

nie widziałam żadnych zmian, ale kiwałam głową z uznaniem. Naprawdę była dumna z tych roślinek.

Potem po Alicję zaczął wydzwaniać jej mąż. Po Edytę wprawdzie nie wydzwaniał, ale pisał SMS-y.

– Boże, a mówią, że to my wariujemy, jak oni się spotykają z kolegami. – Alicja westchnęła. – Człowiek nie ma dla siebie nic czasu, bo albo ktoś rodzi, albo własny facet cię wzywa, jakby sam się miał do porodu szykować.

„Własny facet” przyjechał po Alicję tuż przed pierwszą. Kopciuszek najwyraźniej się spóźnił. Przy okazji Edytę też zgarnął do domu, mimo iż jej mąż dziesięć razy przekonywał, że też może po nią pojechać.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy moje przyjaciółki mają tak idealnych facetów, czy po prostu oni nie do końca wierzą w to, że ich kobiety grzecznie siedzą u pewnej starej panny i kulturalnie sączą wino w wyłącznie kobiecym towarzystwie.

Znali jednak nasze opowieści z czasów, gdy każda z nas była co najmniej siedem kilo chudsza i zdecydowanie bardziej wyzwolona. Były to historie mrozące krew w żyłach i gdy my sobie je przypominałyśmy, brakowało nam tchu ze strachu i ekscytacji, a co dopiero spokojnym facetom, którzy nie potrzebowali w życiu niczego innego jak bezpiecznego ogniska domowego.

Tak, są jeszcze tacy mężczyźni.

Tylko, do cholery, dlaczego ja jeszcze nie trafiłam na żadnego z nich?

No jak to nie? Trafiłam, tylko nie bardzo tego chciałam. Pomyślałam przez chwilę o Jacku.

Kobiecie jednak nie dogodzisz.

Alicja zadzwoniła po kilku dniach.

– Mam go! – wykrzyknęła.

– Kogo masz? – Siedziałam właśnie przy kolacji z Jackiem. Piliśmy wino i zastanawialiśmy się, czy chce nam się wyjść do kina, czy nie.

– Jak to kogo? Twojego Wietnamczyka! – Alicja była podekscytowana.

Wyszłam do kuchni. Nie chciałam, by Jacek był świadkiem mojej rozmowy.

– Tomasz Biegajski! – powiedziała wyraźnie ucieszona. – A ja głupia uparłam się, że to na „G”.

– O matko, chyba faktycznie – powiedziałam. – Faktycznie Biegajski.

– Coś się stało? – Jacek stał w drzwiach i wpatrywał się we mnie.

– Nie, nic – powiedziałam. – Ala kogoś znalazła.

Nie mogłam się doczekać, kiedy Jacek sobie pójdzie. Ale w najbliższym czasie nie zanosilo się na to. W końcu krótko po północy wyszedł i mogłam usiąść do komputera.

„Tomasz Biegajski” – wpisałam w wyszukiwarkę na Facebooku.

Po chwili pojawiła mi się strona z kilkunastoma propozycjami różnych Tomaszów Biegajskich. Kliknęłam w pierwszego z nich. To nie on. Dopiero trzeci okazał się być tym właściwym.

– Cholera! – syknęłam.

„Mój” Tomasz Biegajski na swoim zdjęciu profilowym trzymał na rękach niemowlaka i mocno go przytulał. Zdjęcie podpisane zostało „Nasza księżniczka”.

Zamarłam.

Na zdjęciu w tle miał niemowlęce stópki. Pewnie tej samej „księżniczki”.

Nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam. Nie dość, że karany, to jeszcze oszust. Zupełnie nie wiedziałam, jak mam interpretować to, co zobaczyłam.

Dochodziła pierwsza w nocy. Nie wypadło dzwonić ani do Edyty, ani do Alicji. Na Messengerze ich nie było, wysłałam do każdej kilka wiadomości. Pewnie spały.

Historia układała mi się w głowie. Zupełnie inna niż ta, którą znałam. Musiałam to z kimś przegadać. Nie umiałam, niczym Scarlett O'Hara, „pomyśleć o tym jutro”.

Następnego dnia zadzwoniłam do Alicji. Oczywiście nie mogła rozmawiać, bo w tym czasie „rodziła”. To znaczy ktoś rodził, a ona odbierała ten poród. Za chwilę znowu wybrałam jej numer. Wciąż sekretarka. Jasne, a mówią, że niż demograficzny.

Zadzwoniłam do Edyty. Pracowała jako tłumaczka i w zasadzie zawsze była dostępna. Tym razem miała zajęty telefon.

Zdenerwowana, weszłam jeszcze raz na Facebooka. Nie przybyło żadne nowe zdjęcie. Nadal patrzył na mnie uśmiechnięty, trzymając w ramionach „swoją księżniczkę”. Nie, było nawet napisane „nasza”. Czyja „nasza” – tej jego dziewczyny, która niby go zdradziła? Ot, kolejna naiwna nabrała się na historię o biednym zranionym mężu. Znowu jak we wszystkich legendach wietnamskich, które mi opowiadał, to kobieta była najgłupsza. I tym razem niestety to nie była kolejna pani Nguen, tylko ja.

– Próbowałaś się do mnie dodzwonić? Mów szybko, bo jakieś szaleństwo dzisiaj. – Alicja oddzwoniła po chwili. – Chyba muszę sprawdzić, czy dziewięć miesięcy temu nie było jakiegoś mega kataklizmu. Kilkudniowe wyłączenie prądu albo coś w tym stylu. Bo normalnie rodzą na potęgę.

– Znalazłam go na Fejsie – powiedziałam.

– Bingo! Ale nie wydajesz się być tym faktem zbytnio ucieszona – zauważyła z niepokojem w głosie. – Czyżby profilowe zza krat jednostki penitencjarnej?

– Niekoniecznie. Profilowe z dzieckiem.

– Czym dzieckiem? – zapytała Alicja.

– „Naszym”

– Waszym? – Była jeszcze bardziej zdziwiona. – Nic nie rozumiem.
I w robocie dzieci, i u ciebie. Tylko dlaczego ja o niczym nie wiem?

– Nie naszym, naszym. Ale naszym, jego – próbowałam wytłumaczyć Alicji.

– Zaczekaj, spokojnie. Powiedz jeszcze raz.

– Jezu, jak tu być spokojną? Ma na Fejsie zdjęcie profilowe w towarzystwie niemowlaka i to zdjęcie jest podpisane „nasza księżniczka”.

– No to grubo.

– Co o tym myślisz?

– Potem zobaczę to zdjęcie. Boże, Ania, znowu przywieźli kogoś, rozwarcie na trzy palce, lecę!

Rozłączyła się nagle.

Nic dziwnego, że wydawała się zupełnie niezainteresowana moimi rozterkami miłosnymi.

Zadzwoiłam do Edyty. Powiedziałam jej, o co chodzi. Od razu otworzyła Facebooka i zobaczyła to zdjęcie.

– I co o tym myślisz? – zapytałam.

– Nie wiem. – Westchnęła. – Chyba facet nie robiłby sobie zdjęcia z czymś dzieckiem.

– Wiesz, może i by robił, ale nie wrzuciłby na Fejsa – powiedziałam.

– Właśnie. I to z takim podpisem – przyznała mi rację.

– Czyli mam rozumieć, że to, że Tomek jest kryminalistą, było najmniejszym złem w tej całej historii? – upewniłam się.

– Chyba tak – powiedziała moja przyjaciółka zupełnie bezlitośnie.

Moje życie doprowadziło mnie do sytuacji bez wyjścia. Chociaż podobno zawsze jest wyjście. Przypomniał mi się rysunek, który kiedyś krążył w sieci. Przedstawiał mężczyznę kopiącego długi tunel. Zrezygnował z dokończenia zadania w momencie, gdy do przebicia się na drugą stronę zostało kilka centymetrów.

Ja miałam wrażenie, że na zmiany w moim życiu nie ma już szans.

– I co z tą zmianą pracy? – zapytał Jacek.

Wzruszyłam ramionami.

– Chwilowy kaprys? – drążył.

– Powiedziałabym, że jestem zmęczona. I przydałby mi się urlop, ale przecież byłam na nim całkiem niedawno. – Westchnęłam.

– Mam wrażenie, że te wakacje nie wywarły zbyt dobrego wpływu na twoje samopoczucie.

– Chyba nie. Może po prostu wolne dni mi nie służą? – Roześmiałam się.

– Najprawdopodobniej tak jest – przyznał mi rację.

Fajny, uczciwy, normalny facet. Dlaczego gdy dostajesz na tacy gotową do zjedzenia potrawę, szukasz innej? Wolisz coś bardziej pikantnego albo z zupełnie innymi dodatkami? Gdy jesteś głodny – zjesz ze smakiem, ale cały czas myślisz, że może lepsze byłoby coś innego? I co robisz, gdy nagle poczujesz zapach właśnie tego, za czym tęsknisz? Porzucisz mdłe życie na rzecz tego bardziej doprawionego?

A może gdy będziesz siedzieć cicho w swojej kuchni, jedząc tylko mdłe posiłki, w końcu je polubisz? Bo nie będziesz mieć innego wyboru?

Z moją mamą spotkałam się dopiero jakiś czas po powrocie. Razem z Jurkiem byli już na emeryturze, więc – jak wytykałam im w żartach – mieli wieczne wakacje. Spędzali je u kuzynki Jurka na południu Polski. Kilka razy musiałam przekonywać mamę, że na pewno nie musi wracać wcześniej, że ja sobie poradzę.

– Ale jak to, dziecko, ty wracasz z dalekiej podróży, a nawet nikt cię nie przywita!

– Wita mnie, mamó. Ala mnie wita, Edyta mnie wita, Jacek też.

– Słuchaj, a ten Jacek to...

– Mamó!

– Ja tylko pytam. Bo często o nim mówisz.

– Mówię, bo to mój szef.

– Gdyby był tylko twoim szefem, nie witałby cię po powrocie z Wietnamu.

– Tak mamó, miał transparent.

– Naprawdę? – Wieczny optymizm mojej mamy czasem mnie przerażał.

– Mamó! Żartowałam przecież.

– No tak też myślałam, niestety.

Przyszła do mnie zaraz następnego dnia po swoim przyjeździe. Akurat był u mnie Jacek. Pracowaliśmy razem nad czymś. Nie pamiętam już, co to było, ale to nie jest ważne.

Jacek wychodził właśnie z kuchni w moim fartuszk. Wycierał w niego rękę.

- Dzień dobry. – Moja mama popatrzyła zdziwiona.
- Mamo, to jest Jacek – przedstawiłam oficjalnie.
- Dzień dobry – powiedziała jeszcze raz. – Dużo o panu słyszałam.
- Mam nadzieję, że same pozytywy.
- Zdecydowanie.

Posiedzieliśmy chwilę, pokazałam jej zdjęcia z Wietnamu, dałam upominki, które dla niej przywiozłam. Kawę, jedwabną apaszkę i obrus na stół. Moja mama kochała prezenty i umiała je przyjmować. Wielokrotnie zastanawiałam się, czy te ode mnie naprawdę zawsze jej się podobają, czy też udaje tylko po to, by sprawić mi przyjemność.

Jacek zawiózł ją do domu. Tym chyba zaskarbił sobie jeszcze większą sympatię.

Potem na jakiejś imprezie poznały go dziewczyny.

– Ja nie wiem, czego ty od niego chcesz – powiedziała Edyta. – Fajny facet i najwyraźniej mu na tobie zależy.

- W tym właśnie szkopał. Ja nic od niego nie chcę – powiedziałam.
- Drażni cię? – zapytała Alicja.
- Nie, zdecydowanie nie!
- Lubisz go?
- Lubię.
- No to nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Właśnie – dodała Edyta. – Mnie mój czasem drażni i naprawdę go nie lubię. Szczególnie ostatnio.

– Ja ci mówię, zrób test ciążowy – powiedziała Ala. – Jak facet zaczyna cię drażnić, a do tej pory było OK, zrzucam to zawsze na ciążę albo na menopauzę.

– Dziękuję – powiedziała Edyta.

– Kochana, to już powoli ten wiek. – Wzruszyła ramionami Ala. – Mam coraz młodsze pacjentki. Ostatnio przyszła do mnie czterdziestka. Menopauza książkowa.

– Nie chcę być menopauzą książkową – jęknęła Edyta.

– No widzisz. To zrób test.

– Tego też nie chcę. – Westchnęła.

Edyta po rozwodzie bardzo szybko zaczęła się spotykać ze swoim przyjacielem z liceum. Zamieszkał z nią i, znając temperament obojga, naprawdę powinna zrobić test ciążowy.

– Ja zaraz będę książkową menopauzą – powiedziałam cicho.

– A Jacek? – zapytały niemalże jednocześnie.

– Co Jacek? – prychnęłam. – Jacek nigdy nie będzie książkową menopauzą.

– Głupoty gadasz – syknęła Alicja. – Fajny facet. Ja go lubię.

– Ja też – powiedziała Edyta.

– No widzisz.

– Widzę.

Jacka lubili wszyscy. Moja mama, moje przyjaciółki. Ja też lubiłam, ale chyba nieco zbyt mało, by wiązać się z nim na całe życie.

Codziennie sprawdzałam profil Tomka na Facebooku. Raz udostępnił informację o meczu piłki nożnej, raz o jakiejś aukcji charytatywnej, w której brał udział. Żadnych prywatnych wpisów. Stopy „naszej księżniczki” nadal były zdjęciem w tle. Jednak fotografię profilową zmienił dokładnie na tę, którą robiłam mu podczas naszej wspólnej podróży. To było pierwszego dnia, wieczorem. Gdy oboje odczuwaliśmy lęk przed nocą w jednej kajucie. Wtedy jeszcze nic się nie wydarzyło.

Na fotografii Tomek uśmiechał się do mnie. Pamiętam, że kilka razy mówiłam mu, żeby nie mrużył oczu, pamiętam też, że robiłam kilka ujęć, jedno dla mamusi, inne dla tatusia.

Dla matki „naszego dziecka” nie robiłam chyba żadnego.

Niestety nie mogłam jej zlokalizować na Facebooku. Dobrze się kamuflowała.

– Nie zmieniasz pracy? – pytał co jakiś czas Jacek.

– Nie. Teraz już na pewno nie – powiedziałam. – Niczego już nie chce mi się w życiu zmieniać. Jestem zmęczona wieczną gonitwą za czymś, co lepsze.

Miałam wrażenie, że domeną naszych czasów jest ciągły pośpiech. Codziennie pędzimy, by skoczyć wyżej, pójść dalej, mieć więcej. Jeżeli już zrealizujemy zaplanowany przez nas wcześniej cel, okazuje się, że wciąż chcemy wyżej, dalej, więcej. Całe życie jesteśmy męczeni tą gonitwą. Chciałam się zatrzymać, by móc w spokoju skupić się na swoich myślach. Może to już czas, by nie biegać za ideałami? Może ideałów nie ma?

Z pewnością nie ma, a ci, którzy wydawali się być idealni, są kryminalistami i mają dzieci, mimo iż ich wersja wydarzeń wyglądała inaczej.

– Rzućmy wszystko i jedźmy w Bieszczady – powiedział Jacek, gdy kiedyś

mówiłam mu o tym życiowym pędzie, eliminującym najślabszych zawodników.

– I co tam będziemy robić?

– Kupimy sobie kozę – zaczął mówić. – Potem ze dwie kury. Posadzimy pietruszkę, marchewkę. Może buraki też. Będziemy codziennie doić tę kozę.

– Znając twoją smykałkę do interesów, po roku będziesz miał setkę kóz, kilkadziesiąt kur, wszystko będzie zmechanizowane. – Roześmiałam się. – I zawsze będzie można mieć więcej jajek, więcej mleka i więcej buraków. I gdzie wtedy pojedziemy?

– No, wtedy pozostanie nam jakaś bezludna wyspa.

– Chyba tak.

– Pojechałabyś ze mną na bezludną wyspę? – Spojrzał na mnie z nadzieją w zielonych oczach.

Nie odpowiedziałam.

– Wiem. Mogłem nie pytać. – Zagryzł wargę.

– Dzisiaj tego nie wiem – odpowiedziałam nagle. – Ale nie mówię nie.

– To dla mnie i tak dużo – powiedział.

Nie pojechałabym z Jackiem na bezludną wyspę. Ale nad wspólną codziennością zaczęłam się zastanawiać. Miałam wrażenie, że moje przyjaciółki postanowiły wywierać na mnie jakiś zmasowany atak, przekonując, że Jacek będzie doskonałym kandydatem do tego, by się wspólnie zestarzeć. Do grona wielbicielek Jacka dołączyła moja mama.

Może w życiu jest tak, że jeżeli całe życie ktoś mówi ci, że pomidor jest warzywem, to później trudno uwierzyć w to, że jednak jest owocem. Mówi się, że

kłamstwo powtarzane wiele razy staje się prawdą.

Edyta i Alicja prześcigały się w powtarzaniu mi, jaki to Jacek jest cudowny i wspaniały. Nawet nie musiały kłamać. Faktycznie taki był. Tylko ja go nie kochałam.

Spędzaliśmy razem wieczory, często zostawał na noc. Nie mówiłam mu już co chwilę, że nasze wspólne noce nie znaczą zupełnie nic. Może znaczyły dla mnie coraz więcej? Powoli przyzwyczajałam się do myśli, że już zawsze będę się budzić i zasypiać przy Jacku. On chyba też poczuł pewnego rodzaju spokój. Nie rozmawialiśmy o przyszłości. Żyliśmy chwilą. Nasze plany były krótkodystansowe – co robimy wieczorem, gdzie jemy lunch. Potem zaczęliśmy się zastanawiać nad wyjazdem na weekend. Powoli akceptowaliśmy to, że w nieokreślonej przyszłości będziemy razem, jednak żadne z nas tego nie powiedziało.

Moja mama traktowała go jak syna. Nawet już nie protestowałam. Powoli układałam sobie ten mój świat. Świat bez Tomka, którego oglądałam codziennie uśmiechniętego na zdjęciach na społecznościowych portalach i świat z Jackiem, który z pewnością uchyliłby mi nieba, gdybym tylko tego potrzebowała.

Profesor Bogdan Wojciszke twierdzi, że „gorące uczucie można wykrzesać z siebie na życzenie nawet do kompletnie nieznannej osoby”. Podobno gdy zachowujemy się jak zakochani, zakochujemy się naprawdę. Od wielu lat psychologowie nie są zgodni i nie wypracowali żadnych norm, swoistego zestawienia cech charakteru, które gwarantowałyby powodzenie w związkach, harmonię w małżeństwie. Od cech osobowości większe znaczenie ma to, co małżonkowie robią dla podtrzymania trwałości ich związku. Może gdybyśmy dbali o ten ogień, wszystko układałoby się pomyślnie.

– Może zamieszkalibyśmy razem? – zapytał któregoś dnia. – Może się do mnie wprowadzisz?

Czułam, że prędzej czy później to zaproponuje. Ucieszyłam się nawet, że nie wyskakuje z pierścionkiem, że nie klęka przede mną, prosząc mnie o rękę, bo tego się najbardziej obawiałam. Na oświadczyły jeszcze zbyt wcześnie, nie byłam na nie

gotowa. Ale czy byłam gotowa na wspólne mieszkanie? Na wspólną codzienność, na ból głowy, comiesięczną drażliwość i bałagan, gdy nie ma się ochoty sprzątać? Czasem lubiałam być zupełnie sama, więc czy gdybym mieszkała z nim, byłoby to możliwe?

Chyba powoli zaczynałam wierzyć, że miłość potrafi przybierać różne oblicza, czasem jest namiętna, a czasem przychodzi do ciebie powoli i nieśmiało rozprzestrzenia się na całą ciebie. U mnie ten moment jeszcze nie nastąpił. Ale bardzo wierzyłam, że kiedyś przyjdzie.

Bałam się jedynie, że u Jacka nie będę czuła się jak u siebie. Zawsze będę u niego.

– A może kupilibyśmy coś wspólnie? – zapytał.

Wspólny kredyt wiąże ludzi bardziej niż małżeństwo. To wiedziałam na pewno. Nie chciałam rzucać się od razu na głęboką wodę, wolałam najpierw zobaczyć, jak się pływa tuż przy brzegu. Rozmawialiśmy o tym coraz częściej. Jacek mieszkał w czteropokojowym mieszkaniu w Jelitkowie, tuż nad samym morzem, ja miałam trzy pokoje, postanowiliśmy więc moje mieszkanie wynająć, a u niego zrobić remont. Nawet oglądaliśmy już katalogi z ceramiką łazienkową. Jacek chciał, bym była zadowolona.

Miałam wrażenie, że odgrywam rolę w jakimś spektaklu. I gdy pierwszy akt się skończy, będę mogła na chwilę wrócić do rzeczywistości, by zagrać w kolejnym, chociaż byłam już zmęczona i wcale nie miałam na to ochoty.

Nie mogłam się nawet nikomu pożalić, moja mama była zakochana w „Jacusiu”, jak go nazywała, moje przyjaciółki podobnie.

Wszyscy uśmiechnięci. Zupełnie jak na jakimś billboardzie reklamującym środki czystości. Nie wiem, dlaczego miałam takie skojarzenie.

Za każdym razem, gdy w naszych relacjach następował krok w przód, ja robiłam dwa kroki w tył. Tylko czekałam, aż coś wybuchnie i Jacek to zauważy.

Zaprosił mnie na kolację do jednej z luksusowych restauracji na starówce. Nie chciałam przyjąć zaproszenia. Bałam się, że to jest właśnie ten jeden moment, w którym nie będę umiała skłamać.

– Co to za uroczystość? – zapytałam.

– Zobaczysz.

To „zobaczysz” wydawało mi się nieco złowrogie. Nie chciałam pierścionka, nie chciałam, by prosił mnie o rękę, najchętniej uciekłabym zupełnie z jego życia.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie.

– Aniu... – zaczął.

– Jacek, nie wyjdę za ciebie – powiedziałam po prostu.

– Wiem.

– Nie dlatego chciałeś mnie tutaj zaprosić?

– Niestety, „chciałem” jest tu niewłaściwym słowem. Pewnie bym i chciał właśnie po to.

– Nie rozumiem.

– Ania, nic na siłę.

– Jak „na siłę”? – Zupełnie go nie rozumiałam.

– Czuję, że to wszystko nie jest tak, jakbyś chciała.

– Jacek...

– Ania, nie zaprzeczaj. – Pokręcił głową. – Widocznie nie jest nam pisane bycie ze sobą.

Miałam wrażenie, że Jacek daje mi kosza.

– Nie chcę cię uszczęśliwić na siłę – powiedział. – Myślałem, że uda nam się

zbudować coś razem, bardzo tego chciałem. Nadal tego chcę. Nie płacz – powiedział, widząc moje łzy.

Siedziałam bez słowa. Nie płakałam dlatego, że byłam smutna z powodu jego decyzji. Płakałam, bo było mi przykro, że nie jestem w stanie go pokochać. Płakałam, bo miał rację. Każde z jego słów było prawdziwe. Mówił o tym, co czuje, jak budzi się przy mnie rano, mówił o zwykłej codzienności.

– Nie mogę zabiegać o ciebie całe życie. – Pokręcił głową. – Nie chcę cały czas dawać siebie na tacy, nie dostając nic w zamian.

– Przepraszam – powiedziałam.

– Nie przepraszaj. – Pokręcił głową. – Sami się w tym wszystkim zagubiliśmy.

– To co, znowu bez zobowiązań? – zapytałam.

– Nie wiem, czy to nie jest błędne koło – powiedział.

– Będziemy spędzać ze sobą noce bez zobowiązań, aż się przy sobie zestarzejemy, zupełnie nie wiedząc, kiedy to nastąpiło.

– Może tak być. – Uśmiechnął się.

– Życie jest skomplikowane, prawda?

– Czy ja wiem? – Jacek się zamyślił. – Wydaje mi się, że to my je sobie za bardzo komplikujemy. Sami, na własne życzenie. Gdy jesteśmy młodzi i nie znamy życia, zakochujemy się dużo łatwiej. Może dlatego, że nie mamy porównania? Gdy zaczynamy pić alkohol, fascynujemy się zwykłym jablem ze sklepu nocnego. Potem, gdy jesteśmy dorośli, zadowala nas tylko siedmiogwiazdkowa metaxa.

– A co, jeżeli zdecydujemy się na to tanie wino, a potem przez przypadek skosztujemy dobrego koniaku?

– Chyba jeżeli już podejmiemy decyzję, że do końca życia będziemy pić tanie wino, nie wolno nam próbować niczego innego. To się nazywa wierność.

– Sugerujesz, że spróbowałam zbyt wielu rzeczy?

– Nie wiem, czy „zbyt wielu”. Ale na pewno poznałaś wielu mężczyzn. Już wiesz, co cię do nich przyciąga, a co odrzuca. Wiesz, co jesteś w stanie zaakceptować, a co nie.

– Jacek, ale to nie jest tak, że w życiu sam sobie sklejasz model z idealnych części.

– Tak, czasem ten model się dopasowuje.

– Właśnie.

– Ale istnieje też ryzyko, że gdy za bardzo chcesz go zmienić, przestanie funkcjonować tak, jak został zaprogramowany.

– To znaczy?

– Gdy masz piękny samolot i obetniesz mu skrzydła, nie będzie mógł latać.

– Mówisz o sobie?

– Może trochę.

– Ale ja nie chciałam cię zmieniać. – Pokręciłam głową. – Nie chciałam ci obcinać skrzydeł.

– Ania. Ja cię bardzo kochałam. Ja sam chciałam sobie te skrzydła obciąć. Dla ciebie.

– Obciąłeś?

– Nie. Zrozumiałem, że nie tędy droga. Może tylko trochę je połamałam.

– Przepraszam...

– Takie życie.

– A ty nie poznałaś wielu kobiet? Nie zrobiłaś się wybredny?

– Zrobiłam. Bardzo.

– To dlaczego ja?

– Dlaczego? Jesteś dla mnie siedmiogwiazdkową metaxą. Po prostu.

Ta rozmowa była dla mnie bardzo trudna. Czułam, że to koniec. Koniec czegoś, co tak naprawdę jeszcze w ogóle się nie zaczęło. Było mi cholernie źle. Najchętniej przytuliłabym Jacka, powiedziała, by się nie martwił, swoim zwyczajem zaczęła go prowokować i znowu skończyłoby się to w łóżku. Ale ile można?

Seks zaczynał być przeze mnie traktowany jak ciastko z kremem, na które oboje mieliśmy ochotę i którego zjedzenie ma pewne konsekwencje. Jedno ciastko może nie zmieni wiele w twoim życiu, ale gdy zaczynasz je jeść codziennie, na pewno wywiera wpływ na wiele rzeczy.

Dokończyliśmy kolację.

– Mogę zapłacić? – zapytałam. Chciałam mu się chociaż tak zrewanżować.

– Ja zapraszałem – powiedział. – Jakbym chciał, żebyś ty płaciła, musiałbym ci szybko dać podwyżkę. A nie planuję tego. – Roześmiał się.

Ja się nawet nie uśmiechnęłam.

– Jacek – zaczęłam cicho. – W tej sytuacji nadal chciałbyś, bym u ciebie pracowała? – zapytałam wprost.

Chwilę siedział w milczeniu.

– Nie wiem. – Pokręcił głową. – Tego nie wiem.

– Myślisz, że to byłoby dobre, gdybyśmy codziennie spotykali się w pracy?

– Nie wiem. Ale naprawdę cholernie się boję, że jak nie będziemy razem pracować, to już nigdy cię nie zobaczę. I wiem, że to dla mnie byłoby dużo lepsze, ale...

– Jacek...

– Nie przerywaj mi. Wiem, że teraz pewnie chcesz powiedzieć, że tak

przecież nie będzie, że zostaniemy przyjaciółmi, że przecież byliśmy sobie bliscy. Nie, Ania. To tak nie działa, nie zostaniemy przyjaciółmi.

– Jacek – próbowałam coś powiedzieć. – Jesteśmy przyjaciółmi.

– Nie wierzę w przyjaźń pomiędzy kobietą a mężczyzną. – Jacek pokręcił głową. – Sama widzisz, co z takiej przyjaźni wynika.

– Seks.

– Seks, niespełnione marzenia, zaangażowanie się jednej strony.

– Miłość?

– Czasem miłość. Gorzej, jak bez wzajemności.

– Przepraszam. – Spuściłam głowę.

– Nie masz za co mnie przeproszać. – Pokręcił głową. – Pewnie mógłbym długo udawać, że wszystko jest w porządku. Do czasu, aż byś się zakochała.

– W tobie?

– Gdyby we mnie, nie byłoby problemu. Jednak podejrzewam, że szybko znalazłabyś swoją siedmiogwiazdkową metaxę.

– I zapomniałabym o tanim winie?

– Chyba tak.

– Smutno mi.

– Mnie też. Ale każdy koniec jest nowym początkiem.

– Tak mówią.

– Tak jest.

Odprowadził mnie do domu.

– Wejdiesz? – zapytałam. Jak zawsze.

Przez chwilę nic nie mówił.

– Nie. Tym razem nie.

– To naprawdę koniec – powiedziałam.

– Chyba tak.

Siedzieliśmy w samochodzie przed moim domem. Wzięłam jego dłoń w swoje ręce i chwilę ją przytrzymałam.

– Idę. Dziękuję za wszystko.

– Pa.

Weszłam do mojego mieszkania. Z jednej strony chciałam wyrzeć przez okno, zawołać Jacka, by jednak przyszedł, ale w zasadzie po co? Chyba było mi go żal. Ale czy powinnam być z kimś z litości?

Napuściłam sobie wody do wanny. Zapaliłam świeczkę. Zobaczyłam, że Alicja próbuje się do mnie dodzwonić. Nie miałam ochoty z nią teraz rozmawiać. Bo i po co? Co miałam jej powiedzieć? Że znowu zostałam sama? Nie chciałam teraz z nikim rozmawiać.

Odczuwałam wielką pustkę. Samotność. Może też będę kiedyś zakochana, jak moja mama. Ale kiedy? Dawno temu wierzyłam, że życie zawsze poukłada się według naszej myśli. Że to zupełnie normalne, że będę miała męża i dzieci. Po prostu byłam pewna, że taka jest kolej rzeczy. Niestety, jak widać, nie zawsze. Wyszłam z wanny, owinęłam się puchowym ręcznikiem. W domu panowała cisza. Cisza, której Alicja i Edyta tak mi zazdrościły.

Kiedy spotykałyśmy się u mnie w domu, bardzo często nie włączałam nawet muzyki.

– Ograniczam ryzyko usłyszenia w radiu Justina Biebera czy innego tam – mówiła Alicja.

– Ja Biebera jeszcze znoszę – odpowiadała na to Edyta. – Na mnie gorzej działa dźwięk wszelakich zabawek, które moje dzieci tonami dostają po swoich kuzynach. Niestety, zanim moja rodzina obdarowała nas tymi sprzętami, wkładała tam zupełnie nowe baterie. Czy wy wiecie, ile one wytrzymują? Długo! Za długo.

Dlatego czasem siedziałyśmy w ciszy, sącząc wolno jakiś alkohol albo w zależności od tego, która z nich jeszcze karmiła, rozliczne inne napoje w odróżnieniu od trunków wpływające pozytywnie na zdrowie kobiety.

Czasem, gdy dzwoniłam do Alicji i pytałam, co robi, mówiła:

– Chłonę samotność.

Nie rozumiałam jej zupełnie. Mówiła to w taki sposób, jakby samotność była dla niej największym skarbem. Czymś, co jest bardzo rzadko spotykane w świecie. W jej świecie. W moim była chlebem powszednim. Zagłuszałam ją muzyką lub gadającymi głowami w telewizorze. Nie potrafiłam nawet zasypiać w ciszy. Jacka bardzo to denerwowało. Lubiłam telewizor w sypialni. Nie patrzyłam w jego stronę, ale nawet gdy czytałam książkę, coś gadało w tle.

– Kota sobie kup – powiedziała kiedyś Edyta. – Nie będziesz już samotna.

Nawet przez chwilę myślałam o kocie.

– Stara panna z kotem – powiedziała moja mama. – Daj sobie, dziecko, spokój. Kota zawsze zdążysz mieć.

Jeszcze niedawno, gdy spałam wtulona w Tomka na statku w zatoce Ha Long, miałam wrażenie, że mam wszystko. Nie zdawałam sobie sprawy, jaka byłam wtedy szczęśliwa. Dzisiaj nie zostało mi po tym szczęściu nic oprócz pereł na szyi. Ich ciężar przypominał mi o tamtych dniach i nocach.

Gdy zamknęłam oczy, obok zimnego sznura peret niemalże czułam dotyk jego ciepłych dłoni. Przypominałam go sobie każdego dnia i każdej nocy.

Włączyłam telewizor. Z kanału, na którym ktoś mówił o polityce, przełączyłam na jakiś kanał lajfstajlowy. Cztery kobiety rozmawiały właśnie o samotności. Piękne, zgrabne, wykształcone.

Podobno jest nas coraz więcej. Dlaczego? Padały tam różne argumenty. Między innymi taki, że kobiety musiały stać się bardziej męskie, a mężczyźni bardziej kobiecy. I chcąc nie chcąc, nam kobietom zupełnie przestało się to podobać. Metroseksualność opanowała świat. Ja potrzebowałam typowego macho, wikinga, który zaopiekuje się mną niczym księżniczką, a ja będę udawała, że naprawdę potrzebuję tej opieki.

Ale takich wikingów jest coraz mniej.

Założyłam na szyję perły. Prezent od „wikinga”, który okazał się niewłaściwym obiektem do lokowania uczuć. A może my, kobiety, właśnie dlatego jesteśmy takie durne, że lubimy „złych chłopców”? Ale dlaczego? Chcemy ich sprowadzać na dobrą drogę?

Mój, a właściwie nie mój, „zły chłopiec” nie dość, że miał jakiś wyrok na karku, to jego niedoszła żona okazała się matką „naszej księżniczki”. Najchętniej zerwałabym te perły i rzuciła w kąt.

Poszłam do kuchni. Wyjęłam wino z szafki i korkociąg z szuflady. Próbowałam otworzyć, ale cały korek mi się pokruszył. Co, do cholery, jest takiego fajnego w samotności? Nawet wina nie można sobie otworzyć. Przez chwilę walczyłam z butelką. Podobno trzeba utracić szyjkę. A potem co? Przełać przez sitko, gazę czy ryzykować wizytę na pogotowiu? Wzięłam nóż i próbowałam za pomocą tłuczka do mięsa wcisnąć korek do środka. Po chwili się udało. Największy sukces życiowy – otworzyć wino w samotności.

Przerażające.

Wzięłam telefon do ręki. Alicja dzwoniła raz, a Edyta trzy razy. Coś się stało?

Spróbowałam zadzwonić do Alicji. Znowu nie odbierała. Pewnie przyjmowała na świat liczne efekty upojnych nocy polskich obywateli.

Zazdrościłam każdemu.

Edyta odebrała natychmiast.

– Jestem w ciąży – powiedziała od razu.

– Gratulacje!

Naprawdę czułam radość. Przynajmniej komuś się to w życiu udaje.

– Anka, jestem przerażona – mówiła Edyta.

– Nie ty pierwsza i nie ostatnia.

– Ale ja mam prawie czterdzieści lat!

– Jak cały czas mi powtarzałyście, to już ostatni dzwonek, by zostać matką. Kłamałyście?

– No, może trochę przesadzałyśmy – przyznała Edyta. – Chociaż Alicja mówi, że mam być spokojna.

– To mówi Alicja, twoja przyjaciółka czy Alicja, twój ginekolog?

– Nie wiem. Chyba dwa w jednym. Ale tak cholernie się boję!

Też bym się bała. Ale najwyraźniej macierzyństwo nie było mi pisane. Może świat miał wobec mnie inne plany. Na pewno moim zadaniem nie był udział w zwiększaniu przyrostu naturalnego.

Usiadłam w fotelu, przykryłam się kocem i spokojnie zaczęłam się

zastanawiać nad moją sytuacją.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że wraz z życiem uczuciowym legło w gruzach moje życie zawodowe. Oczywiście wiele razy słyszałam, że romansowanie w pracy nie jest dobrym pomysłem. Musiałam się o tym przekonać na własnej skórze. Może w końcu nauczę się życia.

– Jacek, daj mi chwilę na znalezienie nowej pracy, dobrze? – poprosiłam go.

– Nie musisz niczego zmieniać – powiedział.

– Chyba muszę.

– Bo?

– Czuję, że powinnam.

– Tyle lat już tu pracujesz! Jeżeli o mnie chodzi, to nie ma problemu. – Nie patrzył mi w oczy. – Dobrze mi się z tobą pracuje.

Tym razem na mnie spojrzał. Zobaczyłam w jego oczach smutek.

– Dostałem zaproszenie na fajną imprezę. Za kilka dni – powiedział. – Może poszłabyś ze mną?

– Jacek...

– Dobra, nic nie mówiłem. Masz rację. To tak, jak wiecznie rozdrapywać stare rany.

– Nie takie stare – powiedziałam.

– Właśnie. Nawet nie stare.

– Nie szukaj, proszę, nowej pracy do czerwca, dobrze?

– Do czerwca?

– Jeszcze ci o tym nie mówiłem, ale w firmie będą pewne zmiany. Chciałbym, byś mi pomogła.

– Jasne. Powiesz coś więcej?

– W swoim czasie. Będę rozmawiał o tym właśnie na tej imprezie.

– Nie wiem, Jacek. Jak będę ci potrzebna, pójdę. Ale wolałabym...

– Jasne. Nie mogę się do tego po prostu przyzwyczaić. Zawsze byłaś tuż obok. I tak szybko wszystko się zmieniło.

Zajrzałam jeszcze raz na facebookowy profil Tomka. Nie zaglądałam tam od kilku dni. Pojawiło się kolejne zdjęcie wstawione przez niejaką Martę Biegajską-Nowak. Ot, niespodzianka. Jednak była jego żoną.

„Z kochanym wujkiem” – brzmiał podpis pod fotografią.

Jak to z wujkiem? Jakim wujkiem? Jakim, do cholery, wujkiem?

Zaczęłam przeglądać Facebooka Marty Biegajskiej-Nowak. Dużo zdjęć dziecka. Ale też całkiem sporo z jakimś mężczyzną. Krzysztof Nowak.

Zdjęcie ślubne. Razem ze świadkami. Jednym ze świadków był Tomasz.

Kilka zdjęć panny młodej z różnymi gośćmi. Na jednym z nich Tomasz.

Podpis: „Z moim kochanym braciszkiem”.

Nie wierzę.

Po prostu nie wierzę.

Tyle czasu byłam pewna, że to jego dziecko. A to najwyraźniej dziecko jego

siostry!

Szukałam dalej jak szalona. Dlaczego wcześniej tego nie zrobiłam?

Nigdy nie korzystałam z przekonaniem z Facebooka, po prostu nie było takiej potrzeby. Miałam wrażenie, że tam nie ma nic innego niż tematy polityczne, koty, dzieci i zdjęcia wynalazków ogrodniczych Alicji. Prawdę mówiąc, nie byłam żadnym z tych problemów specjalnie zainteresowana.

Dzisiaj okazało się, że na Facebooku mogę dowiedzieć się wielu bardziej istotnych rzeczy. Napiłam się wina.

Co ja powinnam zrobić? Napisać do niego? Umówić się?

Kliknęłam „dodaj do znajomych” i od razu tego pożałowałam. Na Facebooku nie używałam swojego prawdziwego imienia i nazwiska. Wiem, że to niezupełnie zgodne z regulaminem, ale byłam trochę przewrażliwiona na punkcie ochrony własnej prywatności. Dlaczego Tomasz ma przyjąć do znajomych jakąś Ann Kate z Krakowa. Przecież ja nie byłam z Krakowa! Żadnych zdjęć profilowych, w ogóle żadnych zdjęć. Skąd miał wiedzieć, że to ja? Może za szybko kliknęłam „dodaj do znajomych”. W gorącej wodzie kąpana...

Wyciągnęłam telefon.

– To nie jego dziecko! – krzyknęłam w słuchawkę.

Po drugiej stronie cisza.

– To nie jego dziecko! Jak ja się cieszę!

Alicja chrząknęła.

– Jest u mnie właśnie Edyta – powiedziała. – Jesteś na głośniku i prawdę mówiąc...

– Jak to nie jego dziecko? – zapytała cicho Edyta. – To niemożliwe.

– Oj, wy obie jesteście głupie – zdenerwowałam się.

– A ty lepsza... – usłyszałam Alicję. – Mów.

– To dziecko jego siostry!

Edyta najwyraźniej nic nie rozumiała, bo usłyszałam jej westchnienie.

– Słuchaj, może potem zadzwonisz? – zapytała Alicja. – Mam właśnie Edytę na fotelu i nie bardzo możemy rozmawiać.

– Jezu, dziewczyny, wy nic nie rozumiecie! Tamte nóżki to nie były jego córki, tylko córki jego siostry!

Alicja nadal sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

– Ale chodzi ci o Edytę?

– Nie! O Tomka!

– Daj mi telefon. – Usłyszałam. – Ty mi tam sprawdzaj, co trzeba, bo ile można, a ja z nią pogadam.

– To znaczy, że ty rozmawiasz w trakcie, jak ona ci zagląda pod kieckę?

– Właśnie tak – odpowiedziała Edyta.

– Matko, to już jakieś szczyty intymności.

– Oj tam. Wcisnęłam się pomiędzy pacjentami i nie ma czasu – wyjaśniła szybko Edyta. – Mów od początku, bo jak na razie w naszym życiu najważniejsze jest jedno dziecko, właśnie to, które teraz oglądamy na monitorze. – Na chwilę ucichła, po czym głośno zaczęła krzyczeć. – O Boże, Ania, ale serce mu bije! Słyszysz? – Po chwili usłyszałam głośne dudnienie.

– Słyszę! – powiedziałam. – Edzia, zadzwoń do mnie, jak ochłoniesz. – Uśmiechnęłam się.

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie poczułam ukłucia igiełki zazdrości. Poczułam całą sobą. Edyta cieszyła się z trzeciego dziecka, Alicja miała już dwoje, a ja nie miałam żadnych szans. Cóż. Statystycznie każda z nas miała

prawie dwójkę. Czyli wszystko w normie i gatunek ludzki miał szansę na przetrwanie.

Edyta zadzwoniła dopiero po kilku godzinach.

– Dobra, mów mi teraz dokładnie, kto jest ojcem, kto nie jest ojcem, bo z Alicją zupełnie nic nie rozumiemy.

– Od początku. – Westchnęłam.

Opowiedziałam Edycie o moim odkryciu w kwestii Tomka.

– To co teraz? – zapytała.

– No właśnie, co teraz? Pisać do niego?

– A nie przeraża już cię wizja kryminalisty u twojego boku?

– Nadal przeraża – przyznałam.

– To nie pisz.

– Ale nieco mniej – powiedziałam.

– To pisz.

– Ale mi poradziłaś. – Roześmiałam się.

– Kobieta zmienną jest. A szczególnie ta w ciąży.

Napisałam do niego kilka słów. Wyjaśniłam, że to ja, zapytałam grzecznie, czy mnie jeszcze pamięta. Po chwili dopisałam, że zgubiłam kartę SIM i nie

mogłam się z nim skontaktować i że dopiero teraz znalazłam go na Facebooku. Miałam ochotę jeszcze coś napisać, cokolwiek, ale nie odpowiadał, więc chyba było to bez sensu. Powinnam poczekać, aż przy moich słowach pojawi się znaczek, że odczytał te wiadomości. Sprawdzałam co chwilę. Najwyraźniej nie zaglądał często na Facebooka.

Czułam olbrzymią ulgę, że to jego siostrzenica. Tylko niech, do cholery, się do mnie odezwie.

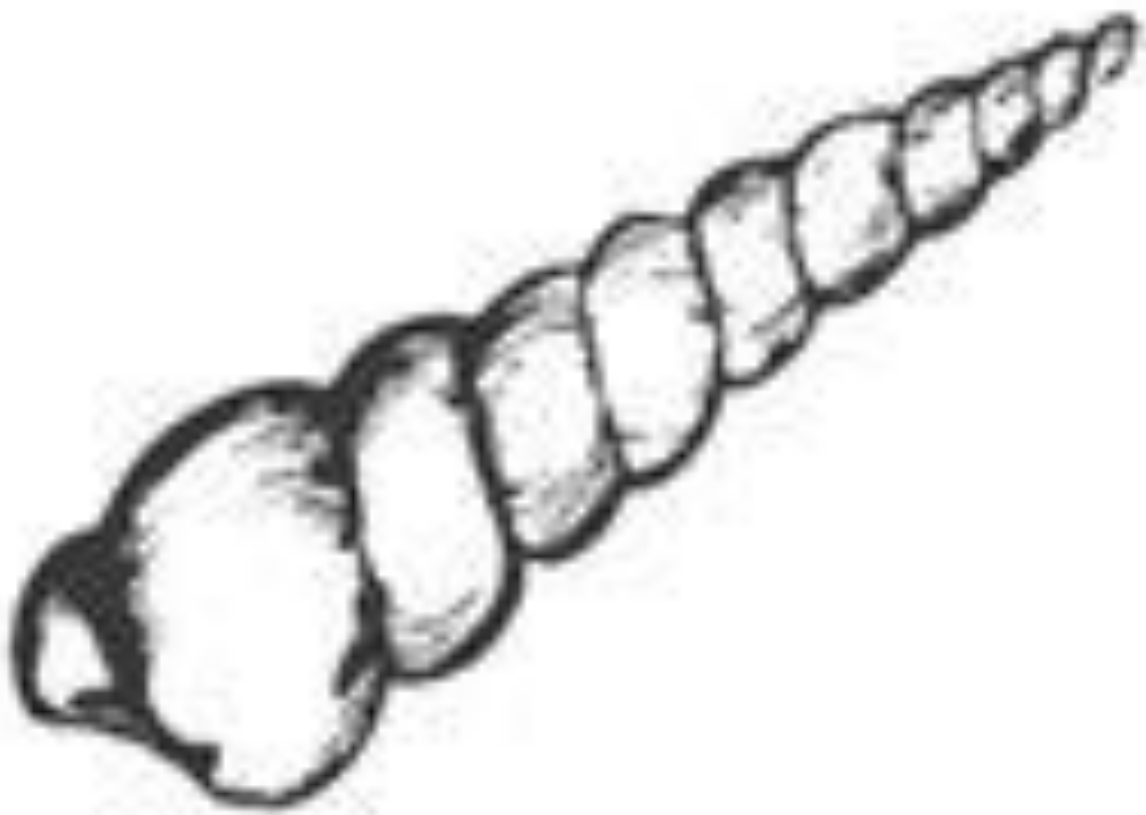
Od powrotu z Wietnamu minęły już trzy miesiące. Wydarzyło się tyle i dobrych, i złych rzeczy. Chociaż zastanawiam się, czy cokolwiek, co zdarzyło się przez ostatnie miesiące, było złe. Próbowałam bawić się w dom, nie wyszło. Z każdego doświadczenia życiowego trzeba wyciągnąć wnioski. Może jednak psychologowie nie mają racji z tym, że jak się udaje zakochanego, to miłość w końcu przychodzi. A może to ja udawałam zbyt mało przekonująco? Nigdy nie byłam dobrą aktorką. Jacek w końcu się na tym poznał.

Z jednej strony było mi bardzo przykro, a z drugiej czułam, że po burzy przychodzi spokój. Miałam wrażenie, że już za chwilę zza ciemniejszych chmur mojego życia wyjdzie długo oczekiwane słońce.

Jednak wciąż denerwowało mnie to, że Jacek był niezdecydowany jeżeli chodzi o unormowanie naszych wzajemnych relacji. Jednego dnia niemalże nie zwracał na mnie uwagi, mijając mnie na korytarzu, kolejnego zapraszał mnie na wino do swojego gabinetu pod pretekstem omawiania spraw firmowych.

Czułam się jak na huśtawce. Huśtawce, na której nie miałam ochoty się bujać. Chciałam się zatrzymać, by z niej zejść i pójść w zupełnie innym kierunku. Póki co zobowiązania zawodowe nie pozwalały mi opuścić huśtawki. Mogłabym co najwyżej z niej spaść. Ale to z pewnością nie skończyłoby się dla mnie dobrze.

4



Trzeba się uczyć, żeby znać, trzeba iść, żeby dojść

powiedzenie wietnamskie

Jacek zadzwonił do mnie w sobotni poranek. Nie odebrałam za pierwszym razem.

Miałam fatalny humor, bo zajrzałam na Facebooka i okazało się, że Tomek w dalszym ciągu nie odczytał wiadomości ode mnie. A może odczytał, tylko nie chciał, bym o tym wiedziała? Może chwile spędzone w Wietnamie tylko dla mnie były tak ważne, a on traktował je jak rozrywkę z kolejną zabawką, którą znalazł sobie po stracie narzeczonej?

Kiedy teraz o tym myślę, nie mogę się nadziwić, jaką wybujałą fantazję może mieć kobieta. Potrafi wymyślić miliony scenariuszy, ale żaden z nich nie ma najmniejszego związku z rzeczywistością.

Telefon zadzwonił po raz drugi. Po co on dzwoni w sobotę rano? Przecież mam wolne i naprawdę nie mam obowiązku odbierać telefonu od szefa.

W sobotę mój szef, były kochanek i niedoszły partner życiowy mógł chcieć zabrać mnie tylko na jakąś imprezę pełną nadętych facetów w garniturach, którzy dodają sobie blasku żonami (bądź nieżonami) w kreacjach od najlepszych projektantów.

Miałam rację. Gdy zadzwonił drugi raz, odebrałam.

– Aniu, to co z tą imprezą, na którą jesteśmy zaproszeni...

– Jacek. Ty jesteś zaproszony. – Najwyraźniej miał dziś nastrój, w którym huśtawka ze mną na pokładzie bardzo się do niego zbliżała.

– Ale z tobą – powiedział.

– Jacek... Ustaliliśmy pewne zasady.

– Ania, pójdziemy, trochę się pobawimy, zjemy coś dobrego. Nic więcej.

– Nie, Jacek. – Westchnęłam – Rozmawialiśmy już o tym wielokrotnie. Nie będę z tobą chodziła na imprezy. Może poznasz kogoś nowego...

– Ania. Proszę...

– Nie. Wieczór będę spędzała przed telewizorem, objadając się lodami prosto z pudełka.

– Zadzwon, jak zmienisz zdanie. – Westchnął.

– Nie zmienię – powiedziałam stanowczo.

Och, jakże się myliłam.

Kilka godzin później zajrzałam znowu na Facebooka. Oczywiście w dalszym ciągu nie przeczytał wiadomości ode mnie.

Przejrzałam kilka stron internetowych, czytając aktualności, i natknęłam się na informację o planowanej na ten wieczór dużej imprezie nad Motławą.

„Już w najbliższą sobotę luksusowe jachty i katamarany zacumują przy nabrzeżu. Prawdziwe święto luksusu przyciągnie wielu znamienitych gości”.

Tak, to ta impreza, na którą chciał wyciągnąć mnie Jacek. Miałam rację. Piękne kobiety i bogaci mężczyźni. Kliknęłam na pierwsze zdjęcie. Potem kolejne i kolejne. I nagle zamarłam. Zdjęcie przedstawiało uśmiechniętego Tomka na tle wielkiego jachtu.

„Na zdjęciu Tomasz Biegajski, prezes firmy TB Yacht”.

Zrobiło mi się słabo. Tomek. Mój Tomek.

Musiałam być na tej imprezie. Musiałam z nim porozmawiać, wyjaśnić pewne rzeczy.

Zawsze uważałam, że jeżeli kogoś kochasz, powinnaś zrobić wszystko, by on się o tym dowiedział. Powinnaś zrobić wszystko, co możliwe, jeżeli chcesz spędzić z nim kolejne chwile swojego życia. Kochałam Tomka. Czy można zakochać się w kimś, gdy zna się go zaledwie kilka dni? Najwyraźniej tak.

Wyciągnęłam telefon i wybrałam numer Jacka.

– Jednak pójdę z tobą – powiedziałam bez żadnych wstępów.

– Skąd ta zmiana planów? Nie było lodów w sklepie?

– Nie wiem. – Uśmiechnęłam się. – Po prostu plany są po to, by je zmieniać.

– Miałam wyrzuty sumienia, że wykorzystuję Jacka do realizacji swoich celów.

– Przypomnę ci o tym następnym razem – powiedział.

Czułam się podle. Jacek się cieszył, że zdecydowałam się wyjść z nim wieczorem, a ja szłam tam tylko po to, by spotkać innego mężczyznę. Ot, ironia losu.

Dawno tak nie przygotowywałam się do wyjścia. Nawet udało mi się wcisnąć do fryzjera między klientkami. Jeszcze makijaż i paznokcie. Uśmiechnęłam się do swojego odbicia w lustrze. Podobałam się sobie. Jeżeli spodobałam mu się

w Wietnamie, bez makijażu, w starych trampkach i znoszonej sukience, to teraz z pewnością będzie oczarowany.

Jacek przyjechał po mnie po dwudziestej. Jak zawsze elegancki, pachnący. Zupełnie nie wiedziałam, dlaczego nie potrafię go kochać. Przecież był ideałem mężczyzny. Czasem tak jest, że ideały zupełnie nas nie pociągają.

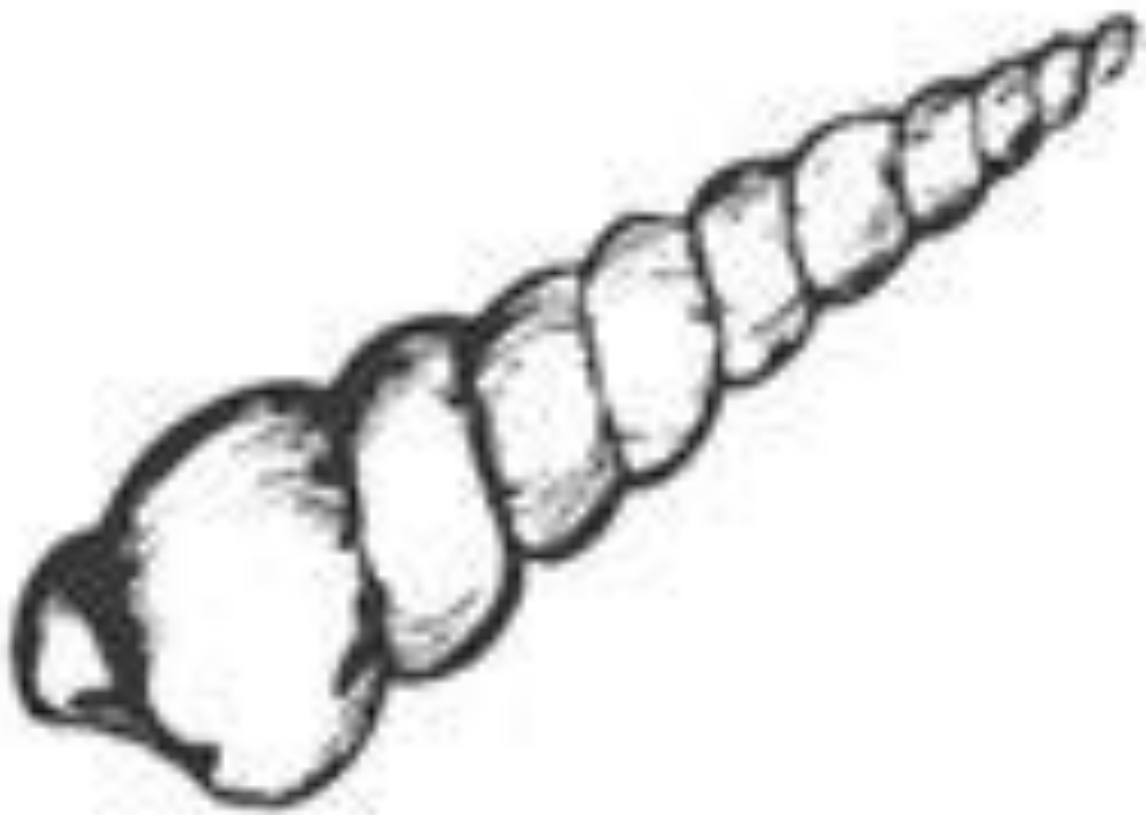
– Wyglądasz jak milion dolarów – powiedział. – Zupełnie nie spodziewałbym się tego po naszej porannej rozmowie.

– Ja również. – Uśmiechnęłam się. – Na wieczór miałam już przygotowany dres.

– W dresie też wyglądasz jak milion dolarów. Kiedyś widziałem.

– Jak pól. – Roześmiałam się.

5



Słowa nic nie kosztują. Dobieraj je starannie, żeby wszyscy byli szczęśliwi

powiedzenie wietnamskie

Na Wyspę Spichrzów dotarliśmy tuż przed dwudziestą pierwszą. Impreza już się zaczęła. Byłam zaskoczona jej rozmachem. Eleganckie hostessy, twarze znane z portali plotkarskich, aktorzy i celebryci. Właśnie wszystkich witano. Nerwowo rozglądałam się, szukając Tomka. Nie mogłam go znaleźć. Przecież skoro napisali, że będzie, to powinien się zjawić? Najwyraźniej był na tyle ważny, że na portalu podkreślono jego obecność tutaj.

Jacek przedstawił mnie kilku osobom, potem dołączyliśmy do okrągłego barowego stolika, gdzie stali zupełnie nieznanymi mi mężczyźni. Przez chwilę kurtuazyjnie porozmawialiśmy, sącząc szampana, a potem zeszło na tematy, które nie leżały w sferze moich zainteresowań, więc przeprosiłam i postanowiłam się przejść. Przecież po to tu przyszłam. Sięgnęłam po kieliszek z szampanem. Obok mnie stała młoda kobieta w jedwabnej czerwonej sukience. Kogoś mi przypominała.

– Napije się pani? – zapytał kelner, przechodząc z tacą pełną kieliszków ze złotym musującym płynem.

– Nie, dziękuję. – Uśmiechnęła się.

Gdy zobaczyła, że się jej przyglądam, dodała:

– Mam małe dziecko w domu. Jeszcze karmię. To pierwsze moje wyjście bez niej. Czuję się trochę niezręcznie, dzwonię co chwilę do mamy, potem do męża, ale najchętniej to już bym wróciła do domu. – Roześmiała się. – Z jednej strony wolność, a z drugiej ograniczenie. Nie dogodzisz kobiecie. Ma pani dzieci?

– Niestety nie. – Pokręciłam głową.

Dziewczyna spojrzała na mnie wnikliwie.

– Gdy byłam w ciąży, myślałam, że jak już urodzę, przestanę się w końcu martwić. Dowiem się, że jest wszystko OK, że jest zdrowe, a tak naprawdę to dopiero początek. Ta psychiczna pępowina nigdy nie zostaje odcięta. Chyba nawet wtedy, gdy dziecko jest dorosłe. Dla matki dziecko zawsze jest małym, zupełnie nieporadnym bobasem, o którego trzeba się troszczyć. Ot, na przykład moja mama w znowiu z moim bratem wyciągnęli mnie na tę imprezę. Nikogo nie znam, nie za bardzo rozumiem ten świat, ale obiecałam im, że postaram się dobrze bawić. A tak naprawdę zupełnie nie potrafię się zrelaksować.

– Jednak przydałby ci się szampan. – Roześmiałam się. – Zdecydowanie poprawia stan zrelaksowania. Piję już chyba drugi kieliszek.

– Chyba tak. Ale cóż. Są chwile w życiu, gdy pijesz szampana i są chwile, gdy nie możesz go pić.

– Wiele oddałabym za takie momenty. – Westchnęłam. – Ale cóż mi pozostaje? – Sięgnęłam po trzeci kieliszek. – Pić szampana. Twoje zdrowie – dodałam.

– Sama tu jesteś? – zapytała dziewczyna.

– Nie. Z moim szefem – powiedziałam. – A tak naprawdę kogoś szukam, miał tutaj być, ale chyba go nie ma.

– Może powinnaś się przejść? – zaproponowała. – Może go jednak spotkasz?

– Dobry pomysł. Miłego wieczoru.

– Wzajemnie – powiedziała. – I powodzenia w poszukiwaniach.

Skierowałam swoje kroki w stronę brzegu Motławy. Stała tam grupka osób, mężczyźni w drogich garniturach i kobiety w cudownych sukienkach. Właśnie odbywał się pokaz mody. Na początku miały być prezentowane suknie, a potem bielizna i stroje kąpielowe. Wokół sceny gromadziły się w zasadzie same kobiety. Z pewnością nie było tam Tomka. Poszłam dalej. Tuż przy rzece stało kilku mężczyzn i podziwiali luksusowe jachty. Można było nawet wejść na każdy z nich i przez chwilę poczuć się królem świata. Bliżej ulicy ustawiono rząd luksusowych samochodów. Świat blichtru i bogaczy. Może tam jest Tomek?

Nie.

Poszłam w stronę baru i zginęłam w tłumie. A raczej starałam się odnaleźć w nim Tomka. Bezskutecznie.

Ta dziewczyna miała rację. Niektórzy nie mogą pić szampana po to, by inni mogli go pić. Kolejny kieliszek. Jeszcze kilka i stanę na scenie obok modelek i po prostu zapytam przez mikrofon, czy on, do cholery, tutaj jest. Bo co miałam robić?

Postanowiłam poszukać Jacka. Chciałam już wracać do domu. Nie interesował mnie ani pokaz mody, ani damska bielizna, ani tym bardziej luksusowe samochody. Jednak opcja pozostania w domu pod kocem była dużo lepsza. Jeśli Jacek nie będzie chciał albo mógł wrócić, po prostu pojedę sama.

Tym razem nie mogłam znaleźć Jacka. Minęłam z daleka dziewczynę w jedwabnej sukience. Nie była sama. Stała z jakimś mężczyzną odwróconym do mnie plecami. Skinęłam jej ręką. Pomachała mi. Mężczyzna się odwrócił, żeby zobaczyć, komu macha.

Tym mężczyzną był Tomek.

Nie mogłam w to uwierzyć.

Stanęłam jak wryta. On również. Powiedział coś do dziewczyny i zaczął szybko iść w moją stronę. Potem zaczął biec, jakby się bał, że zaczną uciekać. Przez chwilę nie mogłam się ruszyć. Serce kołatało mi jak szalone.

Stanął przede mną. Nic nie powiedział. Spojrzał na mnie, jakby pytając, czy może mnie przytulić. Pokiwałam głową. Wtuliłam się w niego z całej siły. Miałam wrażenie, że już nic nie jest istotne. W tamtej sekundzie czułam, że wszystko się ułoży. Wszystko było na swoim miejscu. Wziął moją twarz w swoje dłonie.

– Ania, nie wierzę, że to ty. I to w momencie, kiedy zastanawiałem się, czy szukanie ciebie ma jeszcze sens. Nie zadzwoniłaś... – powiedział. – Czekałem. Szukałem cię wszędzie. Nawet kazałem mojej siostrze przeglądać stare CV, które napłynęły do firmy przed dziesięcioma laty, z nadzieją, że cię znajdzie. Od tygodni sprawdzam wszystkie Anny. Ale żadna z nich nie była tobą.

– Wyrzuciłam kartę SIM – przyznałam.

– Ale dlaczego? – zdziwił się.

– Długa historia. Kiedyś może ci opowiem.

– Przez ten faks. – Zamyślił się. – Nie dałaś mi szansy, by ci wszystko wytłumaczyć.

– Przepraszam – powiedziałam cicho.

– Daj mi swój numer telefonu. Teraz – powiedział. – Bo jeszcze niczym Kopciuszek zwiejesz mi o północy, gubiąc pantofelek.

– Takie rzeczy tylko w bajkach. – Pokręciłam głową. – W prawdziwym życiu nie zostawia się nawet pantofelka, a na dodatek wyrzuca się kartę SIM.

– Nie uciekaj mi, dobra? – poprosił. – Obiecuj, że nie uciekniesz, zanim nie porozmawiamy. O wszystkim. O tym cholernym faksie, o karcie SIM i jeszcze kilku innych sprawach. – Patrzył na mnie z nadzieją. – Najchętniej bym cię złapał i nie wypuścił. Albo do siebie przywiązał. Jeszcze kilka innych rzeczy chciałbym z tobą zrobić, ale tutaj nie wypada.

Nie zauważyliśmy, kiedy podeszła do nas dziewczyna w jedwabnej sukience.

– Widzę, że chyba się znacie. Czy znalazłaś swoją zgubę? – zapytała niepewnie.

Tomek puścił moją rękę, ale objął mnie w pasie.

– To Marta – powiedział. – Moja siostra – przedstawił ją. – A to Ania.

– Ania? Ta Ania? – zapytała ze zdziwieniem. – Ta, która ostatnio spędza nam sen z powiek?

– Właśnie ta Ania. – Tomek mnie przytulił.

– O matko! Czyli akcja pod tytułem „szukamy kobiet o imieniu Ania, które wysyłały nam swoje CV od początku świata do teraz” zawieszona?

Tomek uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Naprawdę mnie szukałeś? – zapytałam. – Nawet kazałeś przeglądać stare CV?

– Szukałem – potwierdził Tomek. – Marta, cała akcja poszukiwawcza odwołana. – Odetchnął z ulgą. – Nareszcie. No chyba że znowu mi uciekniesz. – Uśmiechnął się. – Chociaż teraz najchętniej bym cię wylegitymował, by można było szybko cię znaleźć. Chociaż związanie byłoby lepszym pomysłem.

– Nie wygląda na taką, która miałaby zamiar uciekać. – Marta pokręciła głową.

– Czasem pozory mylą – stwierdził Tomek. – Ale ja już nie dam jej uciec.

– Ja ci w tym pomogę – powiedziała Marta. – Czasem, gdy mój brat chce coś osiągnąć, potrafi być bardzo upierdliwy. A ja mam trochę dość. Nawet Facebooka sobie założył tylko po to, by cię znaleźć.

– Przez tego Facebooka przestałam go szukać.

– Dlaczego?

– Przez stópki...

– Mojej córki? – zdziwiła się Marta.

– Myślałam, że to twoje dziecko – powiedziałam, zwracając się do Tomka. – Pod zdjęciem napisałeś „nasza księżniczka”.

– To Marta się dorwała do mojego konta! Ja tam żadnych zdjęć nie wrzucałem. I z kim niby miałbym mieć to dziecko? – zapytał kąśliwie.

Nie odpowiedziałam.

– Nie dość, że kryminalista, to oszust, prawda? – dodał po chwili.

– Myślałam, że wrócisz do niej. – Nie patrzyłam mu w oczy. – Co miałam myśleć?

– Musimy sobie wszystko wyjaśnić – powiedział. – Od początku do końca.

– Tak.

– W Wietnamie nie było na to czasu. – Pokręcił głową.

– Nie było. – Uśmiechnęłam się.

– Nie zapytałem, z kim tutaj jesteś? Od razu założyłem, że sama.

– Z moim... szefem.

– To tylko szef? – Spojrzał na mnie uważnie.

– To też długa historia – powiedziałam cicho. – I tak, i nie. Ale ten rozdział dobiegł końca.

– Same zagadki. – Pokręcił głową. – Nigdy nie byłem dobry w rozwiązywaniu łamigłówek. Będziesz musiała mi pomóc. Najlepiej natychmiast.

– Ja mogę wrócić taksówką – powiedziała Marta. – Właśnie zamierzałam tak zrobić.

– Odwiozę cię – powiedział Tomek.

– Spokojnie, braciszku. – Marta poklepała go po ramieniu. – Wbrew temu co myślisz, jestem całkiem dorosła. – Uśmiechnęła się.

– Ale...

– Tak, wiem, przywiozłeś mnie tutaj i chcesz mnie odwieźć z powrotem. Ale rozumiem.

– Zamówię ci taksówkę. – Odetchnął z ulgą.

– A ja chyba muszę poszukać Jacka – powiedziałam.

– Kim jest Jacek? – Tomek się zdenerwował.

– Moim szefem.

– Chodź, pójdziemy z Martą i poczekamy na taksówkę, a potem poszukamy Jacka. Nie wypuszczę cię, dopóki wszystkiego sobie nie wyjaśnimy.

– To pewnie zajmie kilka dni. – Uśmiechnęłam się.

– Może być kilka dni – potwierdził. – I nocy – dodał cicho.

– Poczekajcie z tymi nocami, aż pojedę – powiedziała Marta.

Tomek zamówił taksówkę i poszliśmy w stronę ulicy. Chwilę poczekaliśmy na samochód. Gdy Marta wsiadała, złapała Tomka za rękę.

– Proszę cię, nie spieprz tego, braciszku – powiedziała mu. – Ostatnimi czasy byłeś bardzo nieznośny. I mam nadzieję, że ten czas już minął, bo naprawdę ciężko było z tobą wytrzymać.

– Też cię kocham. – Uśmiechnął się Tomek. – Daj znać, jak wejdiesz do domu.

– Wyślę SMS-a.

– Pa.

Marta odjechała, a my staliśmy chwilę przy ulicy. Byliśmy sami. Tomek złapał moje dłonie, potem mnie przytulił.

– Nawet nie wiesz, jak tęskniłem. – Pogłaskał mnie po włosach. – Pachniesz

tak samo jak w Wietnamie. Czasem, gdy przechodziłem obok kogoś i poczułem ten zapach, zamykałem oczy i zastanawiałam się, czy to ty.

– Za co masz wyrok? – zapytałam nagle.

– Ale teraz mam ci opowiedzieć?

– Tak. W trzech słowach.

– Tylko w trzech?

– Tak.

– Za obronę honoru.

– Swojego?

– Miały być trzy słowa. Więcej później.

– Dobra. – Pokiwałam głową. – O tyle rzeczy chciałabym zapytać.

– Gdzie jedziemy? Do mnie czy do ciebie? – zapytał.

– Tak bezpośrednio? Proszę pana, dopiero się poznaliśmy! – powiedziałam, mrużąc oczy.

– A nawet jeszcze nie. Tomasz Biegajski. – Wyciągnął swoją dłoń.

– Ania Małecka. – Uśmiechnęłam się.

– Można powiedzieć, że już się poznaliśmy i możemy kontynuować naszą znajomość – podsumował Tomek.

– Zdecydowanie.

– A skonsumować? – zapytał.

– Najpierw musimy sobie wszystko wyjaśnić. – Pokręciłam głową.

– Ale tak będziemy sobie wyjaśniać bez żadnej przerwy?

– To się okaże. – Uśmiechnęłam się. – Chodź, poszukamy Jacka. Muszę się jeszcze zastanowić, co ja mu powiem.

– W temacie?

– W temacie, że nie wracam.

– Daj mi na chwilę swoją torebkę – powiedział.

– Po co? – Wręczyłam mu moją kopertówkę.

– Bo na chwilę muszę cię opuścić. Ty idź szukać tego swojego szefa.

Tomasz zniknął w tłumie ludzi, trzymając moją złotą kopertówkę. Nie umniejszyło to jego męskości. Prawdziwy facet wygląda dobrze nawet z kobiecą torebką. Ja poszłam w stronę Motławy szukać Jacka. Tam go ostatnio widziałam.

– Może szampana? – zapytała hostessa.

– Chętnie. – Uśmiechnęłam się.

Szalony wieczór. Impreza, na którą nie chciało mi się iść i potem niespodziewane, ale długo oczekiwane spotkanie. Przez głowę przemknęła mi myśl, że Tomek zniknął z moją torebką i dokumentami w niej, a ja w dalszym ciągu nic o nim nie wiem. Przestraszyłam się, że już go nie zobaczę.

Spokojnie.

Wypiłam szampana duszkiem. Chyba na odwagę przed rozmową z Jackiem. Ale czego się bałam? Po prostu kogoś spotkałam i chciałam z nim wrócić do domu. Jestem dorosła, a Jacek ostatnio wielokrotnie podkreślał ten brak zobowiązań.

– Znalazłem cię wreszcie. – Jacek objął mnie od tyłu. – Bałem się, że się nudzisz, ale cieszę się, że się dobrze bawisz. – Uśmiechnął się. – Napijesz się szampana? Mamy co świętować. – Wziął ode mnie pusty kieliszek, odstawił na tacę i wymienił na dwa pełne. – Wszystko wskazuje na to, że podpiszemy ten kontrakt, o którym ci mówiłem. W poniedziałek pogadamy o szczegółach, teraz już nie musimy sobie psuć wieczoru.

– Jacek, ja się będę powoli zbierać. – Pokręciłam głową.

– Jak to zbierać? – zdziwił się. – Przecież jeszcze ma być jakiś pokaz mody, potem fajerwerki, dokładnie nie pamiętam programu, ale możemy sprawdzić...

– Jacek, spotkałam kogoś, kogo dawno nie widziałam. Chciałabym pogadać.

– A ja będę wam w tym przeszkadzał? Możemy razem gdzieś usiąść. – Pokazał ręką stoliki pod parasolami.

– Nie będziemy cię zanudzać wspomnieniami – nieudolnie próbowałam wybrnąć z sytuacji.

– Na pewno nie będę się czuł znudzony. – Uśmiechnął się Jacek. – Mam już dosyć drętwych służbowych rozmów, chętnie posłucham innych tematów niż zwroty z inwestycji i kursy dolarów.

– Jacek.

– No chyba że nie chcesz? – Spojrzał na mnie pytająco.

Dlaczego nie umiałam mu powiedzieć wprost, że nie chcę, by z nami został? Że spotkałam kogoś, kogo szukałam trzy miesiące i naprawdę nie chcę go już zgubić? To akurat były tematy, na które powinniśmy z Tomkiem rozmawiać tylko we dwoje.

– To jakiś stary znajomy? Znajoma? – zapytał Jacek.

– Można tak powiedzieć – przyznałam.

– Nie wyszedł nam za bardzo ten wieczór. – Zasmucił się.

Pomyślałam, że wręcz przeciwnie. Ja byłam nim zachwycona. Tym bardziej, że zauważyłam Tomka, który szedł w naszą stronę, wymachując złotą torebką. Po chwili stanął tuż przy nas.

– Cześć – powiedział. – Najwyraźniej jesteś szefem Ani. Tomasz Biegajski. – Wyciągnął rękę w stronę Jacka.

– Jacek Zawistowski. Tak. Jestem jej szefem – powiedział. – I przyszliśmy tutaj razem.

Pewnie gdyby spojrzenie mogło zabijać, to zwłoki Tomka leżałyby już gdzieś na dnie Motławy.

– Tak, Ania mi mówiła – powiedział. – To co? Wypuścisz ją spod swojej opieki? – zażartował.

Jacek spojrzał na mnie niepewnie.

– Tak, już mówiłam Jackowi, że chcemy pogadać.

– Powspominać stare czasy – dodał Jacek.

– Nie takie stare – poprawił Tomek. Spojrzałam na niego znacząco, ale nie zauważył mojego wzroku. – Poznaliśmy się w Wietnamie. Opowiadałaś Jackowi?

– W Wietnamie? – Jacek zmrużył oczy. – Nie. Pominęła tę historię. – Spojrzał na mnie.

– Może nie wspominałam. – Wzruszyłam ramionami.

– To co, idziemy? – zapytał Tomek.

– Idę, Jacek. Przepraszam, że zostawiam cię samego – powiedziałam cicho i pocałowałam go w policzek. – Do zobaczenia w poniedziałek.

– Co ty wyprawiasz? – szepnął Jacek.

Tomek odszedł na kilka kroków.

– O co ci chodzi? – zapytałam.

– No właśnie, o co ci chodzi? – Patrzył na mnie wściekły. – Przyszłaś tutaj ze mną i ze mną wychodzisz.

– Jacek? – zdziwiłam się. – Chyba przesadzasz. Najpierw ustalamy wyjście bez zobowiązań, a teraz, gdy chcę pogadać ze znajomym, robisz problemy.

– Widziałem, jak na ciebie patrzy ten... znajomy.

Nic nie odpowiedziałam. Wręczyłam mu mój kieliszek, z którego upiłam tylko łyk szampana.

– Pa – powiedziałam.

– Pa. – Wypił trunek duszkiem i rzucił kieliszkiem na chodnik. Rozbił się w drobny mak. Miałam nadzieję, że na szczęście.

Kilka godzin później siedzieliśmy w moim mieszkaniu, przytuleni pod grubym kocem.

Próbowaliśmy opowiadać swoje wersje wydarzeń sprzed kilku miesięcy jedną przez drugą. Obiecaliśmy sobie, że wyjawimy je jak najszybciej.

– Nie mogłem uwierzyć, że uciekłaś bez słowa – powiedział Tomek. – Krzychałem za tobą tak głośno, że ochrona zaczęła się mną interesować.

– Byłam wściekła – powiedziałam.

– Czy teraz, gdy wiesz, dlaczego jestem karany, też jesteś wściekła?

– Teraz już mniej – przyznałam. – A nawet patrzę na ciebie z podziwem.

– Lubisz niegrzecznych chłopców? – zapytał. – Ja generalnie nie jestem awanturnikiem, ale gdy miarka się przebierze...

– O mnie też byś tak walczył?

– Ja o nią nie walczyłem. To była zemsta.

– Za mnie też tak byś się mścił?

– Mam nadzieję, że nie będę musiał. – Pogłaskał moją dłoń. – Kim jest Jacek? – zapytał.

- Szefem.
- Nie patrzył na ciebie tylko jak szef. – Pokręcił głową.
- Próbowaliśmy budować coś razem – powiedziałam cicho. – Nie wyszło.
- Kiedy? Przed Wietnamem?
- Zauważyłam, że nasze życie dzielimy na etap przed Wietnamem i po Wietnamie. – Roześmiałam się. – Jak nasza era i przed naszą erą.
- Odpowiedź wymijająca – powiedział Tomek.
- Trochę – przyznałam.
- To jak było?
- Szczerze?
- Tak.
- I przed, i po – powiedziałam krótko.
- Status związku: to skomplikowane – zażartował.
- Musimy o tym rozmawiać? – zapytałam.
- O mnie już rozmawialiśmy.
- Próbowaliśmy coś razem budować. Nie mogłam się w tym wszystkim odnaleźć, dlatego chciałam wyjechać gdzieś daleko, by zastanowić się nad swoim życiem i je trochę uporządkować.
- A zabałaganiałś jeszcze bardziej. Przeze mnie.
- Można tak powiedzieć – przyznałam mu rację. – Szukałam cię jak szalona.
- Co nie przeszkadzało ci próbować ułożyć sobie z nim życie.
- Tomek...

– Przepraszam – powiedział. – Od początku.

– Od początku? – zapytałam. – Cholernie nie chciałam być sama. Samotność mnie bolała. Marzyłam o normalności.

– Dla mnie też samotność nie jest normalnością – wtrącił cicho.

– Myślałam, że można sobie wymyślić miłość. Jacek chyba też tak myślał. Najpierw spotykaliśmy się bez zobowiązań, a potem chyba się zakochał. Na początku byłam na ciebie wściekła, że mnie oszukałeś. I chyba chciałam z nim być na złość tobie, na złość światu. Potem zaczęłam cię szukać i znalazłam to zdjęcie z córką twojej siostry.

– I byłaś jeszcze bardziej zła.

– Tak. Jacek proponował mi, bym z nim zamieszkała. Na początku się zgodziłam, ale do niczego nie doszło. Sam powiedział, że to nie ma sensu. Wróciliśmy do punktu wyjścia. Bez zobowiązań.

– To jak to się stało, że wylądowałaś z nim na tej imprezie?

– Przeczytałam artykuł w Internecie. O gościach, których się spodziewają.

– I?

– I był pan Tomasz Biegajski. I twoje zdjęcie. Nie mogłam sobie odpuścić. – Pokręciłam głową. – Musiałam cię zobaczyć.

– Mimo iż jestem kryminalistą? – Roześmiał się.

– Ja chyba jednak lubię niegrzecznych chłopców – powiedziałam i przytuliłam się.

– To co? Jesteśmy kwita?

– Prawie.

– A co jeszcze?

– Chciałam mieć z tobą dziecko – powiedziałam.

To go zaskoczyło.

– Ale teraz? – Zaczął rozpinać pasek spodni.

Roześmiałam się. Po chwili powiedziałam cicho.

– I teraz, i później, i wcześniej. – Popatrzyłam na niego, rozpinając bluzkę. – Zegar biologiczny tyka.

– Szalona! – powiedział, przytulając mnie.

Był pewien, że żartuję. Nie miałam zamiaru wyprowadzać go z błędu. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, by zrobił wszystko to, za czym bardzo tęskniłam. Przez chwilę byłam znowu w upalnym Wietnamie, kołysana szumem morza w zatoce Ha Long.

– Wiesz, jakie rano miałam plany co do dzisiejszego dnia? – spytałam Tomka, gdy leżeliśmy wtuleni w siebie.

– Mhm?

– Najbardziej na świecie chciałam siedzieć pod kocem i jeść lody wielką łyżką, na dodatek prosto z pudełka. – Roześmiałam się. – Nie mogłabym sobie wybaczyć, gdybym tak zrobiła.

– Masz lody? – zapytał.

– Mam – powiedziałam.

– Przyniosę. – Wstał i poszedł do kuchni. Jakby to robił każdego dnia od zawsze. Usłyszałam odgłos otwieranej zamrażarki, potem szuflady ze sztućcami. Uśmiechnęłam się. Czułam, że wszystko jest na swoim miejscu. I nie chodziło mi tu o lody w zamrażarce czy o łyżkę w szufladzie kuchennej.

Po chwili przyszedł do pokoju. Usiadł na łóżku, podał mi pudełko z lodami i łyżkę.

– Proszę. Poranne marzenia się spełniają. – Uśmiechnął się.

– Spełniają – zawtórowałam mu. – Tylko myślałam, że będę sama i ubrana – odpowiedziałam. Trochę się pomyliłam.

– Drobne nieścisłości w planowaniu. – Pokręcił głową. – Wybaczam. Jakoś sobie musimy z tym poradzić. Jak myślisz?

– Myślę, że damy radę.

– Ze wszystkim – potwierdził, po czym wziął ode mnie lody i położył na stole. – Wiesz co? Na chwilę je jeszcze odłóż.

ZAKOŃCZENIE



Jaki jest człowiek, takie są jego marzenia

powiedzenie wietnamskie

Od tamtych dni minęło już całkiem sporo czasu, jednak wspomnienia nadal są intensywne. Przychodzą do mnie niemalże każdego dnia, gdy zamknę oczy. Chcę pamiętać te obrazy na zawsze. Często uśmiecham się do swoich myśli. Moja głowa w dalszym ciągu jest pełna marzeń. Naszych wspólnych marzeń.

Teraz wiem, że marzenia się spełniają, a raczej – marzenie się spełnia. Jednak nie można tylko marzyć. Trzeba zrobić pierwszy krok. Choćby porzucić myśli o lodach jedzonych prosto z pudełka i wyjść z domu. Nigdy nie wiesz, co przyniesie ci dzień i czy za rogiem nie spotkasz kogoś, na kogo czekałeś całe swoje życie.

Dzisiaj na imprezie ja nie piłam szampana. Po raz pierwszy zostawiłam mojego trzymiesięcznego syna w domu. Został z moją mamą. Taki nasz własny ósmy cud świata.

Szybko wzięliśmy ślub, nie było na co czekać. Nie ma reguły, jeżeli chodzi o szczęśliwe małżeństwo. Czasem można żyć ze sobą dziesięć lat i nie być szczęśliwym, czasem wystarczą dwa miesiące. A może gdzieś tam, daleko na świecie czas liczy się zupełnie inaczej?

W podróż poślubną Tomek zabrał mnie do Wietnamu. Znowu byliśmy na tym samym statku. Śmialiśmy się, że to nasza druga wspólna podróż poślubna.

Kiedyś opowiem mojemu synowi:

– Wiesz? Bardzo chciałam, byś pojawił się na świecie. Pojechałam do Wietnamu i poznałam tam mężczyznę. Zaprosił mnie w bajeczną podróż statkiem po jednej z najpiękniejszych zatok na ziemi. I to jest właśnie twój tata.

Byłam naprawdę szczęśliwa.

Obok mnie stała Marta trzymająca kieliszek szampana w dłoni.

– Wiesz – powiedziała mi – niektórzy nie mogą pić szampana po to, by inni mogli go pić.

– Na zdrowie – uśmiechnęłam się, pijąc wodę.

SMS od mamy.

„Wszystko w porządku, bawcie się dobrze”.

Wreszcie poczułam, że wszystko jest w jak najlepszym porządku i wiedziałam, że tak będzie już zawsze.

KONIEC

Amalka, 27 lipca 2017 02:14

PODZIĘKOWANIA



W moich książkach nie może zabraknąć podziękowań! Takie mam szczęście w życiu, że gdy tylko czegoś potrzebuję, na mojej drodze pojawiają się ludzie, którzy z przyjemnością, zupełnie bezinteresownie, pomagają mi w zdobyciu informacji, odpowiednich książek albo po prostu ze mną rozmawiają. Bo wiadomo, że czasem przegadanie fabuły to najlepsze rozwiązanie! Jestem szczęściarą!

Dlaczego Wietnam?

Kilka lat temu dostałam maila od kogoś o obco brzmiącym nazwisku. Przeczytałam:

„Chciałabym, by wietnamskie czytelniczki też poznały *Szkołę żon*”.

Uśmiechnęłam się i wzruszyłam ramionami. Pomyślałam, że to żart. Jednak nie. Mail był od Małgosi. Mojej tłumaczki na wietnamski. Nie umiałam ukryć zaskoczenia. Kilka miesięcy później *Szkoła żon* została przetłumaczona, a wietnamskie czytelniczki mogły się z nią zapoznać. Na tym jednak historia się nie kończy.

Szkoła żon reprezentowała Polskę na Międzynarodowym Festiwalu Literatury Europejskiej w Hanoi. Zostałam na niego zaproszona.

Był to jeden z moich najwspanialszych wyjazdów. Urzekła mnie egzotyka tego kraju. To właśnie na statku Syrena, gdy płynęłyśmy z Małgosią po zatoce Ha Long, powiedziałam:

– Małgosiu, jaki tu byłby cudny romans...

I już wtedy pomyślałam, że można by zainspirować się Wietnamem...

Małgosiu (Nguyễn Thị Thanh Thu), dziękuję Ci za to, że miałam okazję przeżyć tak piękną przygodę. Mam nadzieję, że moje czytelniczki po przeczytaniu *Ósmego cudu świata* również zakochają się w Wietnamie.

Ojcem chrzestnym tej powieści jest Alek Rogoziński, który zaproponował mi napisanie opowiadania do tygodnika „Party”. Stało się ono inspiracją do powstania tej książki. Alek – dziękuję. Nie tylko za to. Także za wszystkie nasze rozmowy i dodawanie sobie wzajemnie otuchy. Niekoniecznie w sprawach zawodowych!

Ojców chrzestnych musi być dwóch, prawda? To Paweł Płaczek powiedział, że szkoda tego tematu na opowiadanie, że musi być z tego książka. Pepe – dziękuję! I za gościnę w każdej chwili, płatki róż, kwiaty. Naucz się robić łabędzia!

Jak jest ojciec chrzestny, a nawet dwóch, to jeszcze matka by się przydała :).

Bogna Kozłowska, gdyby nie Ty, tej powieści by nie było. Dziękuję za ogarnianie małoletniego towarzystwa, gotowanie obiadów, szykowanie śniadań i kolacji podczas naszego pobytu w Amalce. Dziękuję za budzenie mnie skoro świt i zaganianie do roboty!

Zosiu (Zosia Kozłowska) – Tobie dziękuję za siedzenie ze mną do godziny trzeciej w nocy, wymyślne fryzury po pięciu tysiącach znaków, motywacyjne żarty i za nasze nocne rozmowy. O wszystkim!

Lili i Mateuszowi, moim dzieciom, dziękuję za wyrozumiałość dla matki pisarki. Dzięki temu jestem dla Was całe wakacje. Mimo iż z lekka niewyspana i czasem zdenerwowana, za co bardzo przepraszam!

Jurek (Jurek Kozłowski) – dziękuję za towarzystwo! Bez ciebie moje dzieci nie bawiłyby się tak doskonale, gdy ja musiałam pisać!

Małgosi Mielcarek-Żuczek dziękuję za nieustającą pomoc w zdobywaniu rzeczy nie do zdobycia. To ona wyciągnęła spod ziemi legendy wietnamskie. I dzięki niej wiecie, jak powstały komary. Dziękuję również paniom Ani i Natalii z Biblioteki Miejskiej we Wrześni. To właśnie w tej bibliotece ostał się jeden zniszczony egzemplarz legend, których szukałam.

Małgosi, dziękuję też za pozytywną energię, którą czuję na każdym kroku!

Każdy rozdział zaczyna się wietnamskim powiedzeniem. Wielką robotę w ich znalezieniu wykonał Andrzej Meller. Jego książkę o Wietnamie *Czołem, nie ma hien* bardzo, bardzo polecam. Jako lekturę obowiązkową po przeczytaniu *Ósmego cudu świata!* :)

Dziękuję Jankowi Nguyen Ngoc – za pracę maturalną o bajkach polskich i wietnamskich. To była bardzo ciekawa lektura!

Moim wietnamskim przyjaciółom, których poznałam podczas podróży – dziękuję, że jesteście!

Pani Ambasador Barbarze Szymanowskiej bardzo dziękuję za krzewienie kultury polskiej w Wietnamie.

Joli Walusiak-Skorupie, Monice Tresce, Agacie Bizuk, Magdzie Fryt, Ani Krzyczkowskiej, Ani Piotrowskiej, Izie Salamon – dziękuję za wsparcie i uwagi na każdym etapie powstawania *Ósmego cudu świata*.

Kasi Radziejewskiej – nieustająco za dawanie mi po łapach w momentach, gdy po łapach dać należy. I za wszystko, o czym mówić nie wypada. :)

Wydawnictwu Filia – dziękuję dziewczyny i chłopaki! Bez Was nie byłabym tutaj. :)

Na ręce Kasi Tymczyszyn-Bębenek i Michała Szolca dziękuję ekipie ze storytel.pl – fajnie mi z Wami!

Dziękuję blogerom za cudne recenzje, a Wam, czytelnikom, za to, że czytacie. Jestem naprawdę szczęśliwa, że Wam się podoba!

I pewnie o kimś zapomniałam. Jak zawsze.

Tobie też dziękuję. Tak, nie odwracaj się za siebie. Tobie! Mam nadzieję, że Ci się podobało!

Powieści Magdaleny Witkiewicz:

Pracownia dobrych myśli

Ballada o ciotce Matyldzie

Awaria małżeńska (wspólnie z Nataszą Sochą)

Po prostu bądź

Moralność pani Piontek

Pierwsza na liście

Szczęście pachnące wanilią

Panny roztropne

Pensjonat marzeń

Szkoła żon

Milaczek

Zamek z piasku

Opowieść niewiernej

Cześć, co słychać?

Czereśnie zawsze muszą być dwie

Opowiadania Magdaleny Witkiewicz

znajdą Państwo również w zbiorach:

Siedem życzeń

Cicha 5

Księgarenka przy ulicy Wiśniowej